

EUSTACHY RYLSKI



EUSTACHY RYLSKI

# BLASK

 WIELKA LITERA

# Spis treści

Karta tytułowa

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

II

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

III

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

**EPILOG**

**Karta redakcyjna**

I

# 1

– Granda już rozprowadzona?

Zapytany nie odpowiada od razu. Nie przestaje patrzeć na wyobcowaną z doczesności twarz Dona, można by rzec, skrytą w półmroku, gdyby nie trupia bladość, która wręcz lśni. Napięty jak cięciwa, myśli Gaponia, nic go nie zwalnia, nawet ta samotność. Wyprowadzony z wszelkiej rzeczywistości, nawet tej, którą kontroluje. Pejzaż mu nie sprzyja, to zgoda, za dużo w nim wschodnich tonów, których nie lubi, nie czuje, nie rozumie. Przełom rzeki pod wzgórzem, łąki bezkresne z pasemkiem lasów w najdalszej dali. Piołuny nad płytkimi parowami. Poza wzgórzem nad rzeką równina pofałdowana tak długimi sekwencjami, że się ich nie zauważa. Brak pretekstu do natychmiastowego zachwyty, inna sprawa z powolnym rozsmakowaniem się w tych widokach, kto miałby jednak na to czas i cierpliwość.

Nie to co letniska w pobliżu ciepłych mórz, wapiennych skał, przepastnych urwisk, drewnianych schodów wspinających się zakosami po stoku. Nie to co taras ocieniony markizą na godzinę przed południem, nie to co skwar, który nie męczy, młode kobiety wracające gromadą z kąpieli, niekoniecznie ładne, ale zastanawiające, nie to co zapach kawy, smak papierosów, lenistwo, jakaś wszechogarniająca bezradność i melancholia, smutek jako odmiana ciszy. I pytanie powtarzane każdego dnia do znudzenia: Jak daleko posunęliśmy się w pięknie, mój drogi Gaponia? Czy to już ściana?

I te walce z wczorajszego wieczoru, jeszcze nie wygrane: sewastopolski, mikołajewski, mandżurski. Drugi urywa tony pierwszemu, godzi je trzeci, potem czwarty, piąty, znany, nieznan, co za różnica, skoro płynność w nich niepowstrzymana. Ma się wrażenie, że jeśli cichną, to niechętnie. Słyszysz muzykę? – pyta Don z niedowierzaniem, a Gaponia odpowiada: Bez ustanku, szefie, ilekroć zaglądam w te dni. A dni od maja do października zawsze sobie równe w przejrzystości świtów, lśnieniu dnia i złocie wieczorów. Niezmiennność, która nie nuży. Blask wszechobecny, którego tu nad rzeką

pod wzgórzem, między łąkami nie ma, choć to pogodny dzień w połowie czerwca, bo tu nic nie zależy od siebie, pogodzone z przewagą kaprysu nad stałością. Niektórzy to lubią – wieczoru się nie przewidzi, a świt to już zupełna zagadka – lecz Don do nich nie należy.

– A co do chamstwa, szefie, bo pytanie twoje do niego się sprowadza, to najakuratniej – odpowiada Gaponia – obok tego, jakie znamy, jest to, które powołaliśmy. Co to za sznyt, generale, pytam w Domu Centralnym, a ten: To nie sznyt, Gaponia, to mexidol. I faktycznie, szefie, łby jak wiadra na byczych karkach, opasłość wyprzedzająca metrykę o dekadę najlżej biorąc, choć generał upiera się przy zwalistości. Niepozostawiające złudzeń mięśnie wciskające się w każdą możliwość, lecz z gatunku bezkształtnych, przerośniętych, nietkniętych żadnym dłutem. Zbita masa służąca sile, nie pięknu. Tatuaze na nich jak draperie. A wyprzedza ich wrzask – gdy maszerują rota za rotą – jakim cię sławią.

– Hultajstwo?

– W najdotkliwszym gatunku, szefie. Jak przewidziałeś.

Czemu dopytuje, jakby zwątpił w swą nieomyślność, zastanawia się Gaponia, czemu naciska, przecież zna odpowiedź. Gaponia rozgląda się po ascetycznym wnętrzu opróżnionym ze wszystkiego, co służyć by mogło wygodzie. Można było jeszcze zabrać polne kwiaty w słoiku po ogórkach, kilim przeżarty przez mole i zydel, na którym nie da się siedzieć. Wyjaśnia jak dziecku, że falanga, pożał się Boże, rozproszona tak, by na sygnał dała sformować się w pięść, a ta rozformować w kohorty zdolne do samodzielnych działań w każdej wyobrażalnej przestrzeni gwałtu, przemocy, brutalności, od Bałtyku do południowych granic Serbii.

– Do południowych granic Serbii? – pyta Don. – Kto o tym zdecydował?

– Geografia – odpowiada Gaponia. – Dalej są ziemie niechętne naszym apetytom, dzikie, lecz na sposób, jakiego nie wykorzystamy. Pokumane z okrucieństwem, które nie nasze. Sprawiają kłopot, szefie, wyłącznie kłopot.

– Bałkany – wzdycha Don. – Mój Boże, czym Europa sobie na nie zasłużyła.

Gaponia patrzy na Dona z czułością, to znaczy z poczuciem daremności



wszelkich najlepszych życzeń. Substancji przybywa, jakkolwiek ją ograniczać. Kwartał temu zaledwie doktor sprowadzony ze świata powiedział: Nie wróży to dobrze, panowie. Puchnie pacjent, lecz nie przybiera. Rozrzedza się bez obietnicy implozji. A jeden z tych, których nigdy w pobliżu nie brakowało, może nawet Czub, zaoponował tak, by reszta słyszała: To przejściowe, doktorze, nieprawdaż? Jak przyszło, odejdzie. Miejmy nadzieję – odpowiedział doktor, ale widać było, że jej nie ma.

Nie mylił się, sprawy poszły źle szybciej, niż założyłby to najczarniejszy pesymizm. Doktor wrócił do świata, z którego go sprowadzono, bezsilny jak ten, który go zastąpił.

Przed miesiącem nastał dzień, kiedy należało Dona ukryć nawet przed najbliższymi.

– Najbliższymi! – zawołał jeden z tych, których nigdy w pobliżu nie brakowało, może nawet Czub. – Jakimi najbliższymi?! A kiedy on miał jakichś bliskich?

Może miał, a może nie. W każdym razie nikt go już nie oglądał poza Gaponią, kobietą z najbliższej wsi, której nakazano milczenie pod groźbą, jakiej nie zamierzała poznać, i... No właśnie, kto by przypuszczał, kto by podejrzewał, jakie medium by to wywęchało? Jakie dziennikarskie ścierwo by się do tego zbliżyło? Jaki zbieg okoliczności zdałby się na taki przypadek i jaki przypadek uznałby to za coś więcej niż żart?

## 2

Choć jakby się uprzeć, od żartu daleko nie było. Don poprosił o dziewczynę. O nic nigdy nie prosił, bo nie musiał, samoograniczający się, bywało, do absurdu. A tu, zdziwiony własnym pomysłem, zapytał, czy byłoby to możliwe i czy by go to skompromitowało, gdyż nie miał złudzeń – kraj był nieszczelny. Niczego nie można było utrzymać w tajemnicy, choć wszystko się od niej zaczynało. Reżim lubował się w tajemnicach, a te w ostentacji, więc im coś w zamierzeniu miało być dyskretniejsze, tym gwałtowniej się odkrywało. Jakby sprawy same z siebie, ważne, mniej ważne i nieważne, a takich też nie brakowało, żądały spektaklu i widowni. Dyskrecja nie miała dla siebie sceny, podobnie powściągliwość. Obywatele rozsmakowani w ciemnych sprawkach lubili je i ujawniać, i sądzić, więc sprawy liczyć mogły na wszystko poza pobłażliwością. Lecz wywleczone przed gawieź i osądzone nie miały się gorzej, niż pozostając w najtajniejszej tajemnicy, bo mimo prób pochwylenia tego czy tamtego w kleszcze porządku, to bezład przynosił ulgę, a sprawiedliwość, prawo, dyscyplina tylko kłopoty. Bo co gorszego spotkać może tajemnicę niż jej odkrycie, nim sama się sobą znudzi. Co zdradzić ją może boleśniej niż szczelina, przez którą się wysączy.

– Tylko zamiar jej ukrycia, gdy się już ujawniła – rzekł Gaponia na uwagę Dona, że ten mechanizm jest irytujący, infantylny, a po przejściu w zasadę – złowieszczy. – A co do kurwy, szefie, to proszę na mnie nie liczyć. Nie mam w tym względzie żadnych doświadczeń i nie znam miejsc, z jakich się je pobiera. Ale mogę rozejrzeć się za kimś, kto to potrafi.

– Ochota na ladacznice – powiedział Don po kilku dniach, które, podobnie jak poprzednie, minęły im na niczym – to zapowiedź zmiany niewróżącej mi nic dobrego. Tak jak nie panuję nad swoją substancją, tak mogę nie zapanować nad żądzą dotychczas mi nieznaną. Co będzie, jeżeli stanę się zagadką dla samego siebie?

– Nie potrafię panu na to odpowiedzieć – rzekł Gaponi młody doktor,

który, zmuszony szantażem, zastąpił tego ze świata.

Usiłujący trzymać go krótko Gaponia miał wrażenie, że bezradność w obliczu choroby Dona jest odwetem lekarza za przemoc, jaką wobec niego zastosowano.

– Jeżeli postawimy sobie pytanie – dodał doktor – odnoszące się do różnicy między kaprysem a pragnieniem, to powiem, że ta dziedzina medycyny, jaką reprezentuję, ich nie rozróżnia. Ale ten apetyt świadczy o zdrowiu, tak jak jego wieloletni brak potwierdzał ułomność. Niech mu pan znajdzie ladacznicę, która go nie zawiedzie, skoro się przy tym upiera – podsumował lakonicznie, bo był młodym dzielnym człowiekiem w opresji, więc jeśli tylko mógł, dawał do zrozumienia, że się nie rozgada tym bardziej, im bardziej tego od niego oczekiwano.

Ale czy są ladacznice, które nie zawodzą? Czy istotą tej skłonności nie jest wiarołomstwo, a gadanie o dobroci, która tej skłonności asystuje lub się w pewnym momencie do niej dołącza, należy włożyć między bajki? Można by się tu posłużyć jakimś zapomnianym konwenansem, pomyślał Gaponia, gdy doktor wyszedł, impertynencko strzelając drzwiami, co mu się dotychczas nie zdarzało – ale czy znalazłby się choć jeden potrafiący na serio postawić się swawoli tej coraz wredniejszej beztroski?

– „A Wańka z Kat’ką hulać poszedł...” – szepnął i urwał z kantu, jakby przestraszony biglem tej opowieści o rewolucyjnej beztrosce.

Ale czy przestraszony? Ale czy przestraszony, w istocie, i przejęty?

### 3

Doktryna przejrzysta była jak czerwcowy świt. Władza ograniczona czymkolwiek poza ideą, która ją powołała, staje się własnym zaprzeczeniem, nawet jeżeli jest czystą przemocą. A zaprzeczenie rozgląda się za absurdem, z którym już sobie nikt nie poradzi. Bo absurd, kurwa, bierze wszystko.

– Dyskutowałbym z tym poglądem – rzekł cicho Gaponia – ale nie w tej sprawie pana odwiedzam. Don chciałby wiedzieć coś więcej o tym incydencie nad Wagiem.

Czub rozsiadł się w fotelu i zarechotał lub zarechotał i rozsiadł się w fotelu, tak czy inaczej, irytujące były: to jego luzactwo, pewność siebie, nonszalancja, biorące się z nienagannego zdrowia i niezawodności własnej biologii, choćby nie wiadomo jakim próbom ją poddano. To że wcześniej był wziętym bezrefleksyjnym komentatorem telewizyjnym sportów walki, musiało mieć wpływ na jego bezawaryjne podłączenie do życia, czego nie naruszała nawet najjadowitsza opresja, która innych niszczyła nieodwracalnie. A Czuba wzmacniało wszystko, nawet błąd.

– Mają go! – zawołał radośnie, jakby coś tu mogło od niego zależeć. – Jak amen w pacierzu. Teraz rzecz polega na tym, by go przykładowie ukarać. Przykładowie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Tak by odstraszyć innych.

– Co jest w katalogu?

– Pełen wachlarz. Od upomnienia po śmierć. Pomyślano o tym zawczasu.

– O kim rozmawiamy?

– Młody człowiek z tych upalnych zakurzonych równin, przez które najchętniej się tylko przejeżdża, bo nic tam nie ma dla nikogo.

– A konkretnie?

– Przedpola Debreczyna, Kluża, Oradei, równiny nad Cisą, góry w Marmaroszu, co za różnica; kompletny wschód.

– Co to było?

– W sensie formalnym?

Gaponia spojrział na metalowy stelaż z kilkunastokilogramowymi hantlami i sztangą, ustawiony pod ścianą naprzeciw wejścia, przesłonięty nieprzyjazną rośliną, o którą się otarł tego ranka pod północną ścianą pensjonatu.

– Co to jest? – zapytał, rozcierając zaczerwienione palce, a kobieta z najbliższej wsi, której nakazano milczenie nie tylko w sprawie Dona, zmyła na chwilę pokorę ze swej szczerzej, szlachetnej twarzy, i odpowiedziała: Ostrokrzew.

Wiatr kręcił trawami, które wyrosły tego roku ponad swój odwieczny zwyczaj.

– A więc ostrokrzew, nawet tutaj – wyszeptał Gaponia.

– Słucham? – Czub wychylił się z fotela.

– Niech pan przejdzie do rzeczy – Gaponia w fotelu się zapadł i oprzytomniał – skoro poświęcamy temu czas.

Czub więc przeszedł, mówiąc, że spity piwem, czarny jak smoła, kabłąkowaty śmieć, Cygan, Wołoch, Besarab, co na jedno w praktyce wychodzi, wywrzeszczał do podkręconego mikrofonu swoją wątpliwość co do miejsca Dona w akcji, którą im obiecano, i w porządku, jaki zaprowadzą.

– Kto to przetłumaczył? – zapytał Gaponia, przypatrując się swojej porysowanej żyłami dłoni, której nie mógł uspokoić.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Czub, moszcząc się w fotelu jeszcze ostentacyjniej. – Ktoś, kto zna ich klekot. Tak to zabrzmiało.

– Chodzi mi o to, że takie tłumaczenie z nieużywanego, peryferyjnego języka...

– Bez obaw, Gaponia, tak to zabrzmiało, wraz z tą niebezpieczną sugestią, skrajnie niebezpieczną i kompromitującą sugestią, której nie przedstawiłem, ale której się pan przecież domyśla. Mamy raport.

– Raport?

Czub potwierdził i roześmiał się, jakby to wszystko było zabawą. Gaponia pomyślał, że jeszcze kwartał wcześniej Czubowi nie przyszłoby do głowy taka bezpośredniość. Jest narwańcem do spraw wymagających takiego temperamentu, ale w granicach, jakich sam nie ustalił. A teraz, rozwalony

w skórzanym fotelu, przyglądał się Gaponi bezczelnie, jakby obciążał go winą za upadek hierarchii, która go dotychczas powstrzymywała.

– Takie rzeczy się zdarzają. Tłum, upał, alkohol, ale żeby zaraz raport... Przekażę to Donowi jako incydent, nic więcej. – Gaponia wzruszył ramionami, ale ten gest nie zmniejszył jego skrepowania. – Don nie oczekuje w tej sprawie raportu; jestem pewien.

– Ale go mamy, Gaponia. – Czub rozłożył ręce, a jego zęby zaśniły. – I tego już nie odwrócimy.

Gaponia wstał z fotela i krokiem zamorzonego głodem żurawia, krokiem, którego u siebie nie cierpiał, z którym walczył, zmuszając nielojalne ciało do elementarnej płynności, wyszedł z gabinetu. Lęk obnażył daremność wszelkich jego starań, by nad ciałem zapanować. Nadmiernie wysoka, skrajnie wychudzona postać Gaponi była z natury rozchwiana i niezgrabna. Niepewność nie sprzyjała żadnej w tym względzie korekcie. Pomyślał ze wstydem, że mimo miejsca przy Donie przed Czubem czuje czysty strach. Zamykał za sobą drzwi przesadnie wystawnego gabinetu na pierwszym prestiżowym piętrze Domu Centralnego, gdy uderzyła go jak sztych szpady konstatacja, że ten strach może niebawem dzielić z Donem, bo tajemnicza, wstydliva dolegliwość na takie niebezpieczeństwo ich wystawia. I wtedy obaj wrócą do uczuć, które tak nieporadnie przed sobą ukrywali.

– Mam raport! – krzyknął Czub z głębi kancelarii, a w jego głosie z seksowną chrypką, którym tak czarował publiczność aren i widzów przed telewizorami, troska była i pogróżka pospołu.

Ale Gaponia usłyszał tylko pogróżkę.

## 4

Poza pięknym czerwcem nad Wagiem nic nie sprzyjało falandze. Nadmiar zapowiadał samowolę, bo słowa „bunt” nikt nie odważył się użyć, ale ono przyczaiło się za rogiem i czekało na okazję. Pomysł, by zebrać gromadę młodych skłonnych do gwałtów mężczyzn w miejscu, do którego będą mieli z każdej części Europy Środkowej zblizoną odległość, nie został uzupełniony żadnym planem ich użycia w zgodzie z instynktami, jakie w nich tak mistrzowsko wyostrzono.

– Spróbujemy się policzyć – zdecydował jeden z dyrektorów dolnego biura w Domu Centralnym, które od jakiegoś czasu nazywano dykasterią – i w zależności od wyniku podsunie im możliwość.

Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania. Nad Wag miało przybyć kilka tysięcy młodych mężczyzn, przybyło kilkanaście. Bez kobiet, zwierząt, lektur, pieniędzy. Po dwutygodniowych ekstatycznych rytuałach braterstwa, polegających na pieśniach, ogniskach, uściskach, poklepywaniach, pogrózkach pod adresem Europy i jej pedałów, przyszło rozczarowanie. Ile można gardłować nawet w najśluszniejszych sprawach? Ile zjeść wołowiny z rusztu i wypić, znakomitego skądinąd, piwa? Ile wymacać coraz bardziej cuchnących kamratów, bo upały rozprawiły się z wodą i Wag jej skąpił. Iłoma łańcuchami wzajemnie się obdarować? Ile wymienić między sobą noży, pałek, kastetów, maczet? Nie minęło pół miesiąca, jak między kohortami snuć się zaczęła nuda – siostra wszelkiego nieporządku i matka nieszczęść. Wspomnienia nie tak odległych nieporozumień nie przechodziły w fizyczną konfrontację, tylko paraliżowały się wzajemnie zobowiązaniem wobec męczącej jedności. Obydwie żelazne gwardie, słowacką i madziarską, konsternowała nieodległa pamięć Górnych Węgier. Nieliczny, lecz groźny, zaprawiony w walkach ulicznych serbski Draza pogardzał hajdukami z dolin Prutu, Seretu, Czeremoszu z ich operetkowymi żupanami, a ci w tym samym stopniu gardzili Besarabią, cokolwiek za tą nazwą się kryło.

Najlichniesza, przewodząca zjazdowi polska Biała Legia, stanowiąca połowę całości, fizycznie najbardziej zbliżona do modelu z ilustracji w podręczniku *Państwo i młodość*, tak ugrzęzła w nienawiści wobec wszystkiego, co nią nie było, że na inną nienawiść, niechęci nie wspominając, miejsca już brakowało. Więc gdy powitalne rytuały wyczerpały się same z siebie, pozostało oczekiwanie nie wiadomo na co. Bo jeżeli celem miała być wojna, którą im obiecano, to przeciwnik znaczyć musiał – rozumiał to każdy idiota – więcej niż Żyd, pedał, lesba, mason, ekolog, wegetarianin, muslim czy – najjadowitszy z nich – libertyn. Tak czy inaczej, w grę nie wchodził zbyt drapieżny, uzbrojony po zęby Wschód ani nie wiadomo w co przemieniony Zachód, a Północ i Południe nie znaczyły już nic poza geograficznymi wektorami.

Dlatego gdy kabłąkowaty, zarośnięty czarnymi jak smoła kudłami od stóp do szczytu głowy z przerwą na twarz Besarab lub ktoś z tamtych peryferii w ogniach pochodni wrzasnął do mikrofonu swoje wobec kilkuset pobratymców równie krępych, ciemnych i kabłąkowatych, sprawił całej reszcie przykrość, która ma jedną niepodważalną zaletę – przepędza nudę. Besaraba skuto i odstawiono do aresztu w Nitrze, gdzie miał wytrzeźwieć i rozważyć swoją sytuację.

Kilkunastotysięczna falanga zastygła w oczekiwaniu na karę, której postanowiono nie odwlekać, by nie straciła kontaktu z przyczyną, ale też nie przyspieszać, by żołnierze nacieszyli się jej przedsmakiem.

– Nie mogło zdarzyć się lepiej – skomentował młody steward z Domu Centralnego, którego Don kilka lat temu wyróżnił za cynizm. – Kaźń, bo to nie powinno być nic innego, wraz z przygotowaniami wyrwie chłopaków z przygnębienia, nim generał znajdzie im przeciwnika.

Noce na Wagiem, nieopodal ujścia do Dunaju, po skwarnych dniach były coraz krótsze i jaśniejsze. Lipy zapachniały dwa tygodnie przed czasem. Znad wody słyhać było żurawie, a z lasu – wilgi i kukułki. Kilka dni potem słowacki herold ogłosił wyrok; surowy, lecz nikt nie wątpił, że sprawiedliwy.



# 5

Ale Gaponię przeraził. Besaraba, Wołocha, Cygana, czy za kogo go tam brali, oddano Serbom, a ci mieli go bałkańskim zwyczajem nawlec na pal lub, zainspirowani nowymi trendami w tym względzie, spalić w żelaznej klatce, albo nie rozmijając się z epoką, rozerwać quadami.

– Tak czy inaczej, nie będzie to przyjemność – zauważył intendent Domu Centralnego, którego funkcja nie miała nigdy nic wspólnego z potrzebą, gdy wzburzony Gaponia zaczął dopytywać o szczegóły.

– Nie możesz na to przystać, szefie! – krzyknął Gaponia, wpadając trzy godziny później do pokoiku Dona na piętrze pensjonatu Wrzos wybranego trzy lata wcześniej na miejsce ich krótkich urlopów ze względu na klimat, odludzie i bliskość stolicy. – To nie kara, to barbarzyństwo niemające związku z winą.

Dzień wcześniej rozmawiali o banale przemijania, a tym samym o śmierci.

– Czasem przysiada nocą na brzegu łóżka lub taborecie i mam wrażenie, że jest byle kim – mówił cicho Don, a Gaponia pochylił się ku niemu, by nie uronić ani słowa. – Przygląda mi się bez uwagi, sprawdza, czy gotów jestem do drogi, dając do zrozumienia, że nie pójdziemy Polami Elizejskimi. Ani to kostucha, ani piękność zawieszona między dzieciństwem a młodością, jak wyobrażają to sobie artyści, ani boski księgowy, którego mamy potraktować serio, tylko byle kto. Figura, rzecz można, pierwsza z brzegu. Im dłużej z nią obcuje, nabierając ciała i anektując przestrzeń, tym częściej myślę, że znalazłem się w obcym miejscu, które ani znam, ani chcę poznać. Wszystko mnie odpycha, nałogi omijają bokiem, władza nudzi, wspomnienia męczą, poranki zasmucają, a zmierzchy trwożą. Nie rozumiem radości z przypadkowych codziennych zdarzeń, a przecież były moim i twoim, mój drogi Gaponia, udziałem. Cieszyły nas ptaki o świcie lub zaniepokojenie generała naszymi ryzykownymi decyzjami. Cieszyły nas kobiety, o które się nie staraliśmy, i ich zabiegi, by mimo wszystko, mimo wszystko, mój drogi

Gaponia, zdobyć nasze względy. Maszerowaliśmy przez doczesność jak dwaj ślepcy, zadowoleni, że możemy obyć się bez przewodnika. Porzucaliśmy obowiązki. Nie wnikaliśmy w żaden z żywiołów kotłujących się wokół, bo nie podejrzewaliśmy w sobie władzy nad nimi, choć nikt poza nami o tym nie wiedział. Pilnowaliśmy odległości od tych, którzy daliby wszystko, z życiem włącznie, by się zbliżyć, sami ku sobie zbliżeni. Byliśmy chytry, byliśmy chytry, jak nikt w tym kraju.

A teraz przystanąłem na brzegu, a naprzeciw mnie morze, chciałoby się rzec, tajemnicze, otchłanne, szafirowe, chciałoby się tak rzec, gdyby się nie wiedziało, że to sadzawka z nierozpoznanymi szczątkami. Jedne osiadły już na dnie, inne pływają jeszcze po wierzchu, nim dołączą do reszty. A ty w swej dobroci i mądrości, w którą nigdy nie zwątpiłem, pytasz strwożony, czy podpiszę wyrok na nieroztropnego Cygana, Besaraba, Węgra, czy za kogo on tam się uważa, a ja odpowiadam, że nie mogę nie podpisać, nawet gdybym chciał.

– A chcesz, szefie? Bo jeżeli chcesz, jeżeli chcesz... – Jego głos poszybował w falset, jak zawsze kiedy władała Gaponią gwałtowna emocja.

Promień letniego słońca przesunął się po ścianie i zwiotczał nad żelaznym łóżkiem, jakby była już jesień. Z otwartego na oścież okna zapachniało mokradłami, jak po słotach, choć przełom czerwca i lipca skąpił nawet rosy nad ranem i dni wstawały z trzaskiem.

– Ależ nie chcę, Gaponia – odpowiedział Don. – To inny byt, inna dusza. Nie imaginuj sobie męki, jakiej nigdy nie doświadczysz. Tak jak on nie jest w stanie wyobrazić sobie twoich wątpliwości, rozterek, niepokojów. Jakakolwiek wzajemność nie jest możliwa. Wyobraź sobie raczej, że jeżeli jego świat nie jest twoim, to twoje wyobrażenie o jego kaźni jest wyłącznie płytkim snem, który się przypałętał. Poczuj ulgę. Pomyśl sobie, że jest już po kaźni, w której sprawie nic nie mogłeś uczynić, i poczuj ulgę. Poczuj ulgę, mój drogi.

I Gaponia ją poczuł. Miał wrażenie, że Don jest znowu tym, kim był, nim zordynarniał na potrzeby władania ordynarniejącym z roku na rok narodem. Nim zasmakował w obcym mu przecież prostactwie, nim dał się przekonać

dyktaturze, że na względy liczyć może tylko wtedy, gdy przyjmie jej reguły.

Wszystko, tylko nie wybaczenie, rzekł kiedyś przy śniadaniu Gaponia, gdy zdawało im się, że nie każde zdarzenie trzeba brać serio. Jest tak, jak powiedziałeś, mój drogi, zgodził się Don, a gdy Gaponia rzekł, że tylko zażartował, Don uśmiechnął się cierpko i wyjaśnił: A ja nie.

Ale to było jeszcze w czasie, kiedy obydwaj wahali się, czy przyjąć role, jakie tak niespodzianie podsunął im los. I Gaponia odniósł wrażenie, że stanęli wobec siebie bez masek i rekwizytów, jak wtedy, gdy we władzy obcego im kaprysu je przybrali, nie wierząc, że nie na długo, raczej na chwilę, dla zabawy. I to wrażenie nie ustąpiło nawet wtedy, gdy Don postanowił: Stracą go na swój sposób, Gaponia. Bez zwłoki.

## 6

Bez zwłoki? No, niekoniecznie, niekoniecznie. Kiedy w lipcowe już południe pełne kurzu i wrzasku zrzucono z quada poturbowanego Besaraba, Cygana, Wołocha, a może nawet Węgra ze wschodnich rubieży tego kraju, a draże otoczyły go śmiertelnym pierścieniem, dwumetrowy czetnik warknął: Stać, i pierścień się rozerwał. Kwadrans potem deputowany Vejlic z Nacionalnej Stranki, od tygodnia wizytujący obóz, przypatrując się skazańcowi, rzekł: Można się upierać przy swoim, tylko po co? Jeżeli to w ogóle nasze, dodał czetnik, a gdy po następnym kwadransie deputowany stwierdził: Otóż to – było po sprawie. Los skazańca, który w istocie znaczył mniej niż kurz, jaki wzniecił, oddano przeznaczeniu, jeżeli ono w ogóle ze skazańcem chciało mieć coś wspólnego. Tak czy inaczej, skazaniec wrócił do aresztu w Nitrze. Podejrzenie, że coś jest na rzeczy, przechodziło w pewność. A pewność sprowadziła zakłopotanie, z którym falandze nie było po drodze. Falanga nie była od zakłopotania.

Wiadomość poszła w tłum. Jakaś nieśmiała próba jej spopielenia, podjęta przez komendanturę obozu polskiego, się nie powiodła, strumyki się połączyły i rzeka spłynęła brudem. Nie było już czego tamować. Rzecz stawała się oczywista: Cezar to ciota, a jego sztandar to tęcza. Bo falangą nie miotały demony, miotało nią gówniarstwo groźniejsze od demonów, bo niepowstrzymane. W ostatecznym rachunku to tylko infantylna granda, rzekł przy jakiejś okazji komendant Domu Centralnego, były magazynier z Ikei, zwany generałem. A gdy któryś z jego nomenów zauważył, że nie wolno ich nie doceniać, generał otwarcie stwierdził, że czasami czuje grozę. Z grozą albo bez niej idea centrum, wynosząca kraje Europy Środkowej ze względu na ich młodość ponad stary Zachód i zdegradowany cywilizacyjnie Wschód, znalazła swoje miejsce w Domu Centralnym, choć niekoniecznie w gabinecie Dona, bo Don był na idee za leniwy. Ale ilekroć opuszczał swój gabinet, musiał się na nią natknąć na korytarzach, schodach, w salach

konferencyjnych z zapachem żuru, kapusty i kotletów mielonych, jak przekomarzała się z innymi ideami, których tu nigdy nie brakowało. Dzień, w którym powiedział: Czemu nie – miał niekwestionowany związek z upalnym czasem nad Wagiem, choć dzieliło je dobrych kilka lat. Don mógł tych dwóch słów nie wypowiedzieć lub je wypowiedzieć, kwestia przypadku, chłopcy mogli się nad Wag zjechać albo i nie zjechać, ale ponieważ słowa zostały wypowiedziane, chłopcy nad Wag przybyli.

– I co dalej? – zapytał Czub. – Jest na nich jakiś plan?

– Nie wiem, co nie znaczy, że go nie ma – odpowiedział mu Gaponia. – A dlaczego chce pan to wiedzieć?

– Bo jeżeli jest, to gdzie? A jeżeli go nie ma, to czemu? To proste, Gaponia, wszyscy za to odpowiadamy. Z Kaligulą włącznie. Przekaż szefowi, że się tym niepokoję, że to jest wyzwanie.

– To naturalne. – Gaponia opuścił się na tylnej kanapie, jakby chciał być jeszcze mniej zauważalny niż dotychczas. – A o jakim szefie mowa?

– Jak to o jakim?! A ilu ich jest, do cholery?! – wrzasnął Czub i zarechotał, bo puściły mu na chwilę nerwy.

– No właśnie. – Gaponia westchnął i odłożył telefon.

Co Czubowi podsunęło pomysł skorzystania z takiej szansy? Jaka ambicja go na ten telefon namówiła? Jaka okoliczność go do tego sprowokowała? Raport? Bez przesady, od jakiegoś czasu raporty wręcz potykały się o siebie; gdziekolwiek spojrzeć, tam trafiało się na jakiś raport. I jakim prawem użył w rozmowie słowa „szef”, ściśle wewnętrznego, ukrytego, zamkniętego w zonie, do której nie miał wstępu? Tak czy inaczej, bezczelny typ.

# 7

– Bez dwóch zdań, panie profesorze, zawsze taki był. Znam go od lat i wiem, co mówię.

Gaponia widzi w lusterku wstecznym kwadratową szczękę i siny nalot zarostu, łysiejący szczyt wygolonego łba ponad zagłówkiem i mięsistą dłoń na kierownicy. Czuje ostentacyjny zapach wody kolońskiej. A poza tym chamska jazda przez zatłoczone miasto. Bez koguta, bo z chuligańskimi uprawnieniami. Nieustanna zmiana pasów przez linie ciągłe, ostre wjazdy na skrzyżowania z nieczynnymi od miesięcy światłami i na zatłoczone ronda. Wnętrze forda mondeo jest przestronniejsze niż lancii, chociaż zużyte, jakby służyło różnym pozakomunikacyjnym celom.

– Pan pewno nigdy nie oglądał tych walk – głos szofera brzmi przyjemnie; jeden z tych chętnie słuchanych, nawet gdy powtarzają głupstwa – ale naród je lubi. Zaanektowały wszystkie kanały sportowe od ejbisi po sportorange, więc mieliśmy robotę. On głównie MMA, a ja w zasadzie wszystkie, nawet te, które słabo kumałem. Ale to on był gwiazdą. Dochodziło do tego, że nieważny był gladiator, bo tak przedstawiał zawodników, tylko ten, kto komentował. Z czasem publika przychodziła na Czuba. Nawet nie, że miał gadane, bo gadane miał każdy z nas, ale że on z tego gadania robił spektakl. Naród to naprawdę lubił i kiedy on nawijał, było na ful, jakie tam łachy by się ze sobą mierzyły. A poza tym pies był na baby sakramencki, a one do niego lgnęły. Pamiętam, jak do Savoya, bo to było w Budapeszcie podczas Meeting of Europe, zabraliśmy trzy laski, prosto, rzecz można, z powietrza: aktorka, modelka i jakaś trzecia, przed foyer wymiksowana. Bierzemy numer; koniaczek, woda mineralna, tartinka, one po papierosie i Czub przechodzi do rzeczy: żeby mu ta modelka zrobiła, co miała do zrobienia bez straty czasu, bo na Budapeszt mieliśmy program. A ta, dwadzieścia lat, a może mniej, że wszystko tylko nie to, a Czub, że właśnie to, a ona, że nigdy w życiu, a czas mija, wieczorem jest walka. No to Czub ją z liścia na odlew.

Laska pada jak ścięta, ale zaraz się podnosi, tylko bez połowy twarzy. Ma pan pojęcie, profesorze? Bez połowy twarzy. Nawet śmiesznie to wyglądało. Normalnie to twarz puchnie, robi się wręcz trzecia, a tu na odwrót, jakby prawa połowa twarzy wbiła się w lewą i tak już została. Mam ją w oczach z tym jednym profilem. A pan musiał zauważyć, jaką on ma łapę; chłop z niego bez przesady, ale łapa, że nie daj Bóg. Proszę się nie gniewać, panie profesorze, ale znam ten głos jak swój. Tę knajacką intonację, którą czarował klientelę i publisherów, bo jak nie próbowałyby wyskoczyć, to głos przytrzymuje go przy tym, czym jest, więc wiem, że to on dzwonił do pana, choć nie dosłyszałem, w jakiej sprawie, i dobrze, bo to nie moja rzecz.

Szofer jeszcze coś mówił, ale Gaponia już go nie słuchał, zastanawiając się, jaki związek może mieć telefon od Czuba z opowieścią szofera. Czym go chcą omotać, gdy dowiedzieli się o kaprysie Dona, którego nikt by się po nim nie spodziewał?

Wjechali w zaniedbaną część miasta, z której dwa lata wcześniej przepędzono właścicieli eleganckich mieszkań na zamkniętych osiedlach z anglosaskimi nazwami w stylu: Windsor, Boston, Madison, i wprowadzono tam lud Boży, który, nie wiedzieć czemu, poczuł się tym dotknięty i natychmiast się obraził. Ale lud Boży ma swoje sposoby i wystawne apartamentowce abdykowały na całej linii, szarzejąc do szczytu, jak szarzeje twarz człowieka zaatakowanego przez francę. Co dało się w najbliższej okolicy urwać, zostało urwane, co złamać – złamane, co wyważyć – wyważone, a co zaatakować furją sprayów – zaatakowane, tak by nikt nie miał wątpliwości, że lud, upokorzony lub nie, jest u siebie. Ford wpadł w dziurę jak otchłań, podskoczył, dobił osi, zajęczał, przejechał rozmyte pasy, których trudno się było domyślić, i za znakiem ograniczającym prędkość do trzydziestu, trzymającym się heroicznie ostatniego gwoźdźca, skręcili w osiedle. Wszystko tu, z kurewstwem włącznie, odbywało się w akceptowanej przez jednych i drugich konfidencji. Szofer zatrzymał limuzynę przed jasnym frontonem willi udającej dworek, wciśniętej między dwa bliźniaki z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Zgasił silnik i powiedział przyjaźnie:

– Wie pan, panie profesorze, szoferowie i bodyguardzi siłą rzeczy wiedzą dużo, a jak są bystrzy, a często są, to drugie tyle sobie dopowiedzą. Więc niech pan się nie pogniewa, że wciałem się z gadką w pana zastój, ale uważam, że nie powinien się pan z tym minąć, by się nie zderzyć z czymś, co pana przerośnie. Bo, tak między nami, profesorze, to sprawa nie dla pana i obydwaj się z tym nie najlepiej czujemy. Nie powinien się pan tym zajmować ani wymagać tego od nikogo, kto od pana zależy, bo to robota dla alfonsa. Umówmy się, że jeżeli się nie powiedzie, nie weźmie mnie pan po raz drugi do tej roboty. Jesteśmy na miejscu.

– To znaczy gdzie? – zapytał Gaponia.

– Zbyt pana szanuję, profesorze, by nie odpowiedzieć. – Szofer umknął z pola widzenia lusterka wstecznego. – Przed burdelem dla gości z dużą kasą. Nazwa Dom Wzruszeń nic panu nie powie.



## 8

Podobnie jak dziewczyna, bo mimo całej doskonałości, nic przez nią nie przemawiało. Ani spryt, ani naiwność, rzewność, mądrość, głupota, wątpliwości lub ich całkowity brak. Celofan powiedziałby więcej.

– Udzielam się – rzekła. Uśmiech, jaki temu towarzyszył, nie poruszył jej bezbłędnej twarzy.

Wszystko na swoim miejscu poza duszą, pomyślał Gaponia. Z drugiej strony, skąd miałyby ją mieć. Rozmawiali w foyer jednego z opustoszałych hoteli, którego nie dało się już prowadzić na wymaganym poziomie, więc właściciele postanowili go zamknąć. W prześwietlnym słońcem wnętrzu z powodu niedziałającej od miesięcy klimatyzacji było gorąco i Gaponia czuł krople potu na gigantycznym nosie, który w każdej fazie jego życia, może poza pierwszą młodością, upodabniał go do brodzącego ptaka. Na dziewczynie nie robiło to wrażenia i jej blada twarz była nieporuszona, tak jak nie poruszyłby jej najprawdopodobniej przejmujący chłód.

– Więc tak to, mniej więcej, się przedstawia – powiedział Gaponia.

– To znaczy? – Dziewczyna pochyliła się ku niemu i poczuł miły zapach zdrowia i świeżości, nieskażony żadną perfumą lub dezodorantem.

Zapytała, czy może zapalić, i nie czekając odpowiedzi, sięgnęła po slima. Dym skłębił się w stojącym powietrzu i pozegłował ku Gaponi. Ten ostentacyjnie zakaszłał.

– Przepraszam – powiedziała, nie gasząc papierosa.

– Nic nie szkodzi. – Gaponia cofnął się z fotelem. – Chodzi o to, że człowiek... mężczyzna, którego pani niebawem odwiedzi, nie jest w stanie określić, jak podejrzewam, swoich oczekiwań wobec pani profesji.

– Co to jest profesja? – zapytała dziewczyna.

– W pani przypadku zajęcie – odpowiedział Gaponia.

– Udzielam się – powtórzyła dziewczyna bez śladu zniecierpliwienia.

– To już ustaliliśmy.

Gaponia poczuł, że koszula przemokła na nim ze szczętem. Dawno nie był tak zdeprymowany. Miał potrzebę odwiedzenia toalety, ale nie sądził, by była otwarta.

Kilku robotników w drelichach wlokło przeciwną stroną hotelowego foyer niekończący się chodnik, wspierając się przekleństwami. Dziewczyna obserwowała ich przez chwilę, a papieros między jej wiotkimi palcami ani drgnął.

- Naturalnie pełna dyskrecja – ostrzegł ją Gaponia.
- Na tym polega moja... profesja – uspokoiła go dziewczyna.
- Gdyby jednak...
- Tak?
- To skręca pani kark. Po prostu.
- To zrozumiałe. – Skinęła głową.

Starła się zapanować nad sobą, ale niepokój przeważył. Na chwilę zamknęła oczy, jakby umykała w głąb siebie. Rozchyliła bezwiednie uda i Gaponia zauważył, że jest bez majtek. Przez chwilę zależała od własnej niepewności, a Gaponia na odwrót, czuł umiarkowaną przewagę i przestał się pocić, choć w hotelowym foyer nie zrobiło się ani trochę chłodniej. I tak, zamienieni odczuciami, ruszyli do pensjonatu Wrzos w zakolu rzeki.

# 9

Pogróżka Gaponi, mało wiarygodna w ustach człowieka tak nieuzbrojonego, nie była wyjątkiem, a raczej normą. To był już od kilku lat kraj wzajemnych pogróżek, z których część należało brać serio. Lansowanej przez zagraniczne media opinii o infantylnej dyktaturze zaprzeczały pękające w szwach kryminały i nagminne skrytobójstwa. Likwidowano ludzi nie tyle wrogich rzeczywistości, ile wyłamujących się z obyczajów narodowi zaproponowanych i przez naród przyjętych. Pederasta nieukrywający swego wynaturzenia stawał się kandydatem na ofiarę, jaką na ołtarzu miłości do ojczyzny składał ze swego honoru, zdrowia lub życia. I nic tu do rzeczy nie miały jego poglądy lub ich brak, bo nie o nie chodziło. Wrogiem rzeczywistości stawał się każdy, kto jej nie służył czynem lub myślą. Przemoc nie szła z góry w dół; jeżeli już, to z dołu do góry, gdyż tę atrakcję pozostawiono obywatelom.

Słowo „kontras” stygmatyzowało oględniej niż „libertyn”, „mason”, „cyklista”, „wegetarianin” albo, nie wiedzieć czemu, „filatelista”. Takich nie chroniła nawet ostrożność. Co w takim razie trzymało ich przy zdrowiu lub życiu? Przypadek. Bo rewanz na wrogach ludu miał w swej treści chaos. Ponieważ wymierzanie kar, jak i obdarzanie względami, pozostawiono obywatelom, ci skorzystali z przyrodzonego prawa do bezhołowania i razy, często okrutne, rozdawali na oślep. Toteż w kryminałach zamykano tych, co jeszcze niedawno sami sądzili, a wolnością obdarzano ich ofiary, by stawały się sędziami. Na tym polega ruch w tym interesie, mawiał jeden z dyrektorów dolnego biura Domu Centralnego, zwany od niedawna dykasterem. Sam nie był pewien swego bezpieczeństwa, zgodnie z zasadą współodpowiedzialności za nieznanne grzechy. Hierarchii wznoszącej nie było w istocie żadnej. Don i reszta, a między nimi otchłań. Sytuacja Gaponi była w związku z tym niedopowiedziana. Zazdrozczono mu miejsca przy cesarzu, lecz go nie szanowano. Nie mógł cieszyć się również tym rodzajem

braterstwa, jakim cieszą się młodzi i czasami niemłodzi mężczyźni, gdy odkryją, że łączy ich ten sam rodzaj rozrywek. Gaponia był poza tą kategorią – ni to facet, ni to znak. I jeżeli nawet bliżej mu było do znaku, to nie wiedziano jakiego i co on miał oznajmiać w przyszłości. Zresztą to nie był kraj, który zaprzętałaby przyszłość, bo dosyć w nim było teraźniejszości. Miało się nawet wrażenie, że przyszłość jest zakazana w związku z metodycznym przygotowywaniem przeszłości, mającej zastąpić wszystkie inne czasy. Terror nie zaciskał kleszczy z góry, bo się z niej nie brał, tylko z dołu, gdyż wszystkie atrakcje z nim związane pozostawiono prawdziwym lub częściej urojonym ofiarom liberalizmu i demokracji. Dziewczyna, rozumiejąca chyba rzeczywistość lepiej, niż można by sądzić, do opustoszałego pensjonatu Wrzos w zakolu rzeki weszła nieźle przestraszona.

– Czy jest ładna? – zapytał Don, rozlewając się nad stołem, przy którym pracował.

– Zaraz ją wprowadzę, szefie – odparł Gaponia. – Sam ocenisz.

– Opisz mi ją wpierw, mój drogi.

– Nic jej nie brak, jak sądzę. Jest do twojej dyspozycji od zaraz.

– A czy ona o tym wie?

– Wie wszystko, szefie.

– W takim razie wprowadź ją do mnie jutro przed śniadaniem.

Do pokoju przez okno otwarte na oścież wleciała jaskółka. Usiadła na belce pod sufitem i widać było jej pulsujące serce.

– Poproś osobę, by urządziła ją w jednym z górnych pokoi – rzekł Don. – Dobrze by było podać jej też coś do zjedzenia poza kaszą gryczaną i zsiadłym mlekiem.

– Jak sobie życzysz, szefie. – Gaponia skinął głową i obrócił się do drzwi, a Don wbił wzrok bazyliuszka w ptaka, który mógł w każdej chwili wyfrunąć lub paść trupem.

– Mój Boże, duszyczka – szepnął.

# 10

Gdy Gaponia wprowadził nazajutrz dziewczynę do ascetycznego pokoiku Dona, dzień się zaledwie otrząsnął z mgieł, wilgoci, może nawet deszczu. Początek sierpnia zapowiadał w tych stronach jesień.

To było przygnębiające – miał powiedzieć dwa lata potem, zeznając przed komisją Hossego. – Don cofnął się w stronę okna, a dziewczynę zamurowało w drzwiach.

To przerosło jej wyobraźnię, jeżeli ją w ogóle miała, ale czemu miałyby nie mieć. I w rzeczy samej tak to wyglądało. Don powiedział: Podejdź bliżej, dziecko, lecz widać było, jak wiele by dał, by dziewczyna nie posłuchała, a ona dałaby jeszcze więcej, by nie skorzystać z tak nieśmiałego zaproszenia. Nie mogła go nie znać, bo do niedawna był wszędzie, lecz mogła go nie rozpoznać, nie tyle zmienionego, ile przeistoczonego. W kogo? – pytał od jakiegoś czasu sam siebie Gaponia i nie znajdował odpowiedzi. Gdy przekonywał coraz bardziej zniecierpliwionego swą niemocą młodego doktora, że pacjent anektuje przestrzeń, że jest go coraz więcej w różnych miejscach, że czuje jego obecność tam, gdzie go na pewno nie ma, ale jednocześnie ta obecność coraz mniej znaczy, że Don się rozmywa w miejscach niemających z nim żadnego związku, to doktor nieodmiennie odpowiadał, że dziedzina medycyny, jaką reprezentuje, nie zna odpowiedzi na tak postawione pytania.

Kiedy Gaponia chwycił dziewczynę za ramię, by pchnąć ją ku oknu, przy którym Don się rozprzestrzeniał, poczuł, że jest mocna mocą nie tylko młodości, zdrowia, urody, lecz również przerażenia wyzwającego nieznaną siłę. Należy wziąć pod uwagę, że miewała różnych klientów, myślał Gaponia, włącznie z budzącymi skrajną niechęć, a może wręcz strach, bezceremonialnością, brutalnością, skłonnością do zła, ale z tego świata. Czy zdało jej się, że klient, który ją sobie zamówił, jest z pogranicza światów, wychylony w stronę najgłuchszej tajemnicy, a więc czegoś, na co ona była

zdecydowanie za młoda?

Kwadrans później na łące za pensjonatem przysiadła, jak zawsze w środy i piątki, biało-czerwona agusta i Gaponia, zajmując miejsce obok pilota, poczuł zapach rozgrzanych smarów, który tak lubił. Za godzinę miał, jak zawsze, zająć gabinet na najwyższym piętrze Domu Centralnego i pochylić się nad *Blaskiem*, który go w tym samym stopniu kusił, co zniechęcał. Zdarzały się takie środy i piątki, kiedy do rozprawy o związkach dwóch niewielkich południowych mórz z bezsenssem istnienia w niekwestionowanym pięknie dołączała konkretna robota do wykonania, witana z ulgą, gdy z rozprawą mu nie szło, lub ze zniecierpliwieniem, gdy prostacka materia życia wkradała się w piękno iluzji. Tak właśnie było dzisiejszego przedpołudnia.

Wątle słońce po deszczowym ranku zajrzało przez angielskie okno do gabinetu, gdy do drzwi zapukała sekretarka, by zawiadomić, że pan sędzia ludowy, zwany powszechnie skurwysynkiem, już jest.

– Zapraszam – rzekł Gaponia i udał zajętego, mimo że z rozprawą tego dnia mu nie szło.

– Do usług pana profesora! – krzyknął skurwysynek i ukłonił się błazeńsko już w drzwiach. Po chwili pochylił się nad biurkiem i bezceremonialnie zajrzał do otwartego kajetu. – Można? – zapytał, obracając się w tę i tamtą.

– Zależy co. – Gaponia spięty był i wilgotny od potu.

– Zając miejsce na tym oto krzeselczku, że się tak zinterpretuję. – Skurwysynek krygował się, jak to skurwysynki mają w zwyczaju, i na moment zamarł z jedną nogą w górze.

Gaponia wskazał mu miejsce i przeszedł do rzeczy.

– Państwo alternatywne i członkowie jego komitetu założycielskiego, kilkanaście osób, o ile się nie mylę. Która z nich przeżyła wasz czteroletni areszt?

– O, przepraszam, profesorze, areszt to nie ja. Pan mnie przecenia w odwrotnym kierunku. Ja tylko sędzę lub, jeżeli łaska, wymierzam sprawiedliwość.

– Powiedzmy, że tak to się nazywa. – Gaponia umykał wzrokiem we wszystkie strony. – Słyszał pan moje pytanie?

– Sędzia Hosse, jeżeli mam aktualne informacje.

– W jego sprawie Don czyni mnie pośrednikiem między sobą a urzędem, który pan reprezentuje.

– Don?

– A co pan sobie wyobraża, panie sędzio ludowy, że kto? – Gaponia zapłonął ceglastym rumieńcem, którego nie schłodził pot na jego twarzy.

– Co łaska, panie profesorze, jeżeli mam prawo sobie coś wyobrażać. A co do Hossego, to czeka pokornie w kolejce do sprawiedliwości, która to kolejka z przyczyn obiektywnych, że się tak zinterpretuję, krótka nie jest.

– Chodzi o tę kolejkę.

– Donowi?

– Chyba nie mnie. Don uważa, że sędzia Hosse nabył już prawo do wyroku po czterech latach udręki w przepelnionych aresztach śledczych i ma prawo do kryminału, który będzie miał szansę przeżyć, a pan, panie sędzio ludowy, w swej niezmiętej roztropności wskaże taki, który tę szansę zaoferuje.

– Don? – Skurwysynek pochylił się nad przeciwną stroną biurka. Niewysoki, krępy, blady, do złudzenia przypominający wziętego aktora przyznającego się publicznie do fascynacji włoskim faszyzmem. – Słuch mnie nie myli?

– Rozumiem, że jest kolejka – rzekł Gaponia i głos mu się załamał. Przeklął w duchu swoją niemożliwą do przewyciężenia, nawet wtedy, gdy okoliczności stwarzały mu przewagę, uległość wobec każdego chamstwa – ale można ją skrócić.

– Albo wydłużyć, panie profesorze. – Skurwysynek rozłożył ręce, uśmiechając się przyjaźnie.

Droga od złodzieja rowerów do stanowiska jednego z kilkunastu sędziów ludowych była stroma, lecz krótka. Bo od czego szczęśliwy traf. Uderzające podobieństwo do aktora afirmującego swoją postawą rzeczywistość przesądziło o karierze skurwysynka, gdy aktor naćpany i pijany jak bela wsiadł do swojego lamborghini i zginął na pierwszym skrzyżowaniu akurat

wtedy, gdy jego obecność w pobliżu władzy była niezbędna.

– Próbuje się pan targować z Donem! Z Donem! – krzyknął Gaponia. – Teraz ja zapytam: czy słyszę to, co słyszę?

– A niby co innego miałby pan słyszeć, profesorze. – Okrągła, blada, nalana twarz skurwysynka rozciągnęła się w uśmiechu ziomala z bloku. Odezwał się cicho, już bez błazenady: – Cykor to zły doradca. Podpowiada krzyk, którym się nic nie załatwia. Żebyśmy czasu nie gubili: Don nie dowiaduje się o pańskim numerze z jego niby inicjatywą, Hosse staje na czele kolejki i jak nie zrobi głupstwa, to wyrok przeżyje, a ja zaszczytam swoją osobą godność nomena. Bo ja też czekam, panie profesorze. Też czekam.

– Nie jest pan funkcjonariuszem Domu Centralnego. – Gaponię wygięło ze wstydu w znak zapytania lub jakiś paragraf.

Skurwysynek to zauważył, bo cwany był wręcz do przesady. Można powiedzieć, że ta zaleta rozparła się w nim ponad potrzeby stanowiska, jakie zajmował. Przepelniała go w stopniu, jaki mógł mu ciążyć. Wstał z krzesła i nie uzgadniając tego z Gaponią, skończył rozmowę. W drzwiach odwrócił się i zapytał:

– A Czub jest? Czub?

I nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Gaponia pochylił się bezwiednie nad kajetem. A może w niego umknął. A tam woda opalizująca w słońcu, szum fal, blask południa w szczycie czarnomorskiego lata. Wysmagane wiatrem drewniane schody wspinające się piaszczystą skarpą i gromadka kobiet wracających z morskiej kąpieli. Cała bezużyteczna uroda istnienia, która tak zawładnęła nieznanym swego kresu esejem, bo apetyt Dona na niedostępny mu w realu świat był niespożyty.

– Ile posunęliśmy się w pięknie, mój drogi Gaponia? – pytał każdej środy i piątku, gdy Gaponia wracał ze swego poddasza w Domu Centralnym. – Czy już ściana?

A Gaponia nieodmiennie odpowiadał, że jest jeszcze przestrzeń ich wzajemnej fascynacji, a może już egzaltacji, i przedstawiał urobek tych kilku



godzin, jakie spędził nad kajetem. Don był wyrozumiały, gdy plon był marny lub go w ogóle nie było, bo rozumiał trudność przedsięwzięcia i poświęcenie kamrata.

– To sytuacja, jak z tych wschodnich baśni – rzekł stary poeta w rozmowie z reporterem „El País” na werandzie bodegi w Hervás lub El Pedroso. – Don nienasycony, a jego sługa, bo w żadnym wypadku przyjaciel mimo pozoru takiej relacji, bezsilny, jak to bywa z ludźmi umiarkowanie utalentowanymi. To że obydwoj tak łaknęli urody i blasku, brało się z niedostępności tychże dla każdego z nich. Rzeczywistość nie zamieszała ich w żadne piękno. W żaden jego strzęp.

# 11

W tej sprawie stary poeta się nie mylił, w innych – zdarzało się. Swego czasu stanowili nierozłączną kompanię – młodzi, obrani z zalet, jakie wynoszą ponad innych, pogodzeni z własną przeciętnością w każdej z ludzkich konkurencji, chociaż w przypadku Gaponi można było mówić o szpetocie wręcz egzotycznej, prowokującej nieustanne żarty, a niechronionej przez kalectwo, które żarty powstrzymuje. Toteż dworowano sobie z niego nieustannie i bezkarnie. I chociaż trzej pozostali stanowili obiekt kpin z powodu jałowości swoich poczynań, to tylko Gaponia obrywał nawet wtedy, gdy popadał w beczynność. Nie było takiego cienia, w którym mógłby się ukryć. Miało się wrażenie, że drwina, jeżeli jej apetyt na zadawanie bólu nie jest dostatecznie zaspokojony, wywleka go nawet z mysiej dziury. Cierpiał z całej czwórki najdotkliwiej i to cierpienie wyrysowywało na jego drobnej twarzy udekorowanej gigantycznym mięsistym nosem całą siatkę udręki. Można z niej było czytać jak z Księgi Hioba. Ale w naturze tego zbyt wysokiego chudzielca nie leżał odwet. Nie był do niego zdolny głównie, a może nawet wyłącznie, z braku sił.

Podobny brak sił naznaczył najmłodszego z nich, kleryka noszącego biblijne imię Jonasz, który rozstał się z Bogiem, bo ani filozoficzna metoda poznania, ani zjednoczenie mistyczne, jakim bywa modlitwa, nie były w stanie utrzymać się w jego płytkiej duszy.

Poeta, o którym mawiano: szlachetny, lecz anachroniczny, pod pseudonimem Nimfa miał zamiar się zemścić na swoich recenzentach jakimś awangardowym bełkotem, i to mu się w jakimś stopniu udało, gdy został laureatem prestiżowej nagrody poetyckiej Nazo.

Czwarty z tej kompanii, o którym mówiono Baniak, nim został Donem, nie zaznał w swym banalnym życiu ani cierpień, ani radości, bo nie był na nie gotowy. I ta niezdolność do podstawowych ludzkich uczuć w grupie czterech słabeuszy czyniła go najsilniejszym. Niski, krępy, obły, melodyjny, mimo

rozbratu z aktywnością fizyczną zadziwiająco odporny na zmęczenie, stres, choroby, które trzech pozostałych nękały ponad miarę, nie miał na swoją neutralność żadnego pomysłu. Można by rzec, że z tej drugorzędnej czwórki on był najdrugorzędniejszy, więc wysunął się na czoło bez porozumienia z pozostałymi. Ale nie mieli o to żalu.

– Mimo całej swojej bylejakości miał taki inteligencki sznyt z nienagannym wychowaniem na czele, z czym my się rozminęliśmy – mówił reporterowi dziennika „El País” stary poeta. – Ojciec wzięty konstruktor lotniczy i matka pianistka, a do tego zasobna willa w prestiżowej części miasta i nieznajomość bied, jakie każdego z nas nękały, czyniły z niego szefa. Rozumiesz, chłopcze – mówił stary poeta młodemu reporterowi na tarasie kawiarni Vergilio lub innej podobnej w El Pedroso albo Hervás, na pograniczu Andaluzji i Estremadury – ze swoim dzieciństwem i młodością mógł być ostatnim z nas lub pierwszym. Postawiliśmy na to drugie i, jak się potem okazało, dla nikczemnej sprawy słusznie.

Tak czy owak, gdy przystali do półżywej partii liberalnych socjalistów lewitujących na peryferiach krajowej polityki, a ściślej przypadkowo się do nich przypaętali, to wśród garstki rozproszonych, nieznających się wzajemnie nieudaczników, złączeni pozorami przyjaźni, lojalni wobec siebie, wspierający solidarnie swe amatorskie zrazu pomysły, stali się jej awangardą. Pomysł, by stanąć po stronie przegranych, po stronie tych, którzy po niespodziewanej zmianie systemu znaleźli się po niewłaściwej stronie rzeczywistości, by wyostrzyć roszczenia roszcujących, frustracje sfrustrowanych, nienawiść nienawidzących, nobilitować niedołęstwo, gnuśność, uzasadnioną lub nieuzasadnioną bezradność, taki pomysł miało wielu przed nimi, obok nich, a nawet po nich. Ale gdy dobrze odżywieni goście, ubrani jak spod igły, wraz ze swymi lśniąco od dostatku kobietami zajeżdżali wystawnymi limuzynami przed front niespełnienia, rzeczywistej lub częściej wmówionej sobie niedoli, tracili wiarygodność w przeciwieństwie do Baniaka, Gaponi, poety i alumna, którym żadna inscenizacja nie była potrzebna. Przekonywali do siebie bez słów: Gaponia – rusycysta z beznadziejnie rozwleczonym przewodem doktorskim, poeta bez matury,

półksiężdz wyszydzany przez wiernych, okradziony z wiary, i absolwent prawa bez aplikacji. Bezzenni, nieładni, byle jacy, kompatybilni z wszelką miernością. Obywatele zaczęli wsłuchiwać się w ich słowa. Baniak okazał się niezłym mówcą, a Gaponia – autorem wystąpień, w których spis pretensji do losu walczył o lepsze z pogrózkami wobec opatrności. Na tych pretensjach trzech kompanów wjechało do parlamentu, bo alumn – czwarty – wpadł pod pociąg na niestrzeżonym przejeździe kolejowym pod Mławą. Może właśnie wtedy Bóg, którego przecież nieustannie wyglądał, dał mu jakiś znak. Dwie kadencje w Zgromadzeniu Narodowym minęły im w cieniu państwa mającego się, niestety, coraz lepiej. Sprawily to talenty jego obywateli – niepodważalna pracowitość przecząca obiegowym opiniom o społeczeństwie obleczonym w gnuśność, dzielność w wersji antypatycznej, lecz skutecznej, zaradność na granicy taniego cwaniactwa, młodość pokonująca wszelkie przeszkody – którzy preferowali życie zanurzone w rozpanoszonej pospolitości mającej zawsze przewagę nad subtelnością, zakotwiczone w istnieniu, zdawałoby się, nierozzerwalnie. Naród rozsmakował się w postępie, który dało się najprościej identyfikować z autami, elektronicznymi gadżetami, domami pod miastem, rzeką piwa wszystkich europejskich marek, mięsem pieczonym na grillu, przekarmionymi dziećmi włączającymi dorosłym na łeb, prostacką wesołością i rozkoszą czucia się wszędzie jak u siebie. Naród szedł za instynktami, wśród których przewagę miały te służące zwycięstwu, a nie, jak dotychczas, przetrwaniu.

– Masz pojęcie, synu – mówił stary poeta reporterowi dziennika „El País” – negacja życia, tak zakotwiczona w waszych znużonych, lękliwych społeczeństwach, w moim kraju snuła się cichcem pod ścianami; wyłącznie pod ścianami. Dumni byliśmy ze swoich ordynarnych losów, które nie wydawały nas na pastwę waszych neurastenii.

Stary poeta miał rację. Kraj się bogacił i na swój sposób piękniał, zważywszy na brzydotę, z jakiej się wydobywał. Trzech przypadkowych kompanów nie przebywało nawet na obrzeżach tego powodzenia. Było elementem konstrukcji, który niczego nie podtrzymywał, z niczym się nie łączył, niczemu nie służył. W kraju stawianym za przykład przygnębionej

swoją starością Europie, zdolnym do ofiar opłacanych korzyściami, było wraz ze swoją partią śmieciami niesionymi przez wartką rzekę życia.

– Więc skąd ten nagły odwrót? – zapytał młody reporter, a stary poeta uśmiechnął się zagadkowo.

Spojrzał z tarasu kawiarni na wzgórzu na zatopione w kwiatach i melancholii El Pedroso lub Hervás, które udzieliło mu gościny, kiedy wygnany z ojczyzny rozglądał się za miejscem do życia, jakie by go nie przytłoczyło. Odpowiedział niechętnie:

– Dojdziemy do tego, synu – lecz w tonie jego głosu nie było zobowiązania.

# 12

– Dołączysz do nas? – zapytał Don, gdy babie lato ustąpiło przed październikowymi słotami.

– W jakim charakterze, szefie? – zapytał Gaponia i uśmiechnął się niewyraźnie jak chłopiec, gdy wytnie jakiś numer o nieznanych konsekwencjach.

– Trzeciego do chińczyka – odrzekł Don. – Odpoczywam przy nim, podobnie jak dziewczyna, więc gramy do upadłego.

– Ma jakieś imię, szefie?

– Dziewczyna? Owszem. Więc dołączysz?

– Chętnie. – Gaponia przestąpił próg. – Jeżeli sobie poradzę.

Dziewczyna siedziała na taborecie przy stole, pochylona nad czterokolorową planszą. Nic jej nie szpeciło, nawet nuda. Do diabła, pomyślał Gaponia, jest chyba doskonała, jeżeli coś wiem o kobietach. Pokój został przemeblowany, jak to się dzieje, gdy oczekujemy kogoś ważnego. Surowość niewielkiego wnętrza zgaszono kobiecym elementem, jakim były jesienne kwiaty w wazonie, a nie słoiku po ogórkach, czy poduszki na taboretach przy stole przykrytym obrusem. Jeżeli tymczasowość, jaka władała tym pensjonatowym numerem, można było najmniejszym kosztem przekonać do trwania, zostało to uczynione. Nawet obraz w ciężkiej złoczonej ramie – nieudolne powtórzenie pejzażu z za okna – to potwierdzał. Było coś wzruszającego w próbie udomowienia kilkunastometrowego pokoju w pensjonacie za pomocą kilku chaotycznych w istocie zabiegów; trudno było tego nie zauważyć. Podobnie jak tego, że ze słodkomdłym zapachem sobie nie poradzono.

– Wybrałaś niebieskie, jak rozumiem, mój drogi – rzekł Don, wskazując planszę. – Chyba że nęcą cię żółte, czerwone lub zielone.

– Mój wybór padł na niebieskie, szefie, jak tylko tu wszedłem – odpowiedział Gaponia. – Czy ta gra ma jakiś cel?

– Jakbyś zgadł. Zabija czas, który mi nie sprzyja. Od kiedy zesłano mnie do tego pensjonatu nad rzeką, odsuwając od pozorów władzy, dni i tygodnie wloką się niemiłosiernie.

– Zaoponuję, szefie. Pozory ci zostawiono, władzy nie ma nikt. I tak nie ma równego tobie; ani Czub, ani generał, ani sędziego ludowy, ani żaden z dyrektorów Domu Centralnego, o ministrach, o których niewiele wiemy, nie wspominając. Oni niczym ani nikim nie rządzą, a ty przynajmniej rządzisz nimi, więc nie mów, że zabrano ci wszystko. – Gaponia wskazał planszę, znad której dziewczyna ani razu nie podniosła głowy. – Są jakieś zasady?

– Pytasz o grę?

– Dzisiaj tak.

– Każdy ma trzy rzuty kostką. Jeżeli suma punktów jest mniejsza niż dziesięć, cofnąć się trzeba o tyle pól, ilu ich do dziesięciu brakuje.

– Sądziłem, że chińczyk jest prostszy.

– Masz rację, mój drogi. Skomplikowałem go trochę, gdy zorientowałem się, że zasady, jakie pamiętam z dzieciństwa, nudzą osobę dotkliwiej niż lęk przed moją dolegliwością.

Gaponia spojrzał na dziewczynę nieporuszoną jak głaz. Miał wrażenie, a właściwie był pewien, że rozmowa o grze i władzy płynie obok niej jak ta dzika rzeka za oknem.

– Będę oponował po raz drugi, szefie. Dziewczyna wygląda na zainteresowaną grą bardziej niż my. Zauważyłem, że nie podnosi głowy znad planszy.

– Kiedy jest tylko ze mną, podnosi – rzekł Don i wskazując stół, dodał: – Rzucasz pierwszy.

– Przyjąłem dzisiaj sędziego ludowego – kostka potoczyła się po planszy – tak jak kazałeś, szefie.

– Kazałem? – Bolesny grymas ucłowieczył twarz Dona. – Nie pamiętam.

– Tak, szefie – skłamał Gaponia. – To było na początku tych cichych jesiennych dni, które tak cię zachwyciły.

– Nieprawda – rzekł twardo Don.

– Nie myślę się. – Gaponia spłoszył się nie na żarty.

Don opuścił powieki i zamarł w bezruchu. Gaponia ukrył drgającą dłoń pod stołem. Zauważył, że twarz Dona mimo zamkniętych powiek nie uległa zmianie, jakby zmiana na lepsze lub gorsze już jej nie dotyczyła. Dziewczyna ani drgnęła.

– Mylisz się – powtórzył twardo Don. – Nic mnie już nie zachwyca.

Kończy się, pomyślał Gaponia z bezbrzeżnym smutkiem i tragiczną ulgą. Zdarzało mu się wcześniej – najlojalniejszemu z lojalnych – kiwać Dona w sprawach służących ich sumieniom, ale teraz, gdy Don osiągnął status otumanionego Boga, do którego każdy się odwołuje, ale nikt go nie słucha, uznał to za grzech.

– Zastanawiam się – rzekł ostrożnie – czy wobec ciebie, szefie, sędzieu ludowy pozwoliłby sobie na taką nonszalancję, jak wobec mnie.

– A czemu się zastanawiasz?

– Bo chcę wiedzieć, gdzie wyznaczono granicę, za którą jest już tylko chaos.

– A czemu chcesz wiedzieć, mój drogi?

Gaponia rozłożył ręce i spojrzał na szyby spływające pierwszym uporczywym deszczem.

– Podpowiem ci, mój drogi. – Don westchnął i w ciasnym pokoju zaśmierdziało padliną. – Z ciekawości.

– Wyłącznie – usprawiedliwił się skwapliwie Gaponia. – Chyba nie podejrzewasz mnie o nic więcej.

Don podniósł powieki i zapytał prawie szeptem:

– Kiedy zbierze się sąd?

Gaponia odpowiedział, że tak szybko, jak to możliwe. Po raz trzeci rzucił kostką i jego niebieskie pionki pozostawiły za sobą czerwone Dona i żółte dziewczyny.

– Nagłośnią to – skłamał – a wyrok będzie surowy.

– Za co? – Dziewczyna ani drgnęła, zadając pytanie tak cicho, że obydwaj mężczyźni mieli prawo je zignorować.

Gaponia bliski był tego, gdy Don odpowiedział:



– Za herezję.

Wiatr dmuchnął w okno mokrymi listkami brzoź. Kilka z nich przylepiło się do szyby. W pokoju nastał półmrok, lecz nie zapalili światła.

– Czy jasne dni jeszcze wrócą? – zapytał Don, spoglądając w okno.

– W tych stronach już nie – odpowiedział Gaponia. – Idzie ku zimie. – Po czym zapytał dziewczynę, czy zna bajkę o smoku.

Skinęła głową, że zna.

– Potrzebował ofiar. Pamiętasz?

Odpowiedziała, że pamięta.

– Hodujemy takiego smoka – rzekł Gaponia, bawiąc się kostką. – Codziennie podsuwamy mu ofiary, lecz od czasu do czasu domaga się czegoś ekstra. Co cię zasmuca, szefie? – zapytał, przenosząc wzrok na bladożółtą twarz Dona tracącą wszelkie kontury.

– Zmierzch – padła odpowiedź.

– Możemy zapalić światło.

– To niczego nie zmieni.

I Bogu dzięki, bo w tym półmroku, ciepłe płynącym od elektrycznego konwektora, w łagodności gry, jaką prowadzą, szumie deszczu za oknem, nawet w porywach wiatru był spokój, coś bardzo niezobowiązującego, przynoszącego ulgę. Więc gdy godzinę potem Gaponia pożegnał tę dziwną parę, życząc dobrej nocy, poczuł żal, jak wtedy, gdy opuszcza się coś, co się już nie powtórzy. Za progiem rzekł od niechcienia to, co powinien powiedzieć na początku, z czym przyszedł: że nad Wagiem nie dzieje się dobrze, ale Don chyba tego nie usłyszał.

# 13

– Nad Wagiem jest źle – powtórzył komendant Domu Centralnego zwany generałem. – Rzym już nie działa. Legaci, kohorty, centurie – nikt się już na to nie nabiera. Do falangi dobrał się konkret i przepędził infantylne legendy. Zimno, deszcze, aprowizacyjne niedostatki. Odżyły wspomnienia wzajemnych despektów trzymanyh dotychczas przy pysku. Nawet pijaństwo ich już nie bawi. Są przygnębieni i lada moment mogą podjąć samowolną decyzję o powrocie, który nie będzie przypominał wymarszu.

– Co wtedy? – zapytał Gaponia, moszcząc się w wielkim skórzanym fotelu.

– Nawet zagłada – odpowiedział mało przejęty generał, jakby mówił o innym kraju w innym czasie.

Komendant Domu Centralnego, zwany generałem, wstał zza biurka.

Dużo bym dał, by wyglądać tak jak on, pomyślał nie po raz pierwszy Gaponia. Przechadzał się przed nim siedemdziesięcioletni mężczyzna więcej niż piękny, nie wiadomo jakim cudem zamieszany w plebejską hołotę, karczemną zgraję, swojacką ferajnę, która zdobyła urzędy i w nich zamieszkała. Generał urząd swój pełnił, jak spacerował, z godnością, i choć od pewnego czasu równie nieskutecznie jak czereda ministrów, naczelników, dykasterów, stewardów, intendentów, sędziów ludowych i prokuratorów, to z wdziękiem, o jaki tamci się nawet nie otarli. Służył mu gabinet, zwany salą tronową nie tyle z powodu wielkości, ile niekwestionowanej przez nikogo urody, jak z filmów Viscontiego. Było to miejsce z nieznaną gościom generała rzeczywistością, w ostentacyjnej opozycji do ascezy miejsc zajmowanych przez Dona lub nuworyszowskiej wystawności gabinetów urzędników i funkcjonariuszy partyjnych tracących władzę na rzecz ludu, lecz zatrzymujących przywileje.

– Co podpowiada nam sytuacja? – zapytał Gaponia, prześlizgując się wzrokiem po grzbietach pięknie oprawionych książek, w większości, był tego pewien, nawet nieotwartych.

– Wojna, panie profesorze.

– Z kim?

– Z państwem upadłym. W przeciwnym razie falanga wróci znad Wagu rozdrażniona jak bestia i zacznie wprowadzać swoje porządki. Nie liczylibym na wyrozumiałość.

– Don na to nie pozwoli.

– Mówi pan o porządkach, profesorze?

Gaponia skinął głową.

– Tym razem już go nie posłuchają. Nie jest dla nich Przodownikiem, od kiedy jakiś śmieć znad Czeremoszu, Prutu, Seretu, z przedmieść Debreczyna czy z Besarabii podważył jego prawo do faszyzmu.

– Został w porę ukarany.

– Nie ma na to dowodów. Kaźń tego śmiecia odłożono i, moim zdaniem, on wciąż żyje.

– Don...

– Będzie równie bezradny jak każdy z nas. To że obrażono go bezkarnie, że go w ogóle obrażono, przesądza sprawę na jego niekorzyść. Przykro mi.

Gaponia pomyślał, że jeszcze pół roku temu komendant Domu Centralnego, człowiek nienagannie wychowany, choć tylko były magazynier z Ikei, nie pozwoliłby sobie na uwagi podważające pozycję Dona, i że wcale nie jest mu z tego powodu przykro; jest mu to doskonale obojętne. Zapytał, czy może zapalić. Generał odrzekł, że naturalnie, sam od czasu do czasu to robi.

– Slimy, już ostatnie – powiedział Gaponia, unosząc dłoń ze smukłym papierosem. – Są zdrowsze.

– Mniej szkodzą – zgodził się generał.

– To miałem na myśli – skwitował Gaponia i zapytał, o co ta wojna.

– O cokolwiek. – Generał zajął fotel naprzeciwko. – Jakie to ma znaczenie o co?

– Dla Dona może mieć, jeżeli chce pan w tej sprawie jego zgody.

– O Ruś Zakarpacką.

– Zakarpacką?

– Powiedzmy, że tak, skoro upiera się pan przy szczegółach. Chodzi o wojnę, nie o przeciwnika.

– Którą falanga wygra?

– Lub przegra, profesorze.

– Czemu miałyby przegrać?

– Bo państwo upadłe nie jest tak upadłe, jak nam się zdaje.

– Mamy się uwikłać w tę beznadziejną wojnę i nawet ją przegrać?

Komendant Domu Centralnego uśmiechnął się, rozłożył ręce, uniósł brwi i tak upozowany trwał dobrą chwilę.

– Pozwoli pan, generale – Gaponia miał wrażenie, że kiedy mówi szeptem, słuchają go uważniej – że decyzję o powiadomieniu lub niepowiadomieniu Dona pozostawię sobie.

– To naturalne – zgodził się generał. – A skoro już o tym, to jak się miewa?

– Don? Letnie zapalenia płuc są dotkliwsze niż zimowe, a on przeszedł letnie. Rekonwalescencja się nieco przedłuża.

– A to Podlasie?

– Z dobrym powietrzem. Odludzie, brak przemysłu, nawet rolnictwa. Łąki, lasy, zagajniki, rzeka...

– Lubi to?

– Niekoniecznie.

– Niech mu się pan nisko ode mnie kłania i życzy zdrowia.

– Zrobiłbym to – Gaponia wstał z fotela i ruszył do drzwi – nawet gdyby mnie pan o to nie poprosił.

– Zawsze miło mi pana widzieć, profesorze.

– I wzajemnie, generale.

– Bardzo niewiele gościom to mówię. Podobno kilka razy w życiu zdarza się nam spotkać bratnią duszę, lecz zauważamy to dopiero na starość.

– Jest pan bardzo uprzejmy, generale.

Gaponi przyszło do głowy, gdy jeden z kilkunastu młodych stewardów odprowadzał go do wyjścia, że niewiedza komendanta Domu Centralnego o prawdziwej przyczynie nieobecności Dona – jeżeli nie jest udawana, stwarza pewną okazję.

Życie stwarza okazje, z których czasami nie mamy okazji skorzystać. Drobne, zdawałoby się, przykrości mogły być tego zapowiedzią. Tak czy owak, znakiem. Zaczęło się od zdjęcia zewnętrznego pierścienia ochrony Dona, złożonej z ludzi – Inguszy, Czeczenów, Dagestańczyków – o których niewiele wiadano poza tym, że wyglądali groźnie, i pozostawienia pierścienia wewnętrznego, który był cywilizowany, kompetentny, oswojony, lecz skromny liczebnie – raptem kilkunastu niemłodych oficerów, w przeciwieństwie do tych z pierścienia zewnętrznego, prawie nieuzbrojonych. Próba zdobycia informacji, o co poszło, spełzła na niczym. Minister spraw wewnętrznych był wiecznie zafrasowanym idiotą, a dominat służb specjalnych, zwany szczurem, przyznał, że nie ma nic wspólnego z tą decyzją i że nie zapadła w jego interesie, co brzmiało wiarygodnie. Z nikim niezgodnione decyzje zapadały w państwie coraz częściej, jakby podejmowały się same w nikomu nieznanym celach, ale nie dotyczyły nigdy uprawnień i prerogatyw Dona. Cała bezwładniejąca z kwartału na kwartał konstrukcja czy raczej dekonstrukcja państwa, w którym obywatele mieli się nieźle, brała się z jednej niepodważalnej niezmienności – Don był poza niedomówieniami. Jeżeli obywatelom sprzyjał bałagan, a należy sądzić, że sprzyjał, to przestrzeń, w jakiej poruszał się Don, naznaczał porządek, nawet jeżeli męczył. Don i jego najbliższe otoczenie, a więc i obydwie pierścienie ochrony, byli zakładnikami porządku. Bałagan anektujący kraj prowincja po prowincji żył beztroską, a porządek pełniący wartość przy Donie i jego sprawach nie wchodził bałaganowi w drogę, trzymając go na dystans. Na początku listopada, kiedy po pogodnym dniu Wszystkich Świętych przyszły następne jeszcze pogodniejsze, z ciszą łagodnej jesieni, bezład zaczął porządek i ten ustąpił, chciał w to wierzyć Gaponia, na chwilę. Ten sam być może zbieg niefortunnych okoliczności spowodował, że biało-czerwona agusta nie usiadła rankiem na łące za pensjonatem i rozprawa Gaponi nie

posunęła się o tych kilkanaście zdań, jakie przyszły mu do głowy, gdy rozpatrywał miłosierdzie piękna. I choć w piątek agusta się pojawiła ze zmienioną załogą, nieznającą losów poprzedniej, to miłosierdzie piękna, przypisane środzie, w piątek już się nie odnalazło. Lecz o ile nadwątlona ochrona szefa, na którego w tym rozchwianym, zajęтым swymi bezceństwami kraju nikt nie polował, była nie lada kłopotem, co obydwu pierścienie dzielił, to pytanie kobiety z najbliższej wsi – czy mogłaby odejść z końcem miesiąca – było katastrofą.

– Byłoby nam bardzo pani brak – odpowiedział przejęty Gaponia. – Co panią do tego skłania? Zmęczenie? Jakoś temu zaradzimy.

– Nie potrafi pan temu zaradzić – odrzekła spokojnie kobieta z najbliższej wsi.

Kilka dni potem Gaponia trafił na ślad konszachtu między nią a dziewczyną i był to konszacht w sprawie zdjęcia z siebie coraz cięższego jarzma nieustannej asysty przy Donie, którego choroba nieprzerwanie deformowała. Jeśli nawet kobietę z najbliższej wsi na dolegliwość hojnego pracodawcy uodporniał wiek i życie nieszczędzące ciężarów, a dziewczynę – charakter jej dotychczasowego zajęcia, znieczulającego na męskie defekty i ułomności, to postać, jaką przybierał Don, egzaminowała z odporności w sposób dla obydwu za surowy.

Są na granicy strachu i obrzydzenia, godził się z tym w duchu Gaponia. W ich powściągliwości czaiła się zapowiedź czegoś radykalnego, co mogło przybrać postać nie tyle buntu z histerią i wrzaskami, ile cichego kobiecego oporu, na który nie ma sposobu. Tak czy inaczej, obydwie kobiety, stara i młoda, zacięły się w oporze zbyt jednocześnie, by myśleć, że się co do tego nie dogadały.

– Staram się być posłuszna – odpowiedziała dziewczyna na pytanie Gaponi, czy zadowala Dona w sposób, jaki go nie upokarza.

– Starasz się czy jesteś, bo to różnica – rzekł Gaponia, oczekując w tym względzie precyzji, lecz się nie doczekał, bo dziewczyna po namyśle powtórzyła:

– Staram się.

Spojrzał przez nią i ponad nią, a ona odpowiedziała tym samym, gdyż nie onieśmiał kobiet. Nie przypominała żadnej z niewiast wracających gromadą z kąpieli w jednym z dwóch południowych mórz, ale nic nie stało na przeszkodzie, by do nich dołączyła. Nie ujęłaby im beztroski, dodając młodości i bezbłędności, gdyż żadna nie była tak doskonała jak ona. Zatrzymywałyby na sobie wzrok gapiów, wabiąc czułość autora, którą tamte już poznały. Z każdym kolejnym upalnym południem w pełni swego blasku stawałaby się tą, na którą składają się pozostałe – interesujące, lecz bezimienne. I nie ona zajęłaby miejsce przy nich, lecz one przy niej. Zdobyłaby sobie prawo do każdego wyobrazonego lub zaledwie przeczutego pragnienia. Otrzymałaby zapomnienie o sobie takiej, jaka była. Stawałaby się z każdym mijającym południem, gdy spiekota ustalonego już dnia prowadzi na tarasy, werandy, pod korony drzew, coraz bardziej niezależna od tego, co ją otacza, zdana, chce tego czy nie, na autora – w istocie zaleźnionej pokraki wydanej na pastwę wszelkich kpin i swawoli. To od niej zależeć by zaczęło piękno, z takim mozołem wykuwane na poddaszu Domu Centralnego, ale ona by od siebie już nie zależała, tylko od roli, jaka zostanie jej przypisana. Jeżeli chce umknąć z rzeczywistości zamykającej ją w pensjonacie Wrzos u boku Dona, to tylko w jej zaprzeczenie, jakim jest *Blask*, ale to ma swoją cenę.

– Mój Boże – szepnął Gaponia i nie odrywając wzroku od szczupłych pleców dziewczyny, gdy odchodziła lekkim krokiem w stronę zasłanego liśćmi gazonu, zapytał siebie w duchu: Czy to możliwe?

# 15

– Czemu nie – odpowiedział sobie nazajutrz podczas wspólnego z Donem śniadania, które poza środą i piątkiem rzadko kiedy zaczynało się przed pierwszą.

– Sądziłem, że to rozumiesz, mój drogi Gaponia – rzekł Don z zawodem w głosie. Układał piramidkę z wiśniowych konfitur na plastrze białego sera i drżała mu ręka spuchnięta do rozmiaru jakiejś obłej ryby. – Generała mamy od dekoracji. To malowniczy starzec z resztkami rozumu zżartymi przez barłożenie z nastolatkami, narkotyki i środki nasenne. To tylko piękna skorupa. W środku jest pustka kamuflowana nienagannym wychowaniem. Falanga ma wrócić. Pomysł, by pozostawić ją nad Wagiem, jest jeszcze głupszy niż ten, który podyktował jej wymarsz. Miejsce falangi jest przy mnie. Swoją drogą, kto wymyślił, by skrzyknąć ich wszystkich w środku Europy? I po co? Jaki był cel?

– Tego nikt nie wie – odpowiedział Gaponia, przełykając kawę, która nigdy nie była wystarczająco gorąca. – Może któryś z dykasterów.

– Tak się teraz ponazywali?

– Co drugi, szefie. – Gaponia odstawił filiżankę i pomyślał, że Don nie pamięta własnych decyzji. Że traci to, co dotychczas nie zawodziło. Powiedział: – Wojna o Ruś Zakarpacką, w zamiarze komendanta Domu Centralnego...

– Nawet mi o niej nie wspominaj – przerwał mu Don. – To nonsens, którego nie warto rozważać. Generał nie jest od zamiarów – podniósł głos, lecz ten zaraz przycichł. Z białym serem i konfiturą też nie szło. Rozpaćkało się to wszystko na lnianym obrusie, którego tak pilnowała dziewczyna. – A co do falangi, to niech wraca tak szybko, jak to możliwe. Chcę ich mieć przy sobie. Tęsknię.

Za czymś, czego nie rozpoznasz, odrzekł w duchu Gaponia. Bezczytność podpowie im wszystko, co złe z najgorszym, czyli utratą wiary w ciebie, Don.



Ten śmieć Besarab, Wołoch, Cygan, a może nawet Węgier, trzeźwy czy pijany, zasiał w nich zatrute ziarno i ono wzeszło. Możesz ogłosić, że jesteś w stronach, które są krwią z krwi Rzeczypospolitej, jaką im przyrzekłeś, że towarzyszy ci młoda kobieta z ich rodu, i nic nie osiągniesz, bo zwątpienie rozpoczęło swoje. Nie wzywaj ich, szefie, bo cię rozczarują.

Lecz powiedział coś zupełnie odmiennego, na co Don, miał wrażenie, czekał. Wzdrygnął się. Jesień mu nie służyła. Nie lubił takich dni, jakie przyszły w listopadzie: ciemnych, wilgotnych, nieporuszonych wiatrem. Dni, kiedy bolą kości, drapie w gardle, a popołudniami zdarza się gorączka. Nawet kawa go nie radowała ani papierosy, do których po latach przerwy wrócił. Miał wrażenie, że słodkomdły zapach zawisł w niewietrzonym pokoju i Gaponia składał go już nie na higieniczne zaniedbania, a na chorobę. Gdy Don zapytał go po półgodzinie, która minęła im w milczeniu, nad jakim z dwóch mórz południowych teraz przebywa i czy dni są równie białe od upału jak poprzednie, to choć siedzieli naprzeciw siebie, Gaponia na chwilę stracił go z oczu, jakby Don się rozpląnął. Gaponia zamknął oczy, a gdy je otworzył, zobaczył żółtosiną substancję, która z trudem powracała do kształtu, jaki miała jeszcze przed kilkoma, a może kilkunastoma minutami.

Czy on wie, w co się przeobraża, zapytał w duchu Gaponia, czy też dzieje się to poza jego świadomością i na tym polega okrucieństwo tej dolegliwości? Chciał opowiedzieć Donowi o kobietach wracających gromadą z morskiej kąpieli, by skryć się przed najsurowszym gorącem pod markizami na werandach, i o tym, kogo do nich dołączył, lecz substancja, jaka się przed nim z taką męką formowała na powrót w ludzki kształt, zamarła w bezruchu.

# 16

Późnym popołudniem tego samego dnia wywołał go szofer, który przed kwartałem wioził go do burdelu w jednej z tych dzielnic, które tracąc charakter, straciły też nazwę.

– Pamięta mnie pan, profesorze? – spytał, zatrzymując się kilka kroków przed Gaponią.

– Naturalnie – odpowiedział Gaponia. – Co pana sprowadza?

– Niepokój – odparł szofer i uśmiechnął się ciepło, choć jego zwalista postać i pospolita, brutalna twarz służyły raczej atakowi niż obronie, o niepokoju nie wspominając.

– Co pana niepokoi? – zapytał Gaponia, udając obojętność.

– Przeszedłbym do rzeczy – szofer podszedł do ławki przy gazonie, lecz nie usiadł – jeżeli można.

Gaponia skinął głową.

– Zmieniono panu maszynę.

– Nie, nie zmieniono.

– Ale zmieniono załogę.

– A, to tak. Są inni. Nie znam ich.

Gaponia zauważył, jak kobieta z najbliższej wsi omija łukiem gazon i spogląda uważnie na szofera, a ten podobnie patrzy na nią.

– Dwaj są ci sami – mówi szofer i staje tak, by Gaponia miał szansę go wyraźnie zobaczyć. – Trzeci nowy i zbyteczny. Załoga agusty to dwóch ludzi. Jak dobierają trzeciego, to nie w sprawie transportu.

Musiał uczestniczyć w walkach, a nie tylko je komentować, pomyślał Gaponia, przypatrując się zwartej sylwetce szofera, bliznom na jego twarzy i naderwanym uszom, z których lewe zwisało, do tego zrolowane jak naleśnik. Rzekł cicho:

– Przejdźmy do rzeczy, panie...

– Darku – podpowiedział szofer.

– Słucham więc.

– Zatoczą krąg większy niż zwykle, zahaczą o Białoruś i z kilkuset metrów, jak je już osiągną, wyrzucą pana na pustkowie gdzieś na wysokości Serpelic. Dlatego jest ich trzech, jeden by sobie nie poradził. Nawet człowiek tak wąły jak pan potrafi się w takim momencie skutecznie zaprzecć. Dwóch sobie z panem da radę, a trzeci przy sterach.

Gaponia wysłuchał tego, jakby nie o nim była mowa. Rozejrzył się za papierosami.

– Nie sprzedaję tego drogo, profesorze.

– A to policzymy na końcu – rzekł Gaponia obojętnie, jakby chodziło o drobne rachunki. – To pomysł Czuba?

– Sprzed kilku tygodni.

– Uważa, że jesteście zaprzyjaźnieni na śmierć i życie. Jakby nie znał życia i nie domyślał się śmierci.

– Tak uważa, profesorze.

– Że jest tak, jak wtedy, gdy tłukliście prostytutki w budapeszteńskim hotelu.

– To nie były prostytutki. Mieliśmy prawo do czegoś lepszego niż prostytutki.

– A on myśli, że jest tak nadal?

Szofer skinął głową.

– Między wami?

Szofer potwierdził.

– A nie jest.

Szofer zaprzeczył ruchem głowy.

– Czemu?

Szofer wyglądał, tak jakby odpowiedź na to konkretne pytanie gdzieś mu się zawieruszyła.

– Teraz ja jestem serio, panie Darku – odezwał się cicho Gaponia – więc do rzeczy.

Zmierzch przeszedł w noc bez fazy pośredniej, jaką jest półmrok. Jeszcze tylko przez chwilę widać było opary nad rzeką, nim same stały się nocą.

W pokoju Dona zapalono lampkę na parapecie okna. Szofer mocował się z odpowiedzią, która wyraźnie stawiała opór. Jakby spokój Gaponi lub wręcz obojętność sprawiły mu zawód. Więc gdy w końcu wystękał, że może być odpowiedzią na pytanie, co dalej z osobistym bezpieczeństwem mieszkańców pensjonatu Wrzos w zakolu rzeki, to sprawiał wrażenie kogoś, kto nie tyle zapewnia ochronę innym, ile sam jej potrzebuje.

– Porządny z pana człowiek, panie profesorze – rzekła kobieta z najbliższej wsi, gdy kilkanaście dni potem spotkała Gaponię wracającego z porannego spaceru.

Mżyło, więc Gaponia postawił kołnierz zbyt lekkiego jak na tę porę prochowca i nacisnął na czoło kapelusz, co nie dodało mu męskości, seksapilu, tajemniczości, a tylko upodobniło do stracha na wróble.

– Gdybym mogła powiedzieć we wsi, co tu robię – kobieta była nieco zaaferowana, jak to się dzieje, gdy mamy do wykonania jakąś misję – to bym powiedziała, że służę dwóm panom, z których jeden jest bardzo porządny. Dobrze, że przygarnął pan tego człowieka, który przyjechał do nas z miasta, bo gdyby musiał wrócić, to nie miałby dokąd. Nie jestem tutaj od tego, by coś uważać albo nie uważać, ale swoje wiem. Niech pan pomyśli, że ten człowiek nie liczy drogo tego, co sprzedaje, a pana stać, by to kupić, podobnie jak pana Dona, choć lepiej żeby o niczym nie wiedział i myślał, że te łotry, co was bez dania racji opuściły, są tu nadal. Człowiek, który przyjechał tu z miasta, nawet jeżeli się nie przyda, to nie zaszkodzi, a czemu miałby się nie przydać na tym waszym wygnaniu, bo to jest wygnanie i żadna choroba pana Dona tego nie ukryje. Gdybyście mieli zostać sami, a coś mi mówi, że tak się zdarzy, to nie zostaniecie, bo człowiek, którego pan przygarnął, też jest sam. I mnie będzie lżej, gdy odejdę, a przecież odejdę, bo inaczej nie mogę, i pan o tym wie, profesorze.

Gaponia nie zdążył powiedzieć kobiecie, jak bardzo ją ceni i jak jej cicha obecność na tym pustkowiu podnosi go na duchu, i jak bardzo nie chce, by ich opuściła, bo ona niemłoda, lecz jeszcze zręczna, wykręciła się na pięcie i zniknęła za rogiem pensjonatu, a gdy zobaczył ją nazajutrz, to jego ciepłe słowa nie odniosły się już do niczego, co mogłoby ich wiązać.

Miał jeszcze w uszach ryk rozbestwionej publiczności ekscytującej się bliską swemu sercu brutalnością, odbierającej pokłony nawet od tych,

których przerażała. Tego wieczoru wszyscy byli jej poddanymi, bo jesienna gala Konfrontacyjnych Sztuk Walki nie miała sobie równych w tej części kontynentu. To że podczas walki wieczoru między naturalizowanym Inguszem Basmanowem a Wielkorusem Owieczkinem miała stanąć śmierć, przypadkiem, przez, ma się rozumieć, niedopatrzenie, wzmagало emocje.

– Krew to za mało! – wrzasnął nie wiadomo czym rozwścieczony jeden z intendentów Domu Centralnego, którego Gaponia lubił za wstrzemięźliwość zachowywaną nawet tam, gdzie innych już nosiło.

Gigantyczną halę podstołecznej Areny wypełniono do ostatniego miejsca, a obecność Gaponi w vipowskim rzędzie najbliższym ringu chronionego żelazną siatką pozostała niezauważona. Podobnie jak jego przerażenie dzikimi rytuałami, zbitymi na miazgę twarzami gladiatorów, smrodem ich potu, zakrwawionymi matami, wrzaskami aplauzu lub dezaprobaty, błyskami stroboskopów, jakby mało było wrażeń, bezkarnością najwulgarniejszych przekleństw rzuconych na wszystkie strony również przez młode kobiety, których twarze, niepodważalnie piękne, wykrzywiały grymasy erotycznych wręcz objawień. Towarzystwo równie wulgarnych oficjeli, wśród których musiał spędzić cztery godziny z dwoma piętnastominutowymi przerwami w snack-barze, wydało mu się jeszcze bardziej nieznośne niż kibicowanie ringowym wyczynom.

– Dałbym wiele, by tam nie być, szefie – rzekł Gaponia na godzinę przed wyjazdem już ubrany na czarno, jakby w planach miał pogrzeb.

– Po powrocie zrozumiesz moje coroczne poświęcenie. – Don bardziej niż zwykle był nieobecny. – Nigdy cię do tego nie zmuszałem, ale tym razem masz mnie zastąpić.

Gaponia zapytał, co by się stało, gdyby na gali się nie zjawił, a Don poprosił, by nie był dzieckiem, bo przecież wie.

Jasne, że wiedział. Suweren domagał się igrzysk, choć chleba nie brakowało, a igrzyska domagały się oprawy. Władza teoretycznie ją zapewniała, mając jednocześnie okazję zobaczyć, jak jest w istocie umowna w konfrontacji z władzą młodego tłumu. Nomenowie nie byli władcami aren, lecz raczej zakładnikami drapieżnych żądz, jakie się na arenach rodziły

i tam rosły. Uśmiechnięci, uprzejmi, skonsternowani, niepewni, gotowi na każdy komplement pod adresem gawiedzi i jej bogów, czasami wzywani na ringi, do klatek owiniętych stalową siatką i tam wyszydzani przez ostentacyjnie zdawkowe brawa lub wręcz lżeni od ostatnich bez związku z winami lub zasługami, tak różnie od owacji na cześć ringowych zwycięzców i, to trzeba było tej gromadzie przyznać, szacunku dla pokonanych. Nieoficjalnie zapowiedziana i jawnie oczekiwana śmierć się nie pojawiła, ale podczas walki wieczoru i kilku innych, jakie ją poprzedziły, była niedaleko, oczekując tylko skinienia, gestu, najdrobniejszej zachęty. Jedni to widzieli jak na dłoni, inni czuli przez skórę, że kwestia usankcjonowanej obecności śmierci to nieodległy czas, w którym nic już dziczeć nie musi, bo co miało zdiczeć, zdziczało. Wszystko ku jej obecności prowadziło, bo krwawe spektakle domagały się zwieńczenia.

Już po walkach, gdy tłum ruszył do kilkunastu wyjść na bezkresne parkingi, Gaponię potracił barkiem jakiś niewysoki, krępy żul, kręcący się wcześniej między vipami, pokumany z nimi, ale osobny. Uderzenie było mocne, Gaponia aż się zatoczył, gdyby go ktoś nie podparł, toby pewno upadł. Żul nawet się nie odwrócił, forsując po chwili zatłoczone wyjście, a Gaponia doświadczył współczucia, jakie upokarza, jakie ma za zadanie dotknąć do żywego. Ale takich, których to bezgranicznie rozbawiło, też nie zabrakło. W ogólnym rozgardiaszu i pośród wrzawy, jaka towarzyszy finałom dużych imprez, atak żula nie powinien zostać zauważony. Jeżeli tyłu go zauważyło, widzieć ktoś ich na to przygotował, pomyślał Gaponia, wracając swoim steranym focusem do stołecznego mieszkania matki, z którego od czasu do czasu korzystał.

– Jak tam było, Fabi? – zapytała matka, podając mu herbatę z konfiturą malinową w szklance wstawionej do metalowego koszyka, a Gaponia odpowiedział, że strasznie, a potem dodał z tragicznym wyrazem twarzy, który przychodził mu łatwo, że nikt nie zainteresował się zdrowiem Dona, jakby już nie było ważne.

– Nawet generał? – zapytała matka, a Gaponia odpowiedział, że nikt; nawet on.

Bo też Gaponia miał wrażenie, że zdrowie Dona przestało kogokolwiek interesować, z najżyczliwszymi włącznie. Że Don jest już tylko znakiem. Że raczej teoretyczna tyrania Dona miała w oczach nomenów złe strony, gdy zdarzenia sprzęgały ją z praktyczną tyranią ludu, by wykończyć często w okrutny sposób tego czy tamtego. Lecz teraz, w jakimś stopniu osieroceni, ale też uwolnieni od zobowiązań, lojalności, pamięci o oddanych im przysługach, rozglądali się za okazjami, jakie podsunęłoby im życie, by mogli przetrwać. Jedni robili to mniej, inni bardziej jawnie, zdarzały się też postawy wręcz ostentacyjne, a wówczas tym brutalniejsze, im intymność relacji łączących nomena z Donem była jednoznaczniejsza.

– Nie mam tu już nic do zrobienia – powiedział młody doktor, przypatrując się pierwszym płatkom śniegu za oknem. – Pacjent wszedł w fazę, z którą medycyna, przynajmniej ta, jaką praktykujemy, nie ma związku.

Było to w dniu, w którym zdekonstruowana na granicy rozpadu falanga, by przetrwać, musiała ruszyć znad Wagu na północ bez względu na konsekwencje, jakie się z tym łączyły, i Gaponia zapukał do pokoju Dona, by go o tym zawiadomić. Lecz zamiast przyjaznego: Wejdz, mój drogi, usłyszał ciszę – bał się przyznać przed sobą samym – śmiertelną. Pchnął drzwi; mrok i słodkomdły odór rozkładu.

– Szefie? – Gaponia zatrzymał się na progu. Nikt mu nie odpowiedział. – Wiem, że tu jesteś, szefie. Daj znak.

I znak się pojawił w postaci obecności wypełniającej sobą cały niewielki pokój, tyle że miało się wrażenie, nieodwracalnie rozrzedzonej. Do obecności dołączyło po chwili cierpienie tak przeciwne nucie żartu, przekory, sarkazmu, towarzyszącym poprzednim zmianom substancji, jak to się dzieje, gdy sytuacja nam nie sprzyja, ale ją w jakimś stopniu kontrolujemy.

– Jeżeli duch złej intencji, który, nie ukrywajmy, mój drogi Gaponia, tak nam sprzyjał, zjawi się, oby nie przed świtem, i powie: Już czas, to nie



wychodźmy mu naprzeciw. Niech się pomęczy – rzekł Don dzień po tym, jak naród ofiarował mu władzę.

Dekada minęła, w której naród domagał się coraz większej wobec siebie surowości, gdy Gaponia, poruszony objawieniem, odpowiedział:

– W porządku, szefie, niech się pomęczy. Za tanio się sprzedajesz, jak na zasługi wobec zła.

I Don nadludzkim czy raczej pozaludzkim wysiłkiem zebrał się w sobie i powrócił do formy mającej jakieś związki z człowieczeństwem. Od rzeki wiatr dmuchnął śniegiem, który oblepił okna, a gdzieś niedaleko odezwała się zagapiona i, jak należy sądzić, umierająca z zimna wilga. Minął kwadrans, a może więcej, nim Gaponia usłyszał to przyjazne: I cóż, mój drogi – choć nie umiał określić miejsca, z którego głos Dona dochodził. Chciał powiedzieć, że falanga ruszyła znad Wagu na północ, i skłamać, że to na jego rozkaz, że maszeruje dniem i nocą, by nie zawieść swego cezara, i że można się jej spodziewać za tydzień w stolicy, i że niektórzy są tym zdrowo przestraszeni. Ale nie zdążył, bo Don zapytał, który to już raz, o przejrzystość powietrza nad południowymi morzami, o światło, w jakim skąpane są krople wody zbierające się w mgiełkę jak pajęczyna, którą po południu bryza popędzi ku lądowi, o cienie kobiet na fasadach białych domów zatopionych w ogrodach i o drewniane schody wspinające się urwiskiem. Więc zapytał o urodę, młodość, zdrowie, nadzieję, których życie tak im poskąpiło.

– A skoro już o tym – dodał, wiedząc więcej o czasie, jaki mu pozostał, niż Gaponia po utracie wszelkich złudzeń – nie przysyłaj mi już dziewczyny. Urządź ją jakoś przy sobie, bo co miała zrobić przy mnie, zrobiła. Doktora przepędź. To młody, dzielny, sumienny cymbał. Jeden z tych, którzy starość rozumieją, gdy do nich zapuka. Nie poznałem duszy poczciwszej niż kobieta, którą sprowadziłeś do mnie z najbliższej wsi, ale ją odpraw. Nie chcę mieć świadków; żadnych, nawet zaprzysiężonych. Tylko ty, mój drogi, i przeznaczenie. – Don rozmazany w konturach przybrał kształt, jaki go charakteryzował w najlepszych latach – szeroki, obły, przytłaczający. Głowa ledwo wystawała ponad stół. – Myśli moje się kłębią, a każda, wstyd

przyznać, zrodzona pod wpływem wzruszenia, z którym sobie nie radzę. Więc zostaw mnie z nimi, ale bądź blisko.

– Jak blisko, szefie? – zapytał Gaponia.

Lecz odpowiedzi nie usłyszał. Pomyślał ze smutkiem, jakiego jeszcze w życiu nie zaznał, że to może być ostatnie milczenie, jakie między nimi zawisło.

A falanga miażdżyła wszystko, co śmiało stanąć jej na drodze. Bo brakowało wszystkiego poza mexidolem, więc żołnierze byli naładowani energią, która niszczy. A do tego głodni, spragnieni, zmarznięci, przekonani o straconym czasie. O ile ugory nad Wagiem powitały ich czerwcem, jaki zdarzał się tylko w relacjach starych ludzi o dobrych powoli zapominanych czasach, o tyle listopad i początek grudnia pożegnał falangę jak wróg. Nieustające lodowate deszcze zmieniły nadrzeczne błonia w grzęzawisko, a Wag, srebrny w czerwcu, z baraszkującymi między kamieniami srebrnymi pstrągami, zawęził się w płataninę wirów, w brunatną zawiesinę pędzoną do ujścia złością. Do brudnych myśli i czynów dołączył brud materii uciążliwszy od poprzednich. Wszystko oblepiło tłuste błoto. Dlatego część sprzętów, jakie towarzyszą wyprawom młodych mężczyzn, została porzucona, włącznie z tymi, które przywiązują do siebie niezawodnością i wspólną historią, jak maczety, faschia, łańcuchy nierzadko ratujące z opresji lub zadające rany, ból, śmierć, czyli to, co sprawiedliwe. Surowe, lecz sprawiedliwe. Wracała więc falanga, tu i tam rozbrojona, lecz nie bezbronna, odwrotnie – wzmocniona złością, którą od niekontrolowanej furii dzielił zaledwie krok. Pozostawiali za sobą miejscowości jak pobojojiska, a w dużych miastach – bo i te pojawiały się na ich drodze – czynili tyle szkód, ile te miasta zdołały unieść. Nie przekraczali granicy, za którą jest niemożność, bo szli przez swój kraj. Ogłupiały lud częściej im błogosławił, niż złorzeczył, tym bardziej że łatwa wojna, którą im pół roku wcześniej obiecano, a która miała się toczyć w imieniu tego ludu, wystawiła ich do wiatru. Więc lud i oni stali się ofiarami zdrady. A nic tak jak zdrada nie łączy zdradzonych. Bo domem jednych i drugich jest ten rodzaj opętania, jaki ucina tylko zemsta.

– Odmawiają kolei i autobusów – poinformował nomenów jeden z intendentów Domu Centralnego. – Chcą maszerować i zarażać złością. Nie

demonstrują siły, demonstrują rozczarowanie. Nie sławią już Dona, choć jeszcze z niego nie szydzą, ale udział w ich marszu czarnego śmiecia znad Prutu, Czeremoszu, przedmieść Debreczyna, Kluża, Oradei czy z Besarabii, którego wpierw mieli zatłuc, a teraz przygarnęli, nie zapowiada nic dobrego.

– Co dla nich mamy, gdy już nadejdą? – Generał był nieco nonszalancki i jak zawsze wytworny.

– Grochówkę z wojskowych kotłów, stadion narodowy i sędziego.

– Jakiego sędziego, panie intendencie?

– Hossego.

– Do rekolekcji? – Generał ruszył ku oknu długim krokiem rysia.

Gość z blizną przez twarz nie odrywał od niego wzroku.

– Nie, panie generale, do rozerwania na strzępy. Od rekolekcji mamy innych.

– Chodzi o młodego sędziego, który trzykrotnie zapał się Dona? – zapytał gość z blizną przez twarz, zastępujący jednego z nomenów, o którym nic powiedzieć się nie dało poza tym, że z końcem lata przepadł, jak niejeden, bez wieści.

– Nie jest już młody – odpowiedział intendent.

Generał stanął, mówiąc cicho:

– Więc może nie wystarczyć.

– Chyba żeby kogoś dołożyć – wtrącił się Czub i zarechotał, jak to miał w zwyczaju, bo gnały go przez istnienie zdrowie i beztroska.

– Ma pan kogoś konkretnego na myśli? – zapytał generał, omiatając pełnym wyższości spojrzeniem nie tyle Czuba, co powietrze wokół niego i miejsce, jakie tam zajmował przy rozłożystym mahoniowym stole.

Rechot uwiązał Czubowi w gardle i zablokował odpowiedź, bo Dom Centralny to było obce terytorium, ale miał ją gotową na wyciągnięcie ręki. Bez dwóch zdań.

A gość z blizną przez twarz, intendent, generał, dwóch dykasterów i reszta zarządu Domu Centralnego tej odpowiedzi nie miała. Tym samym, coraz nieodwracalniej opuszczani przez Dona – jedni to wiedzieli, inni przeczuwali – tracili pozycję na rzecz narwańca i chama o skłonności do taniej charyzmy, którą lud przedkłada nad inne zalety. Choć nie mieli osobistych doświadczeń z czasem przesilenia, to wiedzieli, że Czuba może się w nim odnaleźć, oni – niekoniecznie. Jego wiedza o ofierze, jaką należy złożyć potworowi, nie przesądzała ostatecznie spraw na ich niekorzyść, ale sygnalizowała kłopoty. To ich deprymowało, lecz jednocześnie podpowiadało, jak nigdy dotąd, solidarność.

– Spokojnie, panowie – rzekł godzinę potem młody steward z pierwszej dykasterii, którego Don wyróżnił kiedyś za cynizm. – Wsparcie się sędzią ludowym i jego kryminalną ferajną może kosztować Czuba więcej, niż jest w stanie zapłacić. A dla falangi to jeden z tych dobrze urządzonych skurwysynów, którzy zawiedli. Będzie się, naturalnie, do nich łąsił, ale oni się na to nie nabiorą. Są do wykiwania, ale nie przez Czuba.

To ich uspokoiło i resztę dnia poświęcili czujności wyzutej ze strachu, który wyprowadza na manowce. Odwrotnie niż Gaponia zaatakowany frontalnie przez panikę nieprzypominającą jego stałych lęków zaprzęgniętych do służby wolności od posiadania czegokolwiek, co by go wiązało z bliźnimi. Ta przyjemność wypędzenia z życia, o jaką nigdy nie zabiegał, nawet w latach podsuwających możliwość dzielenia losu z innymi, utrzymywała go w stanie melancholii blokującej drogę trwogom, udrękom, przerażeniom. Znał smutek, który nie boli. Panika zaboliała. Jakby do raportu wywołało go jakieś wcielone zło.

Dzień umknął we wczesny grudniowy zmierzch, którego nie rozproszyły światła wewnętrznej ochrony Dona, wałkoniącej się w dwóch kamperach na skraju nadrzecznej łąki. Ich telefon milczał. Mieli na pieńku z Gaponią –

trzymał ich w odległości utrudniającej skuteczną interwencję w razie zagrożenia, lecz nie do tego stopnia, by nie potwierdzili swej obecności. Tym razem żaden z kilku oficerów się nie zgłosił.

– Nie wiedziałem, jak to panu powiedzieć, profesorze, i nie wiem nadal, ale zostaliśmy sami! – krzyczał szofer Darek, wyłaniając się z grudniowej ciemności i wchodząc w mdłe światło żarówki pod okapem pensjonatu.

– Jak to sami? – zapytał Gaponia tonem, w którym nieudolnie zakamuflowany był niepokój.

– Po prostu – odrzekł szofer Darek. – Dali nogę.

– Oficerowie?

– Nie wiedziałem, jak to panu powiedzieć, jak Boga kocham. Ale nie ma ich już od południa. Zabrali ze sobą doktora, którego kazał im pan zatrzymać.

– Kto ich zdjął? – Gaponia wszedł na łąkę, potknął się o muldę zarośniętą chwastami i ugrzązł w rozkopanym kretowisku.

Szofer wzruszył ramionami. Nie był już zbiegiem proszącym Gaponię o gościnę w zamian za iluzoryczną opiekę, lecz kimś mu równym w czasie przechodzenia wiadomego w niewiadome. Zakłopotany nie tyle sytuacją innych, ile własną. Miesiąc wcześniej rozglądał się za czymś pewniejszym niż posada referenta parku maszyn przy prezydium, pożałował się Boże, rządu, biorącego kurs na ścianę, ale to, co znalazł, okazało się mirażem. Jeżeli gdzieś czaiła się niepewność, to w pensjonacie Wrzos w zakolu Bugu poniżej Drohiczyzna.

– Czyżby ci sami, którzy zdjęli Inguszy z pierścienia ochrony zewnętrznej? – zapytał Gaponia.

– A kto zdjął Inguszy?

– Przed burdelem na Woli powiedział mi pan, że szoferzy i bodyguardzi nierzadko wiedzą więcej niż ci, których chronią i wożą.

Szofer rozejrzał się ponuro wokół, nim odpowiedział:

– Nie tym razem, profesorze. Przykro mi, ale trzeba będzie polubić samotność.

Gaponia lubił samotność. Nie rozumiał tych, którzy jej złorzeczą. Ale

między samotnością a osamotnieniem czynił różnicę. Samotność uważał za luksus, osamotnienie – za nieprzyjazny gest opatrności. Wieczorem zapukał do pokoju dziewczyny. Wyszła nie od razu. Miał wrażenie, że zwlekała. Jak na nią była zaaferowana. Powiedział, że Don nie ma się dobrze, że prognozy nie napawają nadzieją, że nie będzie już oczekiwał towarzystwa dziewczyny, czymkolwiek ono było. Powiedział, że jest wolna i może robić, co zechce. Dziewczyna zapytała, co znaczy „wolna”, a Gaponia powtórzył, że może robić, co zechce.

– Możesz podjąć każdą decyzję. Zrobić wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

– Wszystko?

Potwierdził. Kwartał z szefem nie ujął jej piękna, odwrotnie – w doskonałości doszła do krawędzi. Jeszcze krok i runie. Przykuwała wzrok nawet tym, co było w niej pospolite. Rzekła szeptem:

– Więc zostaję.

– Z kim? – zapytał Gaponia.

– Na razie ze sobą – odpowiedziała.

Ale to nie była prawda. Nie minęła północ, a nie pukając, wdarła się do pokoju Gaponi jak drapieżnik po ofiarę. Drapieżnik był uzbrojony w kły, z których jeden był pięknem, a drugi – młodością.

Ciekawość silniejsza była od onieśmienia. To się zdarza nawet takim neurotykom jak Gaponia. Onieśmielony pięknem, jakie mu się ofiarowało, własną wobec tego piękna powinnością, poruszony nielojalnością własnych zmysłów i tym, że nigdy nie poznał ich siły, nie poddał żadnej próbie, był ciekaw własnej katastrofy. Nic tu po kobietach z *Blasku*, w jakąkolwiek gromadkę by się zbiły, bo w porównaniu z dosadnością dziewczyny przebywającej w jego łóżku jak we własnym były równie bezbronne jak autor. Nie wprowadziły go do domu miłości, bo same go nie znały. Ponętne, lecz niewykorzystane, pozostawione same sobie na niekończącym się spacerze od brzegu morza ku skarpie, a potem skarpą ku białym domom zatopionym w ogrodach, a potem ogrodami na tarasy, werandy, antresole, na których nikt na nie nie czekał. Najpewniej tym rozczarowane, były tak delikatne i strwożone, że pretensje więzły im w gardłach. Kim więc dla nich był lub bywał? Depozytariuszem najbardziej ukrytych tęsknot, zaufanym i dyskretnym spowiednikiem? Ależ nie dał im sposobności do popełnienia najbliższego nawet grzechu. Wiedział o nich wszystko od morskiego brzegu do domów w ogrodach, lecz nic wcześniej, a tym bardziej potem. Były jak ta bryza cichnąca wraz z południem. Uwolnione od jakiegokolwiek zobowiązania wobec zmysłów, więc niepełne i, jakkolwiek by to obcesowo zabrzmiało, zużyte, tak jak dziewczyna oplatająca go mocnymi ramionami była nienapoczęta, bo za każdym razem się odnawiała. Jestem nienapoczęta i gotowa, mówiło Gaponi jej bezbłędne ciało, więc mnie spróbuj. Lecz Gaponia nie próbował, choć nie miało to związku ze zmysłami, które w nim lata temu zasnęły. Raczej z zawstydzeniem sobą. Ale jakkolwiek zawstydzenie sobą go powstrzymywało, ciekawość była przed nim. Ciekawość tego chociażby, na czym kobietom z *Blasku* zbywało. I dziewczyna intuicyjna jak zwierzę podjęła próbę jej zaspokojenia, prowadząc Gaponię ścieżką inną od tej, która wiodła znad jednego z dwóch południowych mórz,



bo niewymyśloną.

– W domu miłości, z którego mnie zabrałeś, trzeba się liczyć ze wszystkim poza normą – mówiła sennym głosem, a Gaponia zamienił się w słuch. – Nie wiesz, w co przemieniają się klienci, jak zapłacą. Nie pozostawią ci wyboru. Ma być tak, jak im pasuje, a pasuje tak, że rzygnąć to mało. Domagają się świństw i je dostają, bo zapłacili za nie ciężką kasę. Rajcuje ich brak wstydu. Robią na twoich oczach kupę, sikają do zlewu, onanizują się przed twoją twarzą. Stękają, charczą, ryczą. Masz na to patrzeć i tego słuchać. Zlewają się wcześniej Hugo Bossem czy innym Paco Rabane, ale nie minie kwadrans, jak smród ich wykrzywionego pożądania przytłumi wszystko i jedzie kwasem, który oni w sobie lubią. Gość pod krawatem, w glanach i garniturze za kilka tysięcy zmienia się w wieprza, nim zamknie za sobą drzwi. Bywa, że wchodzi do numeru z gaciami opuszczonymi do kolan i fujarą na wierzchu. Złotko! – krzyczy. – Popatrz, jestem! Jak ci się trafi klient z klasą, to też ubabrzysz się gównem, bo dom miłości zmienia każdego i ten klient za drugim albo trzecim razem staje się takim samym knurem jak ci przed nim.

Dziewczyna obróciła się na bok, przywarła całym ciałem do Gaponi i rzekła jeszcze senniej:

– Z twoim szefem tak nie ma. Jest dziwny, to zgoda, ale nie straszny, bo gdyby był straszny, tobym nawiała choćby w śmierć. Ty też jesteś dziwny. Obaj jesteście dziwni. Dziwni jak nikt, kogo znam. Nie mówię, że mi to w pełni pasuje, nie mówię, że mi to w ogóle pasuje, ale gdybyś się położył na plecach i zapomniał, kim jesteś, to zabiorę cię tam, dokąd tęsknisz, bo mi nie mów, że tak nie jest i że nie tęsknisz. Połóż się na plecach, zamknij oczy i wyluzuj, resztę mi zostaw. Zrobię co trzeba ani się obejrzysz. Tylko zapomnij.

Zrobił, co mu kazano. Wsparł się stopami o wystającą ponad materac krawędź łóżka. Poczował mocny uścisk ud na swym lichym ciele i odjechał w strony, jakich nie znał. Bo dziewczyna znała swoją robotę, a on nawet nie udawał, że ma o niej jakieś pojęcie, nienaznaczony niczym w tym względzie, jakby się wczoraj urodził. A te strony były równie piękne jak tamte z *Blasku* choć inne. Po jego kościstym ciele rozeszła się ulga. Jak w dzieciństwie, gdy

zasypiał.

– Nie myślę, bym miał kiedykolwiek wrócić do *Blasku* – rzekł przy wspólnym śniadaniu z matką kilka dni później.

– Nie myślisz? A to dlaczego? Przecież to twój doktorat, Fabi.

– Bo jest sztuczny. Jak w złym teatrze. Rozumie mama. Taka dekoracja, na której tle snują się rozkosz i słodycz znudzone sobą. Don jest natrętny, a ja mu ulegam. Szuka przestrzeni, w której mógłby się rozpląnąć nie do końca. Na tym to polega. Chce w czymś uczestniczyć. Im to odleglejsze, tym bardziej go pociąga. A co może być odleglejszego niż blask?

– Czy ty wiesz, o czym mówisz? – zapytała matka, a Gaponia odrzekł, że nie za bardzo i się roześmiał beztrosko, jak miewają w zwyczaju zdrowi prości mężczyźni.

Ale nie był zdrowym prostym mężczyzną i ten śmiech go zaskoczył nie mniej niż matkę. Z zupełnie innego powodu dzień wcześniej rozpląkała się dziewczyna. Nie tak, jak zdarzało się to po szczególnie uciążliwych klientach, ale jak płacze dziecko nieznające przyczyn emocji. I ten brak powodu, dla którego Gaponia bezceremonialnie się roześmiał, a dziewczyna gorzko zapłakała, zbliżył ich do siebie, a przynajmniej dał im na to szansę. Bo oboje weszli na tę samą drogę z jej dwóch przeciwnych końców.

– Nie mam wspomnień, które w chwilach ostatnich chciałbym przywołać. To nie do wiary, lecz nie mam takich wspomnień. – Don był nieskończoną ilością fragmentów, które nie składały się w całość, które teraz, w przeciwieństwie do dni minionych, już nawet tego nie próbowały. – Nie mam wspomnień, jakie mają nawet najpospolitsi z nas. Nigdy nie lubiłem rzeczywistości, bo jakakolwiek była, stawała się obca, wręcz wroga. Nie szukałem takiej, która by mi sprzyjała, i ty też, mój drogi Gaponia, zostałeś wyróżniony takim poczuciem wyższości. Ale przecież obaj rozumieliśmy jałowość tego wyróżnienia. Ileż to razy, mój drogi Gaponia, zwracaliśmy się do losu, każdy na swój sposób, z prośbą, by nas nie wyróżniał, nie wywyższał ponad innych, a los, przeznaczenie, fatum, Bóg odpowiadały: Podporządkowując sobie życie innych, więc rzeczywistość, ale nigdy w niej nie uczestnicząc, dostajecie jakąś część absolutu, który też w niczym nie bierze udziału. Nim przeminęła moja młodość, a później lata męskie, nim przekonałem się, że trwanie nasze to tylko mieszanina śmieci i tego, co jeszcze nimi nie jest, a trwanie nauczyło mnie, że dmuchnie wiatr, który te śmieci wywieje w pustkę, by zrobić miejsce następnym, więc nim poznałem kolej rzeczy, tęskniłem nieraz za drobnymi krokami kobiety, gwarem dzieci, kotem przechadzającym się między meblami, światłem lampy z parapetu okiennego i nieodległą wizytą teściów, więc za zaduchem rodziny i dokuczliwymi kłopotami, jakie niesie codzienność. Tak, tak, mój drogi, niczego nie wybraliśmy, bo nic nie wiedzieliśmy o innym życiu.

– Czy on coś mówi? – zapytała dziewczyna. – Słyszysz go?

Gaponia skinął głową, a potem przystawił palec do ust, nakazując jej milczenie. Trzeba to było zebrać, by umieścić w jakimś miejscu. A potem oddzielić to, co nowe, od tego, co w tym niewielkim, byle jakim, niesprzątanym od kilku miesięcy pokoju zostało powiedziane, pomyślane, przeczytane, zaczęte i porzucone. Pootwierane na chybił trafił książki, które

przełgąda się raczej, niż czyta: *Don Kichot*, *Podróże Guliwera*, *Proces*, aforyzmy Dávili, nieustannie wymieniane nie tyle na nowe, ile na inne, leżały teraz pod jedną ze ścian w stosiku i w tym porzuceniu było coś ostatecznego. Gaponię nie po raz pierwszy ścisnęło w gardle, a w oku pojawiła się łatwa łza, bo był sentymentalny, bliski przesadnym wzruszeniom i łzom na zawołanie. Ale teraz cierpiał srodze i dziewczyna to zauważyła, bo spostrzegawcza była jak każdy drapieźnik.

– Skąd mówi? Wskaż miejsce. – W jej matowym głosie nie było ciekawości ani lęku, tylko wiara w sekret.

– Już nie mówi – odpowiedział Gaponia.

– Skąd wiesz, że nie mówi, skoro kiedy mówił, też nie było go słyhać.

– Ale była myśl.

– Co powiedziała ta myśl?

– Że wszystko jest okręgiem – skłamał Gaponia, a może i nie skłamał – że wszystko było, że nie ma poznania, tylko rozpoznanie.

– A jaka to różnica? – zapytała dziewczyna.

– Rozpoznajemy to, co poznaliśmy wcześniej.

– Przypominamy sobie?

Gaponia potwierdził.

Grudniowy wieczór przeszedł w noc, choć nic ich od siebie nie różniło. Nie było mrozu, śniegu, deszczu, wiatru, tylko mrok. Nawet rzeka nie lśniła. Nawet bezlistne korony dębów, grabów, wszechobecnych brzoź nie rysowały się na niebie. Rzeczy przestały się od siebie różnić.

– Co on sobie przypomniał? – Dziewczyna była wręcz patetyczna w swej potrzebie dostępu do sekretu. Ładna jak nigdy.

Doskonałość przeniknięta duszą, która uśpiona, pomyślał Gaponia, teraz się dzięki mnie obudziła i dała o sobie znać.

– Nic – odpowiedział szeptem.

– Nic? – W pytaniu dziewczyny był zawód.

– Nie ma wspomnień, które mógłby przywołać.

– Każdy ma jakieś.

Z dołu słyhać było ostatnie kroki kobiety z najbliższej wsi. Lekkie, jakby

ubyło jej lat.

– Jest w tym kole. Kręci się w nim. Jakby dopiero zaczynał.

– Co?

– Istnienie. Jakby był początkiem, rozumiesz. Był przekonany, że jest zwieńczeniem – rozmawialiśmy o tym często – ostatnim ogniwem, kimś z napisem „Koniec”. Że już się nie odrodzi w żadnej postaci, że zdobył sobie prawo do ulgi.

– Cierpi?

Gaponia przytulił się do dziewczyny i rozplakał. Nie był to płacz dziecka ani mazgaja. To był surowy płacz męczyzny, który nie ma złudzeń również co do siebie. Don umierał nie swoją śmiercią. Pytanie brzmiało: jeżeli nie swoją, to czyją, do diabła?

Przecież nie falangi, choć mogłoby się tak zdawać, bo falanga dotarła do stolicy i natychmiast rozpadła się na gangi. Wag oczyścił ją z misji i znów była tym, czym przedtem – kilkunastotysięcznym zaciągiem bandytów w służbie idei, z którą nie mieli związku. Ojczyzna nie była czymś, do czego mogliby się przywiązać, bo nie kojarzyła im się teraz ani przedtem z żadną przyjemnością, tylko z dętym obowiązkiem, jaki w miarę upływu czasu nuży. Ani to była wierzba nad ruczajem, ani ich straszne rodziny w strasznych blokowiskach wielkich i mniejszych miast. Ani Szopen, ani Dede ze swymi melorecytacjami pełnymi pogróżek pod adresem pedałów, lesb, wegetarian, ekologów, skurwionych inteligentów i, naturalnie, żydków, bo jakżeby w tym zestawie mogło ich zabraknąć. Ani mądry Norwid, ani pusty jak tykwa Gites ze swym bandit disco i skrzywdzoną dziewczyną na froncie. Ani powstania narodowe przetrzymane z kretelem, ani nieliczne zwycięstwa. Ani rustykalne Podlasie ze zdumiewającą urodą sekwencji krajobrazu wydłużających się ku wschodowi, wyznaczone przez Dona na ich małą ojczyznę, ani Wielkopolska ze swą gospodarnością i endecką tradycją. Ani przeludniony pas na południu, królestwo tępych proboszczów i ich otumanionych wiernych, ani melancholijna północ, skryta w sosnowych borach, których jeszcze nie zrąbano, ze swą nieumiejętnością odnalezienia się w życiu wymagającym starań.

Byli jeden w drugiego z nieporządku, frustracji, toksycznych kompleksów, poczucia nieredukowalnych krzywd, urągających godności despektów, przeświadczenia, że życie zaoferowało im mniej niż to, na co zasługują, i z nienawiści bez dna, więc jakkolwiek patrzeć, byli z piekła.

Ale te dysfunkcje, niektórzy dodawali społeczne, w istocie jedna jadowitsza od drugiej, podpowiadały, że po powrocie do ojczyzny nie mają nic do stracenia i to zasilало ich ciemną jak noc fantazję. W mig podzielili to nieustannie zamożne miasto na rewiry łowieckie i nie tracąc czasu,

rozpoczęli bezwzględne polowania na wszystko, co poza ich legalnymi możliwościami, z kobietami włącznie. Sprzymierzyli się z miejskim i podmiejskim motłochem, który już nie był żadnym marginesem, tylko warstwą, o jaką zabiegał każdy, kto miał trochę oleju w głowie, ale wskazali mu granice, po których przekroczeniu zdechnie.

– Łupią równo – oznajmił nomenom zebranych w Domu Centralnym z okazji którejś tam rocznicy wydarzenia, jakiego już nikt nie pamiętał, najmłodszy ze stewardów. – Próba ich skonfliktowania, napuszczenia jednych na drugich, się nie powiodła. Trzymają się ustalonych granic. Są wobec siebie lojalni. Nie mamy oferty, która przebijie bezkarność.

– Ale mieliśmy – warknął komendant Domu Centralnego zwany generałem. – Wojnę z państwem upadłym, która by ich pięknie wykończyła. Nie po to wysłaliśmy ich nad Wag, by stamtąd powrócili.

Było to niecałe sześć tygodni po powrocie falangi do stolicy, a podział ad hoc na miasto górne i miasto dolne, prawo- i lewobrzeżne, był przestrzegany. Granice między ćwiartkami biegły po uważaniu, niektóre kwestionowały nawet Wisłę, stanowiąc zarzewie przyszłych krwawych drak, lecz na razie szefowie gangów traktowali to lekko. W użyciu były raczej żarty niż pogróżki. Wyznaczyli sobie kilka knajp na spotkania, rozbijali się po mieście czarnymi limuzynami prowadzonymi przez zwalistych szoferów, skonfiskowanymi obywatelom i państwu. W ich stajniach nie brakowało teraz toyot, lancii, beemek, mercedesów i bentleyów.

– Coś nam się, kurwa, za Wag należy – odpowiadali zakłopotanym emisariuszom władzy. – Naczekaliśmy się tam na chuj.

– Musieli naoglądać się Coppoli i Scorsesego, bo ponazywali się rodzinami i wyznaczyli capo di tutti capi – poinformował partię dyrektor dolnego biura Domu Centralnego – są familiarni i dużo gadają o dzieciach, choć mało który je ma. W użyciu jest brylantyna i płaszcze zamiatające ziemię.

– To może lepsze niż faszyzm – zauważył nieśmiało Gaponia, ale nikt już nie zwracał na niego uwagi.

Mijali go obojętnie, jakby był powietrzem. Nawet nie miał okazji ścisnąć ręk, bo nikt ich ku niemu nie wyciągał, jakby to była strata czasu i energii.

Ktoś zapytał zdawkowo o Dona, Gaponia nie zdążył odpowiedzieć, nim ten ktoś sobie poszedł. Gdy Gaponia wracał nad Bug, wieziony przez szofera Darka – zatrzymał sobie wysłużonego forda mondeo, choć stracił już do niego prawo – poskarżył się, że Don w postaci, jaką przybrał, w tym odłączeniu, odosobnieniu, wyobcowaniu, odpowiada partii, że nieustanne powoływanie się na jego opinię o tym czy tamtym weszło partii w krew i nie jest już niczym więcej niż tanim rytuałem.

– To boli, panie profesorze, rozumiem pana – rzekł szofer Darek, pewnie prowadząc auto w styczniową noc – ale takie jest życie.

Gaponia spojrział przez boczną szybę. Mijali opustoszały, ciemny jak ta noc Węgrów. Powiedział cicho, w zasadzie do siebie:

– Dlatego go nie lubię.

– Życia, panie profesorze.

– Właśnie.

Ale to akurat nie była już prawda.



Jeżeli trzymać się chronologii i nie wyprzedzać faktów, była to prawda właśnie tracąca aktualność. Po raz pierwszy od dzieciństwa Gaponię ucieszyło Boże Narodzenie. Wprawdzie natura zrobiła co w jej mocy, by święta zepsuć, wiatr pędził przez Bug ciepły deszcz niczym zapowiedź wiosny, a ziemia wciągała po kostki i wszystko zanesione było tłustym błotem, które nie odklejało się od butów, jednak samotny pensjonat Wrzos w zakolu rzeki przestał być miejscem demonicznego wynaturzenia, a stał się ludzką normą wraz ze swym niewyszukanym stylem życia. Do wigilii zasiedli we czworo: oprócz Gaponi dziewczyna, Darek, pani Maria, która uległa prośbom i zgodziła się zostać do końca roku. Z kolędami im nie poszło, ale poza tym wszystko było jak trzeba – choinka, prezenty, biały obrus, karp w jarzynach, śledzie w śmietanie, ziemniaki w mundurkach, barszcz z uszkami, białe wino, a potem wety. Pani Maria, zwolniona z obowiązków wobec dziwactw, ze służby wynaturzeniu, okazała się sprawną gospodynią, jak wszystkie kobiety z najbliższej wsi, a dziewczyna – twórczynią nastroju nakłaniającego nie do bezmyślnej wesołości, lecz do spokoju i pogody ducha. Gaponia zapalił papierosa po raz pierwszy od kilku miesięcy bez obawy, że to zaszkodzi Donowi. Tęsknota za nim, najpewniej wieczna, nie wykluczała chwilowego zadowolenia z jego nieobecności. Jeżeli Gaponię coś wytrącało z równowagi, to dziewczyna ze swoją młodością i zagadkową duszą. Widząc własną groteskowość, dawno pogodził się z myślą, że z kobietami w życiu się rozminie, że jego niemożliwa do zakamuflowania brzydota, pozbawiona choćby krzty wdzięku, okruszka seksapilu, stawia barierę takim związkom. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat poznał kobietę od strony, jakkolwiek prostacko by to zabrzmiało, jakiej nie znał i od lat nie próbował się domyślać, i akt fizycznego zespolenia przeniósł go w sfery, którymi jeszcze tak niedawno pogardzał. Zapowiedziana miłość, tak inna od tej, jaką darzył matkę, wcześniej ojca, odumarłą mu w dzieciństwie siostrę, Dona i w jakimś

stopniu starego poetę, który ich zdradził, karkołomna, patrząc zimno, niemożliwa do spełnienia, absurdalna, jeżeli postawić ich obok siebie, była śladem jego najskrytszych, więc nieujawnionych nawet przed sobą samym marzeń. Marzeń zabronionych. Nawet jeżeli wraz z najzłośliwszymi ze złośliwych dzielił szyderstwa i pogardę dla własnego ciała, uznając je za byt na tyle obcy i wrogi, że okazanie mu współczucia byłoby nielojalnością wobec duszy, to ciału poświęcał nieustannie czas i myśli. Żeby to mógł być związek dusz, myślał o sobie i dziewczynie, żeby to mógł być wyłącznie związek dusz. Mimo to nie umiał odmówić sobie dziewczyny z całą jej zmysłowością. Przywoływał ją więc do siebie, jak przywołuje się psa, a jej uległość była zastanawiająca, podobnie jak wierność. A nie można było odmówić jej prawa wyboru, nawet jeżeli ich świat ograniczał się do wzgórza nad rzeką, pensjonatu, łąk, które wilgotna ciepła zima zamieniła w grzęzawiska, i nieodległego widoku Drohiczyzna. Szofer Darek, okazały, zdrowy, emanujący pewnością siebie, o dekadę od Gaponi młodszy, dzielący z nim to samo piętro w pensjonacie, stanowił dla dziewczyny okazję do zdrady, a jednak wszystko wskazywało na to, że ona z okazji nie korzystała, jakby rozsmakowała się w drugorzędności najpierw Dona, a teraz jego asystenta i przyjaciela. To zastanawiające, lecz można było mieć wrażenie, że Darek i dziewczyna postanowili Gaponi służyć, każde na swój sposób, bez oczekiwania korzyści, jakie można by odnieść.

Ciepła, wilgotna, bezśnieżna zima mijała im łagodnie. Trudno o słowo celniej oddające atmosferę tego drewnianego domu w zakolu rzeki. Wiezorami, co zaczynały się po południu, grzali się przy kominku w holu, czego nie robili, dopóki Don był z nimi, rozmawiali o głupstwach, grali w chińczyka, czytali na głos *Zapiski myśliwego Turgieniewa*, do których Gaponia ich przekonał, czasami oglądali filmy w telewizji. Uruchomili nieużywane od lat pianino i dziewczyna – absolwentka średniej szkoły muzycznej w klasie fortepianu – grała im koślawo repertuar rosyjski przedkładany ponad inne przez Gaponię: *Ostatnią niedzielę*, *Ciemną noc*, *Na sopkach Mandżurii* i kilka innych sentymentalnych walców i romansów wpasowanych w atmosferę domu i nostalgiczny pejzaż za oknami. Darek

okazał się zapalonym kucharzem, świetnie mu szło z mięsami, do których Gaponia, dotychczas wegetarianin jak Don, powrócił. A co do Dona, to jego duch ich nie nękał, lecz – Gaponia był tego pewien – nie odstępował.

– Czy on tu jest? – zapytała dziewczyna niesprowokowana żadną szczególną sytuacją przy późnym jak zwykle śniadaniu w dniu, kiedy na chwilę pojawiło się styczniowe słońce.

Darek był na spacerze z przygarniętym przez siebie psem, a pani Maria, jak zapowiedziała, odeszła z Nowym Rokiem i jeżeli zaglądała, to na krótko.

– A czemu pytasz? – Gaponia rozkoszował się chrupiącą bagietką, jajkiem na miękko, białym serem i kawą.

– Jeżeli jest z nami, to na czym schodzi mu czas? Co go zajmuje?

– Dzieli z nami drobne przyjemności.

– Wszystkie?

– Bez przesady. Do niektórych go nie dopuszczamy.

Gaponia nakrył dłonią dłoń dziewczyny. Najwyraźniej nie broniła mu siebie. Roześmiali się obydwaj. Gaponia ufnie, dziewczyna z ukrytym, przez siebie samą nierozpoznanym zamiarem.

## 25

– O jakim zamiarze mówisz? – zapytała matka, pochylając się nieskończenie długa i chuda nad stołem. Byli jak rewers i awers tej samej monety; matka ze śladami niepospolitej urody, która w swym rozkwicie, być może, zwracała uwagę mężczyzn. Jakby obydwójce zatrzymali się na rozstaju długiej drogi i ruszyli w przeciwnych kierunkach. Gaponia tam, gdzie szpetność w swej najbezpieczniejszej postaci, a matka w stronę kwestionowanego przez wielu piękna. Bywało, że nadziwić się nie mogli swemu podobieństwu i tak różnym jego konsekwencjom.

– Mówię o zamiarze zakosztowania życia, jakie wiodą inni – odpowiedział cicho Gaponia.

– Więc czemu się wahasz, Fabi?

– Bo w to nie wierzę, mamó. – Uniósł filiżankę z herbatą do ust, a jego dłoń drżała jak zawsze. – Po zniknięciu Dona nie pozostało mi nic poza normalnym, w miarę normalnym życiem, jeśli mam jeszcze czas. Ale nie chciałbym, by mnie okpiło.

– Nie wiem, o czym mówisz, Fabi. – Matka zmrużyła krótkowzroczne oczy. Oczy kiedyś głębokie, sądząc po fotografiach z młodości. – Czyżby o rodzinie? Gaponia roześmiał się niewesoło.

– Aż tak daleko nie sięgam. Myślę raczej o związku z kobietą, który ani jej, ani mnie do niczego nie zobowiąże. Ale związku.

– A o jakiej kobiecie mowa?

– Ładnej i młodej, mamó. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie.

Matka odchyliła się od stołu; było w niej coś z wątlego, byle jakiego drzewa.

– Ładna i młoda? – powtórzyła jak echo.

– Nie do wiary, prawda?

– Przykro mi, Fabi.

– Tak myślałem.

– Naprawdę mi przykro.

– Więc bardzo młoda i bardzo ładna, mamó.

Matka wytarła łzawiące oczy i skryła je za okularami w ebonitowej oprawce. Za nią stanęła śmierć podobna jak siostra.

– Wietrzysz w tym jakiś podstęp, Fabi?

– Albo zamiar – odrzekł Gaponia. Rozejrzał się po mieszkaniu, jakby długo go tu nie było. Trzydzieści osiem metrów kwadratowych niedostatku niekamuflowanego skrętnością, odwrotnie, raczej go eksponującego, i nieład. Każda rzecz była nie na swoim miejscu, a wszystko pokrywał kurz i przenikał zły zapach. Od niespodziewanej śmierci ojca wszystko zaniedbywało się z roku na rok. – Albo zamiar, mamó – powtórzył cicho, może nawet w duchu.

Jamnik Stopek wspiął się na tylne łapki i otarł siwiejący pyszczek o chude jak patyki uda Gaponi.

– Ile on już będzie miał? – zapytał Gaponia. – Sześć, siedem lat?

– Dziewięć – odpowiedziała sucho matka. Ujmując swą kościstą, jakby odsączoną z tłuszczu i obraną z mięśni twarz w dłonie, zapytała niby obojętnie: – Kim ona jest?

– Dziewczyna? – Gaponia podrapał psa za uchem i bardzo delikatnie zdjął jego łapki ze swoich ud. – Pianistką.

– Pianistką?

– Można tak powiedzieć. Musi mama pamiętać te nasze sentymenty, wzruszenia, oczarowania sprzed lat, które dzieliliśmy z ojcem: *Błok*, *Cwietajewa*, *Czechow*, *Siewierianin*, *Sewastopolski walc*, *Katiusza*, *Frontowa dorożka*; ona to recytuje, śpiewa i gra. Tak, tak, mamó. Jest pianistką.

– Artystyczna dusza?

– Z tym jest pewien problem. – Gaponia skończył herbatę i rozejrzał się za czymś, czym mógłby zająć ręce. – Ona nie ma duszy. A ściślej: jeszcze jej nie ma. W tym względzie nic nie jest przesądzone.

– O czym ty mi opowiadasz, Fabi? – Matka strwożyła się nie na żarty, gdyż rozumiała syna jak nikt inny, nie tyle nawet z powodu zażyłości, ile

podobieństwa.

– O nierozpoznawalności sytuacji, w jakiej tkwię nie bez przyjemności od kilku tygodni, a może dłużej. Jest jeszcze ktoś.

– Kobieta?

– Mężczyzna. Młodszy ode mnie, ale prostak, nie muszę dodawać, że atrakcyjny. Były gladiator, a potem długoletni szofer ministra Czuba. Co tu dużo mówić, mam, możesz go sobie wyobrazić.

– Co cię z nim łączy?

– A co mama chciałaby usłyszeć?

– Byle nie to, Fabi. Byle nie to. Te plotki...

– Bez obaw, mam. Przyjaźń. W pensjonacie Wrzos nad Bugiem żyjemy we trójkę, nie licząc Dona, a ściślej – jego ducha. Obdarza mnie względami dziewczyna nie tylko poza moimi możliwościami, ale i marzeniem, gdybym je spuścił ze smyczy. Chroni mnie były gladiator i goryl Czuba, krew z krwi i kość z kości motłochu zapelniającego areny. Pieczę nad całością sprawuje duch dyktatora, o którym z takim respektem jeszcze niedawno mówiła Europa. Tkwię w tym jak przedmiot. Czuję się przedmiotem, jestem przedmiotem.

– Przedmiotem? Co ty mówisz...?

– Tak, mam, przedmiotem, wobec którego ktoś ma jakiś zamiar.

Matka zdjęła okulary; jej oczy pełne były starczych łez niemających związku ze wzruszeniem.

– Chcesz poznać ten zamiar, Fabi? Jesteś go ciekaw?

– Nie, mam. Chcę poznać tego, który go wobec mnie przedsięwziął. Pieprzyć ten zamiar. Mnie interesuje jego autor. Pamięta mama, jak jeszcze za życia ojca roztrząsaliśmy boskie zamiary wobec tego czy tamtego. Mówiliśmy: To nie leży w boskim zamiarze. Lub na odwrót.

– Jakże mogłabym nie pamiętać, Fabi.

– Boski zamiar, mam... Nie tym razem.

Gaponia zapalił papierosa, by po chwili, skarcony spojrzeniem matki, go zgasić. Rzekł niechętnie do siebie raczej:

– Nie tym razem. – Wracając ze ślepej kuchni z trzecią herbatą, która, jak

dwie poprzednie, zdążyła wystygnać, dodał: – Twój syn, mamó, którego nie pragnęłaś, który był i jest twoim wielkim rozczarowaniem, choć to skóra z ciebie zdjęta, jest przedmiotem nieznanego zamiaru kogoś, kogo być może nigdy nie pozna. Mam u swego boku młodą kobietę i nie byle jakiego kumpla, a więc byty, które nie powinny mi towarzyszyć z własnej woli. Zatem czyja wola ich na mnie skazuje? I w jakiej sprawie? Jakie nadzieje mogą ze mną wiązać? Czy wiedzą, że jestem nieistnieniem, że po odejściu Dona, Bóg jeden wie dokąd, mnie też nie ma? Czyżby w niepewnych czasach tylko się przy mnie urządzili?

Gaponia objął matkę z nieukrywanym obrzydzeniem, jakby obejmował sam siebie. Być może poczuł rozrzedzoną miękkość jej ciała i kruche kości. Odezwał się najczulej, jak potrafił:

– Wiem, wiem, to nie są sprawy, jakie omawia się ze starą chorą matką, ale po odejściu Dona i zdradzie starego poety nie mam nikogo, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Poza starą chorą matką, którą przypominam, jak nikogo innego. Gdyby nie to podobieństwo jeden do jednego, jak mawiał dzielny, nieprzypominający nas w niczym ojciec, oszczędziłbym ci swoich rozterek, nawet gdyby życie skazało mnie wyłącznie na ciebie, ale w tej sytuacji, rozumiesz, mamó, w tej sytuacji...

**II**



A sytuacja, na razie niezła, zapowiadała złe zmiany. Państwo po odejściu Dona, czego nie ogłoszono, bliskie było rozpadowi.

– Kłopot polega na tym – oznajmił na zebraniu zarządu Domu Centralnego górny dykaster – że nie wiadomo ku jakiemu.

Można by jeszcze dodać, że nie wiadomo po co, bo nic poza nieobecnością Dona, który kraj do swojej absencji od dłuższego czasu przyzwyczajał, nie skłaniało do rozkładu tego absurdalnego w istocie tworu o niecodziennej zdolności do samonaprawy.

– Mówi pan, panie dykasterze, o destabilizacji naszej ojczyzny umiłowanej? – zapytał najpierwszy z durniów, minister siłowy, któremu praktycznie nic nie podlegało, bo nie udało mu się nigdy skojarzyć żadnego skutku z przyczyną.

– Mówię o burdelu, to określenie adekwatne do sytuacji, jaki mamy już za rogiem – odpowiedział zapytany. – Niby wszystko działa, lecz z widoczną zapowiedzią przykrego końca. A jak ktoś tego nie przeczuwa, to zazdroszczę, bo ma spokój. Na razie.

– Nie odkrywajmy Ameryki – rzekł komendant Domu Centralnego zwany generałem – historia to nieraz miała, więc i my przemielimy. Odejdzie dyktatora, a przyjmijmy, że nas opuścił w sposób ostateczny, podsuwa kilka rozwiązań, z których weźmiemy dla nas najwygodniejsze. Mamy wybór, panowie, i czas. Więc bez paniki.

Don traktujący generała jak malowniczego cymbała, trzymający go w zasięgu wzroku ze względu na wytworność, niecodzienny wdzięk, niemożliwą do podpatrzenia zręczność, tak przeciwną plebejskiej toporności partyjnego zaciągu, miał rację jednostronną, gdyż pokolenia pracujące na wytworność generała zapracowały też na jego diagnozy, których lekceważyć nie należało. Generał, zbyt ozdobny w opinii Dona, by był mądry, częściej miał rację, niż jej nie miał. Ale tym razem jej nie miał, gdyż to, co bez

przyczyny szło ku rozpadowi, a być może zagładzie, nie przypominało systemów, których koniec coś podpowiadał.

Ordynarna przemoc, a nie dyktatura ze śladami jakiegoś stylu, panowała przez blisko dekadę, a Don był tylko sternikiem tej przemocy, jaką naród katował sam siebie. Zatruwając wszystkie źródła, wyzwalając najpodlejsze emocje, spuszczać ze smyczy niegodziwość za niegodziwością, Don pozostawiał sprawy samym sobie, a te już pilnowały, by pójść jak najgorzej. Wszechobecna opresja miała się czym żywić. Naród zasmakował w złej wolności. Jego tęsknota za elementarną przyzwoitością, o prawdzie nie wspominając, była szlachetnym złudzeniem, piękną iluzją tych nielicznych inteligentów, jacy uchowali się jeszcze na zasadzie przypadku, administracyjnego zaniedbania, policyjnej niesumienności. Nauka nienawiści szła obywatelom jak po sznurku, a kilka nie byle jakich egzaminów, na których polały się nie tylko słowa, lecz i krew, zdanych zostało celująco. Jeżeli to właśnie spowodowało u dykastera pesymizm, to absencja dwóch ważnych postaci w państwie na posiedzeniu zarządu – sędziego ludowego, zwanego skurwysynkiem, i ministra od spraw nieznanych Czuba – ten pesymizm utwierdzała. Przypieczętowałyby go na amen, gdyby dykaster usłyszał rozmowę telefoniczną między wspomnianymi funkcjonariuszami, którą odbyli dzień później, nie krępując się ewentualnym podsłuchem.

– Jak temu laufrowi, co stał latami przy Donie, chuj wie po co? – zapytał grzecznie sędziego ludowego ministra Czuba, dzieląc się z nim raczej zawołowaną refleksją, niż oczekując odpowiedzi, jaką mógł zdobyć gdziekolwiek indziej.

Czub nie był gościem, który na jakiekolwiek pytanie odpowiadałby wprost i ta maniera go nie zawodziła, skoro zdobył pozycję i wpływy, będąc człowiekiem spoza partii, choć na jej usługach z najhaniebniejszymi włącznie, a może, przykro przyznać, głównie. Więc odpowiedział, jak miał w zwyczaju:

– A pytasz w związku z czym?

– A musi być związek? – Głos sędziego ludowego pełen był podmiejskiej

rewerencji z czasów, gdy sędzia wymigiwał się organom ścigania, podejrzewany o lawinową kradzież rowerów. – A ciekawość nie starczy?

– Zależy komu, Lutek. – Czub przegonił papierosowy popiół z blatu biurka wymiecionego z oznak jakiegokolwiek urzędniczej mitręgi. – Jednym starczy, innym nie starczy; Grabowski, gdyby co.

– Grabowski? Popatrz, nie wiedziałem, choć odwiedziłem go kwartał temu w sprawie tego cwela Hossego. Imię?

– Imię?

– No imię. Każdy ma, kurwa, jakieś imię, nie?

– Chyba żeby nie miał, Lutek.

– Umówmy się, Czub, że on ma.

– Fabian.

– Więc wychodzi, że Fabian Grabowski, nie?

– Tego nie powiedziałem, Lutek, ale skoro pytasz, to zgoda, tak wychodzi.

– No dobrze. Połaskotaliśmy sobie wzajemnie to i owo, a teraz przejdźmy do rzeczy.

– A nie przeszliśmy?

– Jak ci powiem mój problem do załatwienia, to pokumasz, że nie. Co z Donem?

– Z Donem? – Czub zakręcił się na fotelu w tę i tamtą. – Don umarł.

– Umarł?

– Tak mówią, Lutek.

– A gdyby nie umarł, toby tak nie mówili. Kumasz w czym rzecz? Co to ma za znaczenie, umarł czy nie umarł. Ale problem, który ci opowiadam, to inna sprawa.

– Mów dalej, Lutek.

– Gdybyśmy się obaj umówili, że żyje, to nas dwóch starczy czy nie starczy?

Czub zatrzymał fotel, oparł się łokciami o biurko i spojrzał w okno z rozsuniętymi storami, a ono odpowiedziało refleksem bladego lutowego słońca. Rzekł od niechcienia:

– Nie zawadziłby trzeci. Sprawy tracą równowagę i nie straszą.

- Na przykład?
- Fabian Grabowski po mojemu.
- No, to mamy brzeg, Czub.
- A na brzegu Kaligulę. Dobijamy, a on już na nas czeka.
- Bez obaw, Czub. To będzie inny brzeg.

Można założyć, że obaj nie odłożyli słuchawek równocześnie, że jeden drugiego potrzymać chciał w niepewności co do swojej decyzji, choć decyzje zapadły równocześnie, gdyż obaj wiedzieli, że bez trzeciego się nie obejdzie i kim jest ten trzeci. Rzecz polegała raczej na zgodzie co do tego, że wymyślił to sędzia ludowy, a nie minister od spraw nieznanych, który w hierarchii tego rozchwianego państwa stał wyżej. Jeden miał przewagę władzy, drugi – pomysł na jej utrzymanie. Dlatego gdy Czub rzekł na koniec: W porządku, Lutek, ale jest jeden warunek, to sędzia ludowy wiedział, że musi go spełnić i że to będzie gabinet Czuba w Radzie Ministrów, a nie pałac Załuskich przy Hipotecznej 2. Że układ sił nie podpowiada połowy drogi, tylko ten, który ma pomysł, przyjdzie do tego, który go nie ma. Ale do czasu, pomyślał najpewniej Lutek, ale z jego kresem, odpowiedział mu w myślach Czub. Albo i nie odpowiedział. Tak czy owak, obaj coś ustalili i to nie była dobra wiadomość dla Gaponi.

Choć nie musiała być zła, gdyby Gaponia wykazał minimum odporności na brutalność trawiącą kraj. Gdyby zrozumiał, że kokon bezpieczeństwa, w jakim umieścił go Don, się rozlazł i Gaponia wydany został życiu. Przedsięwzięcie zakładające udział Gaponi opierało się na pomyśle, że Don nie ma się najlepiej po ciężkim obustronnym zapaleniu płuc, lecz żyje i panuje. Pobyt w regionie najmniej zatrutym smogiem ze względu na wiatry i wyludnienie pomaga mu powoli dochodzić do siebie, stąd jego nieobecność w stolicy. Wiadomość, że Don umarł, została podana przez wrogów państwa, którzy będą wytropieni i ukarani. Bezład nie służy ojczyźnie, dlatego Don, świadom swych ograniczeń, wyznacza dwóch konsulów, a ci w interesie obywateli sprawiedliwie podzielą się władzą, którą Don im przekaze na czas swej przedłużającej się rekonwalescencji.

– Będiesz miał w tym swój udział, Gaponia – rzekł sędzia ludowy, wprowadzając kilkanaście dni później Gaponię do pokoju, który nie wyglądał jak gabinet – pod warunkiem, że zaświadczysz o tym w mediach, jakie wskażemy.

– Nie potraktowali mnie dobrze – powtórzył kilkakrotnie Gaponia, gdy dziewczyna zapytała, jak mu poszło w Warszawie.

Nastał marzec, a z nim zima. Po tygodniach deszczów i mgieł spadł śnieg i chwycił wcale nie wiosenny mróz. Strony wypiękniały, a rzeka przy brzegach zaszklila się lodem. W holu pensjonatu płonęły kwarty brzoź, dębów, grabów, które Darek znosił przez zimę, złorzecząc, że ona na nic. Pachniało drewnem płonącym w kominku i dobrą kuchnią. Dziewczyna ściagała się z Darkiem w wymyślaniu potraw, które chronicznie pozbawiony apetytu Gaponia by zaakceptował. Udało im się przekonać go do mięs z rusztu, ryb, naleśników, knedli i pierogów we wszelkich możliwych wersjach. Zaczął w związku z tym nieco lepiej wyglądać. Pozbawiona charakteru, byle jaka kuchnia, w zamierzeniu niemająca sprawiać

przyjemności, jakiej domagał się dla siebie Don i bez śladu litości dla Gaponi, odeszła w niepamięć.

– Nigdy w mediach. – Gaponia wyciągnął długie nogi w stronę ognia. – Zawsze cieniem, tylko cieniem. Taka była umowa z Donem. Nie złamię jej.

– Tak im powiedziałaś? – Dziewczyna podała mu kubek z parującą kawą. Gaponia potwierdził skinieniem głowy.

– A oni?

– Nie potraktowali mnie dobrze.

– Czub pana walnął, profesorze?

– Jak prostytutkę w budapeszteńskim hotelu, gdy odmówiła mu jednej z usług.

Szofer przewrócił brzożowe polano w kominku i zapalił od niego świecę. Odezwał się po dobrej chwili:

– To nie była prostytutka.

– Na odlew, jeżeli to pana interesuje, panie Darku, choć bez przekonania i przyjemności, jak sądzę. – Kominek wybuchał co chwila snopami iskier. – Raczej dla porządku. Takie mam wrażenie.

– A ty? – Dziewczyna musnęła końcami palców zapadnięty niedogolony policzek Gaponi i jego nos wydatniejszy niż zwykle, co mogło znaczyć, że zaczął puchnąć.

– Powiedziałem im, że nikt mnie nie zna. Nikt nie wie o moim istnieniu. Nikt nie zna mojej funkcji. Powiedziałem im, że jestem anonimowy.

– A oni?

– Że to wiadomość nie dla narodu, tylko dla tych, którzy coś o mnie wiedzą, nawet jeżeli nie ma ich wielu. Wtedy oberwałem po raz drugi. – Każdy ruch Gaponi, najlżejszych gestów nie wyłączając, był sumą wszelkich niezręczności, ale teraz można było dostrzec, że do niezręczności doszło cierpienie, które ją usprawiedliwiło, i Gaponia stał się nieco patetyczny. – Od sędziego ludowego w nerkę, że aż zabrakło mi tchu i przez moment miałem wrażenie, że umieram. To nie jest najgorsze, co mogło mnie spotkać, pomyślałem, oddech wrócił, a wraz z nim ból i wstyd. Nie potraktowali mnie dobrze, sami rozumiecie.

– I co? – zapytała dziewczyna, a twarz zapłonęła jej gniewem, choć może był to tylko skutek powiewu gorąca od rozżarzonego kominka.

– W czwartek przyślą po mnie auto z dwoma oficerami SIdI i zawiozą do kanału pierwszego telewizji państwowej, gdzie złożę zeznanie. Powiem, że Don żyje i czuwa, a dowodem na to jest przekazanie władzy dwóm konsulom, którzy podzielą ją między siebie dla dobra kraju, Dona, partii i wszystkich, co im sprzyjają.

– W Rzymie to nie wyszło – rzekł szofer Darek – o ile coś z historii pamiętam.

– Zgodziłeś się? – zapytała dziewczyna.

– Nie miałem wyjścia.

– Pojedziesz?

– Przykro mi, ale nie mam wyboru.

– Co o tym myślisz? – Dziewczyna spojrzała na Darka, który umknął wzrokiem gdzieś w bok, w stronę drzwi, jakby miał zamiar czmychnąć.

– Zajmę się kolacją – mruknął. – Późno już.

Gaponia odsunął się od ognia, sięgnął po papierosa, lecz go nie zapalił, tylko obracał w palcach, jakby chciał zająć czymś ręce. Co to ma wspólnego ze światem, jaki noszę w sobie, pomyślał, co to ma wspólnego ze światem, na jakim mi zależy. Ze światem mych marzeń, odczuć, nigdy niezrealizowanych pragnień. Co mnie w istocie obchodzi upokorzenie, jakiego doświadczyłem, skoro życie moje wśród ludzi jest niekończącym się upokorzeniem czasami skrywanym przed samym sobą. Upokorzenia zapamiętane, lecz częściej niezauważone przez innych lub zauważone, lecz niezapamiętane, to mój los. Czemu nagle miałbym uznać, że spotkało mnie coś szczególnie przykrego poza fizycznym bólem, jaki mi zadano? On mija i do czwartku najpewniej ustąpi. Czyżby wychodzenie naprzeciw pomysłom Dona, udział w jego iluzjach, obsesjach, urojeniach nie były jednym wielkim upokorzeniem mimo miłości, jaką go darzyłem? Czy niezrozumiała łaskawość dziewczyny i oddanie szofera Darka nie są upokorzeniem, które postanowiło tylko przez chwilę inaczej się nazywać? Gaponia oparł dłonie na poręczach fotela i zaczął się z niego podnosić. Gdy już się wyprostował, jego wzrost i chudość, cała

zdumiewająca wiotkość zachwiały nim tak, że w spojrzeniu dziewczyny niesmak, zażenowanie, może nawet obrzydzenie wzięły na moment górę nad niepokojem i by to przykryć, zapytała nerwowo:

- O czym myślisz, Fabi?
- O niczym – odpowiedział i chwiejnym krokiem ruszył ku schodom.
- Zawsze się o czymś myśli, Fabi.
- Masz rację. – Gaponia ruszył schodami w górę do swego pokoju, który dwa, trzy razy w tygodniu był też pokojem dziewczyny. – Na ogół zawsze.



To samo powiedziec by mogli szefowie stołecznych gangów, które to nieustannie zamożne miasto podzieliły na strefy wpływów i na razie się tego trzymały. Po falandze został im tylko mexidol i patriotyzm, używane w służbie przemocy, której brutalność ich samych zaskakiwała. Nie znałem siebie, mawiał ten czy tamten. Budzili lęk i mogli sobie podporządkować wszystkie instytucje tego coraz bardziej rdzewiejącego kraju, gdyby im na tym zależało. Ale maksyma jednego z capo di tutti capi, który kazał się tytułować centurionem Wschodu: Miasto przede wszystkim i wyłącznie lub na ogół zawsze – określała ich stosunek do przestrzeni panowania, jakie uważali za możliwe i, przede wszystkim, wystarczające. Oprócz tego pogląd, że poza stolicą nie bardzo jest co łupić, że energia, pomysły i kasa zainwestowane w terenie mają niewielkie szanse na zwrot w przewidywalnej przyszłości, że podział kraju na wzór stolicy mógłby się nie udać, stając się zarzewiem wojen, a w nich nie byłoby zwycięzców, ograniczał ich aktywność do miasta, którego na potrzeby kilkunastu tysięcy młodych mężczyzn wystarczało. Wiodło im się dobrze i nic nie zapowiadało złej zmiany, pod warunkiem że pilnować będą siebie i swoich interesów, to znaczy nie przestaną się rozglądać, nasłuchiwać, łapać wiatru w nozdrza, przewidywać rozwoju wypadków i nie będą ulegać pozorom. Bo gangi, w przeciwieństwie do państwa, były na serio. Wystawny lancz w restauracji hotelu Excelsior, bo raz na zawsze pożegnali się z ideami, a więc i ascezą, jaką wymuszały, odzwierciedlał ich nowe życie.

– Wiadomość, że Don nie zszedł z tego świata, nie leży w naszym interesie – oznajmił centurion Wschodu, gdy po wzajemnych rewerencjach obejmujących wygląd, zdrowie, rodziny, auta, jakimi zajechali, domy i wakacyjne plany, choć do wakacji było daleko, rewerencjach, które nie mogły się skończyć, gdyż bardzo w nich wszyscy zasmakowali, przekonany, że ta byle jaka rzymska funkcja deleguje go do celów, z jakimi nigdy nie

miała nic wspólnego, dosadnie przestrzegł zebranych przed bagatelizowaniem tego kłopotu.

– A ten kłopot, Stynek? – zapytał mężczyzna, który nie mieścił się na krześle ani za stołem, tak go ten mexidol, a wcześniej patriotyzm, rozepchały i napompowały.

Centurion, który nadal był Stynkiem dla tych ze Wschodu, Zachodu, Południa i Północy, a wcześniej Korybutem, gdy nęcił patriotyzm w wersji jagiellońskiej, wyjaśnił, że w imieniu Dona krajem zamierza rządzić dwóch konsulów, gości, z którymi się nie dogadają, gdyż nic ich od zebranych nie różni. Że będą rządzić tak długo, jak długo Don dochodzić będzie do siebie nad rzeką, co ją sobie upodobał, i w stronach, które mu podobno służą. Że to oni przejmą władzę wraz ze wszelkimi jej pozorami, że nic tych sukinsynów nie powstrzyma, bo ich apetyt na władzę zaspokoi wyłącznie władza, z jaką falandze może i po drodze, lecz temu, w co falanga przeszła, już nie. Że człowiekiem, który się z nimi zblatował, jest niejaki Fabian Grabowski, znany nielicznym jako Gaponia, który w państwie nie znaczył więcej niż cień, jaki rzucał. Że nim goście, mający się za konsuli, podzielą się władzą, jaką im Don sprezentuje, groźniejszy od nich jest Gaponia, bo od niego zależy, czy Don żyje, czy nie żyje.

– On to, panowie, wyznaczy i ustanowi – zakończył.

– W czym rzeczy się dla nas zmieniają? – zapytał ten, który nie mieścił się na krześle ani za stołem. – Gdy już wyznaczy i ustanowi.

Pytanie postawione zostało nie tyle centurionowi Wschodu, ile całej reszcie, i widać było, że majorat Stynka jest wątpliwy, nawet jeżeli dotyczy tylko lanczu w hotelu Excelsior i sprawy, w jakiej się zebrali.

– Krótko mówiąc, mamy kropnąć Gaponię, czy jak go tam wołają, nim wyznaczy i ustanowi, a potem konsulów, jak się zdarzy! – wrzeszczał z końca sali wysoki i mimo mexidolu chudy, a przy tym rozrośnięty jak ściana niemłody już człowiek.

– Bystry jesteś jak Wag wiosną, Blasio. Nie to, co Fred, który lubi nurt spokojniejszy.

– To prawda, Stynek – odrzekł Fred, próbując znaleźć miejsce godne swej

substancji między krzesłem a stołem. – Dlatego spytam ponownie, w czym rzeczy się zmieniają, jeżeli go zgasimy albo i nie zgasimy, podobnie jak konsulów, jeżeli się przy tym zaszczycie upierają.

– Za pozwoleniem, centurionie Wschodu i zebrani dowódcy, jak i zastępcy tych, którzy się nie zjawili – o głos poprosił elegant ubrany z przesadą. – Kilka słów wyjaśnienia w kursie dzieła, że tak się wyrażę. Znacie mnie pod ksywką Kanarek, a tym, którzy mnie sobie nie kojarzą, powiem, że jestem mecenasem i noszę nazwisko, co z kanarkiem ma tyle wspólnego, że bywa on ofiarą jego ucieleśnienia. Kancelaria Kot i Ojciec, bez której w wielu sprawach przędlibyście cienko. A teraz co do kursu dzieła: w państwie, w którym nic nie działa lub udaje, że działa, armia zaryglowana w koszarach, policja bez grosza, parlament równie nieustający co jałowy, Dom Centralny bez władzy nad namiestnikami prowincji powołanymi przez Dona, a Don obok Domu Centralnego, części niesłużące całości, a całość niezłożona z części, sądy skurwione, a Kościół w ciężkiej schizmie ekskomunikowany przez Rzym – oni mogą działać.

– Konsulowie?! – wrzasnął z końca sali ten, któremu mexidol ani patriotyzm nie podarowały substancji, jaka wymuszałyby posłuch, więc wymuszał go wrzaskiem.

– O nich mówię, panie Blasio. – Mecenas Kot niedbałym ruchem poprawił chusteczkę w kieszonce marynarki i wszystko inne, co go przystrajało. – Za dużo mi płacie, bym nie mówił wam prawdy, a prawda jest taka, że mokra robota w tym względzie to ostatnia rzecz, jaka powinna się zdarzyć. Pamiętajcie, z czego wyszliście i do czego prędzej czy później wróćcie. Jesteście legionem ludzi surowych, a nawet brutalnych zasad, lecz zasad, i równie brutalnej idei, lecz idei. Jedno i drugie jest mi bliskie, podobnie jak memu zacnemu ojcu, który w szacunku do tych wartości mnie wychował. To co przeżywamy, to intermezzo, które ma to do siebie, że się kończy. Nie po drodze wam z państwem w stanie anarchii na dłuższą metę, bo takie państwo nie służy nikomu. Bezład dobierze się i do was. Jeżeli znaleźli się ludzie chcący zaprowadzić porządek, wesprzyjcie ich na swoich warunkach. Wiadomość, że Don nie żyje, jest tyle samo warta jak ta, że żyje. Żadna nie

jest potwierdzona. Przecież kiedy żył, też go nikt nie widywał. Na waszym miejscu, panowie, nie upierałbym się, że nie ma go już z nami, skoro może być. Don nigdy nie był bytem do końca rzeczywistym, a skoro tak, jego odejście też jest wątpliwe. Jeżeli ma to ogłosić publicznie Fabian Grabowski, zwany Gaponią, niech to zrobi. Jeżeli ma zaświadczyć, że na czas swej niemocy Don wyznaczył dwóch gości, którzy się ponazywali konsulami, niech zaświadczy. Jaka władza może się wam wymknąć poza tą, jaką posiadacie? Były złodziej rowerów i dziennikarz sportowy; ich władza będzie zawsze oszustwem, wasza – nigdy. Wy ją macie w ostatecznym rachunku z woli narodu, który powołał was do gwałtu, oni – z cwaniackich kombinacji. Puśćcie ich przodem, panowie. Na razie przodem, a potem się zobaczy.

Z przodem to może przesada, ale chłopcy nie byli od tego, by odzegnać się od racji Kanarka. W końcu uznali go za swego. Gość do wynajęcia nie mógł mieć racji, która by im służyła, mógł tylko coś podpowiedzieć, ale mecenas Kot był kimś więcej niż suflerem i za cholerę nie wiedzieli, kiedy i jak to się stało. Podzielał w większości ich poglądy na życie i świat, co ułatwiało im pogodzenie się z tą sytuacją. Mogli go przepędzić lub przygarnąć, nie mogli wynająć, bo to już nie był człowiek do wynajęcia. Poczuli się zdekspirowani przez tego mydłka z chusteczką w kieszonce marynarki, którego postanowili, wbrew swoim zwyczajom i preferencjom, uznać za swego. Rewanż w postaci ksywki Kanarek ujmował im nieco zakłopotania, nie tyle jednak, by tego nie przeżywali. Ale teraz nie ubytek suwerenności zaprzętał ich myśli, ale ambicje konsulów i niebezpieczeństwo, jakie stanowił Fabian Grabowski, zwany Gaponią, o którym, podobnie jak reszta obywateli, niewiele wiedzieli.

A Gaponia pierwszy raz tego roku wciągnął w nozdrza zapach ziemi. Skończył się marzec, który nadrobił z nawiązką zaniedbania zimy, i cierpliwość wiosny też się skończyła. Pierwszego kwietnia słońce stopiło śnieg, a wiatr z zachodu powymiałał chłód nawet z tych zakamarków, gdzie zdarzało mu się przetrwać aż do maja. Ziemia w ciągu kilkunastu godzin zmiękła. Spacer w górę rzeki nie był w związku z tym łatwy, lecz zapowiedź wiosny z całą jej podlaską niepowtarzalnością dodawała sił. I nawet jeżeli ze spełnieniem tych zapowiedzi w chłodniejszych od reszty kraju stronach bywało różnie, to w samej obietnicy było coś, co podnosiło na duchu. Przed południem odezwały się gęsi lecące na Bagna Biebrzańskie z nieodległej Białorusi, a godzinę później klangor żurawi wypełnił przestrzeń mistycyzmem i Gaponia doświadczył uniesienia, jakie unieważnia kłopoty codzienności. W końcu jestem częścią tego piękna, pomyślał, i tej wiosennej nadziei. Tego uczucia nie zepsuło wspomnienie porannej rozmowy z właścicielem pensjonatu, który arbitralnie wyznaczył koniec miesiąca jako ostateczny termin zwolnienia budynku po uregulowaniu zaległych należności i kosztów odświeżenia wnętrza po uciążliwej obecności narzuconych mu pensjonariuszy. Sezon letni, który jest już za pasem, ma zastać pensjonat Wrzos gotowy na przyjęcie gości.

– Jeżeli zabrano ochronę, to z Donem, cokolwiek miałyby to znaczyć – warknął z dołu schodów młody człowiek w kaszkiecie nasuniętym na czoło; młody i jak całe jego pokolenie źle wychowany. – A pan i pańscy goście jesteście tylko klientami, którzy paskudnie zalegają z opłatą. Nie prowadzę działalności dobroczynnej w tym obiekcie ani w żadnym innym. Koniec kwietnia i ani godziny dłużej.

– Piękny dzień – rzekła dziewczyna, witając Gaponię na klombie przed budynkiem. – Będziemy cieszyć się wiosną? Gdzie byłeś, Fabi?

– Daleko – odrzekł. – Jak na mnie daleko. Słyszałem żurawie.

– Też miałam takie wrażenie. – Dziewczyna owinęła się swetrem, bo stała w cieniu. – Coś cię martwi, Fabi?

– Przeciwnie, dawno nie byłem taki pogodny. Nawet perspektywa złożenia zeznań na temat Dona, co pokaże państwowa telewizja, przestała mnie martwić. Jakie to ma znaczenie wobec żurawi. A poza tym kłamstwo to jedno z moich zajęć w ostatnich latach. Co za różnica, w którą stronę.

– Wcale tak nie uważam – powiedziała dziewczyna, ale widać było, że nic ją to nie obchodzi i gdyby wygodniej jej było powiedzieć, że uważa, toby powiedziała.

Późne śniadanie Gaponia zjadł z apetytem, a potem usiadł na schodach przed pensjonatem w plamie mocnego już słońca i wystawił ku niemu twarz. Rozpiął guziki koszuli, przeciągnął się, zamknął oczy. Papieros już dawno mu tak nie smakował. Gaponia pomyślał o obojętności Dona na cuda natury i rezygnacji z jej dobrodziejstw. Jakby to, co związane z naturą, było poniżej oczekiwań wobec życia. Wszelkie próby olśnienia Dona podejmowane przez czerwcowy świt lub zmierzch, krótką letnią noc i dzień schowany na chwilę w jej mroku, cienie dębów na łące za rzeką, głosy ptaków, wiatr pochylający wysokie trawy, mienistość chwastów obrastających parowy, przejrzystość poranka w lipcowy dzień, gdy lato staje w swoim szczycie, a dzień zapowiada upał, o zapachach nie wspominając, pozostawiały go obojętnym. Kto ci zabrał tę radość, szefie, zapytał siebie w duchu, a może nie w duchu, bo bywały chwile, gdy miał wrażenie obecności Dona nie tyle przy sobie, co wokół.

Po południu zajęchała przed pensjonat czarna honda accord z dwoma oficerami SIdI (Samodzielnej Inspekcji do spraw Integracji) – jeden atletyczny łysol w średnim wieku, raczej grzeczny, drugi młody i naburmuszony. Oszcekał ich Mado, pies przygarnięty przez Darka.

– Już czas, profesorze. Mamy być przed dwudziestą – oznajmił ten starszy.

– Nie ma jeszcze czwartej – zauważył Darek, który wybiegł z budynku, by odwołać psa. – Ja robię tę drogę starym fordem w dwie godziny z hakiem. Może dacie się namówić na kawę?

– Chętnie – oficer uśmiechnął się blado – ale innym razem. Czekaamy

w wozie, profesorze.

Gaponia skinął głową, lecz się nie poruszył. Jego uwagę przykuła sójka przekomarzająca się ze sroką.

– Nie przebierzesz się? – zapytała dziewczyna.

Gaponia zaprzeczył. Do sroki dołączyła koleżanka i sójka znalazła się w opałach. Darek zamknął psa w domu i wrócił na schody. Rzekł od niechcienia:

– Zamieniłbym kilka słów z chłopakami, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Tego młodszego pamiętam z parku maszyn. Powiodło mu się.

Gaponia rozłożył ręce. Sroki przepędziły sójkę, nic nie zyskując, bo zaraz potem odfrunęły. Wredne ptaszyska, pomyślał i wszedł do domu, by jednak się przebrać. Zajęło mu to kwadrans. Gdy podszedł do limuzyny stojącej z pootwieranymi na oścież drzwiami, wyczuł gwałt, jaki się dokonał na niej lub na jej pasażerach, a po chwili ujrzał jego plon. Starszy z oficerów, przywodzący na myśl każdego, tylko nie ofiarę, leżał wsparty plecami o felgę, brocząc krwią z ust i nosa. Młodszy płacz mieszał ze złością, skargi z przekleństwami, rozczarowanie z pogrózkami. Obnosił się z wybitym zębem, cały w krwawych glutach.

– Co tu się stało? – zapytał Gaponia ugodzony tą niespodziewaną brutalnością, tym chamskim pokazem krzepy nie mniej niż ofiary.

– Małe nieporozumienie co do pańskich planów na dzisiejsze popołudnie i wieczór, panie profesorze – odpowiedział Darek. – Oni naprawdę myśleli, że zawiozą pana do telewizji. Rzekłbym nawet, że się na to uparli.

Gaponia bezradnie obrócił się kilkakrotnie wokół własnej osi. Z rozpostartymi nienormalnie długimi rękoma przypominał zdezelowany wiatrak.

– Rzeczywiście, profesorze, to widok nie dla pana. Zamierzałem działać dyskretniej. Nie złożyło się, przepraszam.

Szofer Darek odwrócił się do młodszego z oficerów, chwycił go za klapy marynarki. Rzekł, nawet przyjaźnie:

– Zabieraj kumpla i wypierdalaj. Najbliższy szpital w Sokołowie Podlaskim. Radzę skorzystać.

Nagle zjawiała się dziewczyna. Zatrzymała się kilka metrów przed hondą. Zasłoniła twarz dłońmi. Wszelkie brudy i niegodziwości świata nie były jej obce, co nie znaczy, że nie raniły. Wzięła Gaponię pod ramię i powiedziała z tą nutą serdeczności, w jaką nie wierzył:

– To nie twoja sprawa, Fabi. Idziemy do domu.

– Ale przecież...

– Daj spokój. Kogo żałujesz?

– Niech pan jej posłucha, profesorze. – Darek przyglądał się bez współczucia oficerom, którzy usiłowali się pozbierać.

Starszy nie mógł zatamować krwi z czoła rozciętego wzdłuż, jakby przeciągnięto po nim kastetem. Kwadratową twarz Darka z przestawionym lata temu nosem przesłoniło zło w najczystszej postaci.

– Są uzbrojeni! – krzyknął Gaponia, opierając się dziewczynie. – Oficerowie SIdI są uzbrojeni!

– Już nie – odpowiedział Darek i wyjął zza pasa zwartego, czarnego jak kruk glocka.

Gaponia prowadzony przez dziewczynę niczym ślepiec nie wiedział, że ten obraz pobitych ludzi, tak namacalny w swej bliskości, wyprze z jego pamięci dużo drastyczniejsze obrazy ran, jakie w imieniu Dona zadawano niewinniejszym przez blisko dekadę, jakkolwiek by się od tego odżegnywał, wspólnych rządów. Przywilej, z jakiego dotychczas korzystał, polegał na złudzeniu, że fizyczna odległość, jaka ich dzieli od brutalności, a często i okrucieństwa, stępa je i wstawia w znieczulający cudzysłów. Jestem niczym smakosz mięsa, pomyślał, który nie wie, jak wyglądają rzeźnie. Lub nie chce wiedzieć.

– Lub nie chce wiedzieć – powtórzył szeptem.

– Co mówisz? – Dziewczyna wspięła się na palce i zbliżyła twarz do jego twarzy tak, że poczuł jej oddech.

– Chcę się zobaczyć z matką.

– Jasne. – Dziewczyna opadła na pięty. – Darek cię zawiezie, kiedy będziesz gotów.

– Nie chcę, żeby Darek wiózł mnie do mojej matki.



– Jasne – zgodziła się.

Drętwiał, jak tuż przed gorączką. Ten niedługi czas, gdy to, co nas potem wykańcza, zaczyna się leniwym, bezsilnym początkiem niezapowiadającym tego, w co się przeistacza. Powtórzył w duchu, że powinien zobaczyć się z matką. Czuł żal, że powziął takie zobowiązanie, żałował też dziewczyny wspierającej go swym młodym silnym ciałem. Prowadziła go jak ślepcę, który nie chce przejrzeć.

Gdy generał zapytał, co o tym myśleć, nikt nie zgłosił się z odpowiedzią. A nie brakowało takich, którzy odpowiadali niepytani, gdyż była to jedna z ich przyjemności. Tym samym odpowiedzi w głównej sali narad Domu Centralnego zawsze więcej było niż pytań, które je prowokowały. Tego przedpołudnia powściągliwość kilkunastu nomenów, zebranych wokół elipsoidalnego stołu z lśniącym jak lustro blatem, zastanowiłaby każdego postronnego obserwatora. W niewinnym pytaniu generała nie czaił się żaden podstęp, który pochopną odpowiedź czyniłby niebezpieczną. W przeciwieństwie do kłopotliwych nieraz pytań Dona, pytania generała były proste, niestawiające na ogół żadnych wymagań co do wiedzy, precyzji czy refleksu. To był jeszcze jeden powód, dla którego generała lubiano i wybaczano mu nieustannie rozłożony pawi ogon. Należy więc przypuszczać, że powściągliwość zebranych nie brała się z istoty generalskiej ciekawości ani miejsca, w jakim ją wyraził, a z czasu. Te mniej niż umiarkowanie lotne umysły, umieszczone w pospolitych ciałach – lustrzanym odbiciu suwerena, wystarczająco były zaprawione w konformizmie, by wiedzieć, że wolność odpowiedzi jest jej przekleństwem. Gadać można było bez końca, jeśli się niczego nie wiedziało; jeśli zaczynało się wiedzieć, lepiej było milczeć. A oni wiedzieli lub tylko podejrzewali, że czas beztroskich deklaracji minął.

– Zapytam zatem prościej. – Generał potoczył srebrnego parkera po lustrze stołu. – Jak to się stało i kto za to odpowiada?

– Los, panie generale – powiedział jak echo jeden z nielicznych, którym powiodło się z ukryciem inteligencji tak, że awansował na intendenta Domu Centralnego. – Po prostu los.

– Krypa ma rację – odezwał się minister spraw wewnętrznych, któremu nigdy nie kojarzyło się nic z niczym, w związku z tym wynagrodzono go dystynkcją, w co wciąż nie mógł uwierzyć. – Nie powinni się na niego zdawać. Ale się zdali.

– A kto ich do tego skłonił? – zapytał generał, lecz minister nie odpowiedział, bo to wymagałoby połączenia przyczyny ze skutkiem. – Zemsta? – Generał przeniósł spojrzenie na intendenta, a potem na resztę.

Zacięli się w milczeniu.

To nie było pytanie na czas przełomu, bo wymagało przejścia do sedna sprawy, a kto by tam przechodził, skoro można było kręcić się wokół w stosownej od tego sedna odległości. Przez uchylone okno wpadła do sali pierwsza tego roku mucha, drobna i ospała, i na kilka minut zajęła uwagę zebranych. Potem ktoś wspomniał o przeciążeniu maszyny, inny dodał, że agusta zabiera trzy osoby, w szczególnie korzystnych warunkach pogodowych cztery, a ich było pięciu.

– Przeciążyli maszynę? – zapytał generał.

– Na to wygląda – odrzekł któryś z nich. – Ten piąty to ziomal z Bemowa; cały czas w ferajnie zwijającej rowery.

– Czy tak? – Generał spojrzał na ministra, lecz ten milczał, a potem wulkanicznie się rozkaszał.

Po chwili kaszleć zaczął ten, który wspomniał o ziomalu. Srebrny parker toczył się w tę i tamtą po lustrzanym blacie niestawiającym oporu. Do parkera dołączyła równie elegancka srebrna zapalniczka.

Generał powtórzył pytanie o zemstę. Imperatywnie jak nigdy.

– Na to wygląda, generale – zaryzykował odpowiedź intendent. Reszta jak na komendę spojrzała na niego. Intendent nie mógł mieć wątpliwości; zostanie mu to zapamiętane. – Dla zemsty za skatowanie oficerów SIdI, o których sędzia ludowy nie wiadomo czemu myślał, że mu podlegają.

– Swoją drogą – generał użył zapalniczki i zapachniało ostrą czarną cygaretką – kto kontroluje policję polityczną po odejściu Dona?

– SIdI? – Minister próbował ukryć się między równie jak on ostrożnymi nomenami.

– A jest jakaś inna?

– Jeszcze dzisiaj, panie generale, powołam zespół, który do tego dojdzie.

– Będę dozgonnie zobowiązany – odrzekł generał – jeżeli zrezygnuje pan z tego pomysłu.

– Jak pan sobie życzy, panie generale.

– A więc ekspedycja karna pod wodzą sędziego ludowego, który stracił głowę, rozbiła się kilka kilometrów przed Drohiczyńnem z powodu przeciążenia maszyny. Nikt nie ocalał.

W milczeniu zebranych była aprobatą dla tego poglądu.

– Bo tak załatwiał sprawy sędziego ludowego w swoim poprzednim złodziejskim życiu. – Generał nie zaciągał się cygaretką, więc dymił jak fabryka. – Z mety.

Opinia generała została przyjęta z aprobatą.

– Na tym swoim Grochowie czy Szmulowiźnie.

Nikt nie zaprotestował.

– Przyzwyczajenie to druga natura, a może nawet pierwsza. Trudno się z nim rozstać. Czy tak, panie ministrze siłowy?

– Nie posiadam na ten temat wiedzy, panie generale.

– A czy ktoś z zebranych ją posiada?

Jasne było, że nikt nie posiadał, ale komendant Domu Centralnego poczekał i się doczekał. Intendent, ryzykując umiarkowaną niezależność, postanowił widocznie zobaczyć w tym jakąś korzyść, gdyż zasugerował, że ekspedycji karnej obojętny był los oficerów policji politycznej i despekt, jaki ich spotkał nad rzeką, bo można ich zastąpić pierwszymi z brzegu.

– Więc?

– Chodzi o kogoś, kogo nie można zastąpić. Przynajmniej na razie.

– Kogo pan ma na myśli?

– Moja przenikliwość tego nie przenika, generale.

– Gaponię?

– Nie upieram się, generale.

Komendant Domu Centralnego rozejrzał się za popielniczką. Ktoś z zebranych usłużnie mu ją podsunął, ale nie był to intendent.

– Lubię tego chudzielca. – Generał roześmiał się, lecz twarz mu spochmurniała. – Naprawdę lubię.

– A kto go nie lubi?! – krzyknął senator z myszką na policzku, który od pewnego czasu nie wiedział, czy jest jeszcze senatorem, czy nie jest, więc

kazał się tytułować tetrarchą, myśląc, że to godność równa tej, jaką być może utracił.

– To by tłumaczyło obecność Czuba w tym towarzystwie. – Intendent najwyraźniej poszedł na całość. – W sprawie oficerów by się nie pofatygował.

– Zwęglone ciała były tylko cztery – zauważył senator niepewny swej godności.

– Bo Czub jest za cwany, by się spalić – odpowiedział mu intendent – więc przepadł.

Ale nie Czub był tu teraz ważny i tego nikomu z zebranych nomenów nie trzeba było tłumaczyć. Cygaretką się dopaliła, popiół poznał blat stołu, mucha się uspokoiła, komendant Domu Centralnego zapytał, czy to możliwe, by Gaponia znał teraz więcej niż wtedy, gdy był tylko cieniem Dona, ale retoryczność tego pytania rzucała się w oczy. Ciekawość zaspokoiłby konkret, lecz konkret budził w nomenach, nawet tych skłonnych do umiarkowanego ryzyka, strach większy niż piekło. Ale też pytanie generała nie przeszło bokiem, lecz przebiło każdego z zebranych na wylot, a to miłe nie było.

# 31

Dla Gaponi również. Bo zaczęto się nim interesować może nie powszechnie, ale jednak, łącząc go w parę z Czubem, a to dla każdego byłby ryzykowny melanz, a co dopiero dla kogoś tak bezbronego jak cień Dona. Oficjalna informacja – jeżeli coś w tym państwie było oficjalne – zawiadamiała, że Czub zginął w katastrofie rządowego helikoptera pod Drohiczynem, lecz nikt z tych, co mieli w to uwierzyć, nie uwierzył. To że ciała pięciu pasażerów agusty uległy zwęgleniu i identyfikacja nie była możliwa, znaczyło tyle, ile inne fakty w kraju, więc w praktyce nic. Bo faktów już od lat nie było, były tylko interpretacje.

– Czub jest na to za cwany – wyraził swoją opinię młody steward Domu Centralnego.

– Za cwany by spłonąć? – zapytał go dyrektor dolnego biura.

– Za cwany by się z nimi zabrać. – Steward był pewny swego.

– Więc co się z nim dzieje?

– A to już zupełnie inne pytanie.

Generalnie go sobie nie zadawano. Jeżeli o kogoś pytano, to o Gaponię. Stał się tematem plotki, która potrafi żywić się sama sobą. Nawet w rozmowie z matką to wyszło.

– To nie jest fakt, mamó – rzekł, gdy matka wróciła do niepojętego dla niej związku syna z dyktatorem – to wyłącznie interpretacja, jak cała reszta, którą ostatnio bywam obarczany.

– Mój Boże, Fabi. – Matka westchnęła i podsunęła synowi talerz z parującą zupą, która, jak wszystkie jej zupy, była niejadalna. Zupami matka najpewniej wykończyła ojca, bo nie było żadnej innej przyczyny jego przedwczesnego zgonu.

– Kochałem Dona, a on odwzajemniał to uczucie, ale nie było między nami fizycznego związku, bo ani on, ani ja nie mamy takich skłonności, co najwyżej związek dusz, z których jego była pełna rezerwy, a moja oddana

w stopniu, jaki mógł go krępować.

– A jednak to, co o was opowiadano, było dla mnie okropne i cieszę się, że już nie jesteś narażony na takie podejrzenia. Naprawdę, Fabi, cieszę się, że już go nie ma. – Spojrzała bystro na syna, jeżeli jej zapadnięte krótkowzroczne oczy były do tego zdolne, i zapytała z przejęciem: – Bo go nie ma. Prawda, Fabi? Nie ma go?

– Niestety, mamó, zostałem sam.

– Tam nad rzeką?

– Nad rzeką również.

Zastanawiał się, jak przekonać matkę, że rozwodniona egzystencja, jakiej by mu życzyła u boku choćby kobiety występnej, pokumanej z każdym grzechem, egzystencja mająca choćby elementarny związek z tą, jaką wiodła większość rówieśników, byłych przyjaciół, przelotnych znajomych, dalekich, nigdy niepoznanych kuzynów, nie będzie niczym innym niż udręką i wstydem, znieczulanymi od czasu do czasu snem wariata. Że pensjonat Wrzos w zakolu rzeki, do którego stracili już prawo, nigdy nie stanie się jego domem. Że praca, do której trzeba się będzie przymierzyć, by z czegoś żyć, będzie zawsze gorsza od najgorszej bezczynności, jakiej się w ostatnich latach oddawał u boku równie bezczynnego Dona. Że nie znajdzie azylu dającego ulgę w cierpieniach codzienności, bo przygoda z wynaturzoną tyranią, której tylko stworzyli okazję, nie ma sobie równych w kalekiej, niejednoznacznej, niedopowiedzianej atrakcyjności.

Odezwał się tak cicho, że matka musiała pochylić się nad stołem, by go usłyszeć. Wyglądała jak znak zapytania postawiony starczą ręką.

– Nie jestem gotów na normalne życie, mamó, nawet gdybym mu podołał. Nawet gdybym za nim tęsknił. Nie jestem gotów, mamó.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Że cokolwiek nas dzieli, nie mamy nikogo sobie bliższego i że czas to sobie wyznaczyć.

Matka skinęła głową.

– Ale potrafimy się rozłączyć. Na zawsze. Zniesiemy najdotkliwszą wzajemną nieobecność. Życie nas w związku z tym nie zabije.

– Lub zabije, Fabi, co za różnica.

– Jasne, mamó. Pogodzimy się z tym, że nie ma różnicy. Przyjmiemy najgorsze warunki, jakie nam życie podyktuje.

– Lub nie przyjmujemy, Fabi.

– Jesteśmy najżałośniejszą jednością, nie wliczając w to psa.

– Lub wliczając, Fabi, bez różnicy. Niech Bogu będą dzięki, że twój ojciec tej rozmowy nie słyszy. Nic by z niej nie zrozumiał.

– Żadne z nas nie odejdzie samotnie, bo jest w drugim. – Gaponia osiągnął stan, po którym jest już tylko rozpaczliwy szloch. By go powstrzymać, wciągnął w płuca powietrze wraz z tym złym zapachem, który wisiał w ciasnym, niechlujnym, szkaradnym mieszkaniu, od kiedy pamiętał. – Jesteśmy zastanawiającą jednością głęboko sobą rozczarowani. Sprawiliśmy sobie zawód z powodu podobieństwa, którego nie akceptujemy. Nasz ojciec, mamó, nasz silny, dzielny ojciec, był z innego świata, dlatego nas opuścił.

Wzruszenie, niekłamane wzruszenie, kazało matce powiedzieć byle co, więc oznajmiła, że nic nie wie o innych światach.

– Niestety, mamó – odparł zimno Gaponia i natychmiast tego tonu pożałował – rozmawiamy o świecie, o którym coś wiemy.

Podszedł do matki i ją przygarnął, a ściślej – spróbował to zrobić, ale mu nie wyszło. Miał dobrą wolę i matka to doceniła.

– Już w porządku, więcej nie trzeba. – Odsunęła się pod ścianę i dodała: – Powiedziałaś mi coś, czego ja nie potrafiłabym powiedzieć tobie, ale co powinno być powiedziane.

Na pożegnanie, pomyślał Gaponia, bo miał nieodparte wrażenie, że widzą się po raz ostatni. Opatrzność nam to podpowiedziała, bo wie więcej. Myślał o tym całą drogę powrotną i z trudem powstrzymywał łzy. Miłość do matki zapukała, gdy za drzwiami nie było już nikogo. Nieustannie miał matkę w oczach. W Węgrowie zatrzymała go policja. Zignorował znak stop, a potem przejechał linię ciągłą, wyprzedzając furmankę. Policjant poprosił o dokumenty. Dostał dowód rejestracyjny forda mondeo bez ważnych badań technicznych i ubezpieczenia.

– Od dawna pan jeździ bez uprawnień? – zapytał policjant.



– Od kiedy panuję w tym kraju – odpowiedział Gaponia.

– Słucham? – Policjant przysunął się do uchylonej szyby.

Zajechało czosnkiem i wodą po goleniu.

– W pewnym sensie, naturalnie. – Gaponia nie przestał myśleć o matce i o tym, że miał ostatnią okazję, by naprawić to, co zostało między nimi zepsute, i że z tego nie skorzystał.

– Co to, kurwa, za pajac? – warknął drugi z policjantów, dołączając do pierwszego. – Bierz chuja do radiowozu i proceduj.

– Zapraszam – rzekł sucho policjant, wskazując wiekową dacie logan tak zapuszczoną, że kolor młodości straciła najpewniej na zawsze.

Gaponia wysiadł z forda, nie podszedł do dacji, lecz obojętnie powiedział:

– Stworzę panom trzy możliwości, z których jedną wybieriecie.

– Którą wybrali? – zapytała rozbawiona dziewczyna.

– A co za różnica – odpowiedział Gaponia, mając nieustannie przed sobą kruchą jak chrust sylwetkę matki, cofającej się w popłochu pod ścianę przed obrzydzeniem syna nie z powodu jej starości, lecz podobieństwa – skoro żadnej nie znasz. Ale jeżeli naciskasz, to powiem, że wybrali pierwszą, najrozsądniejszą.

– Z trzech?

– Zgadza się. Dostanę kawę?

Darek zjawił się z parującym porcelanowym kubkiem. Ogień w kominku pochłaniał kolejne brzozowe polana. Cienie na ścianach kładły się nisko, a wiosenne słońce za panoramiczną szybą holu zachodziło krwawo, jak na deszcz.

– Nie zatrzymali mnie tuż po wyjeździe z Węgrowa, bo do niego nie wjechałem – rzekł cicho Gaponia. – Nie było mnie u matki. Zgodzili się ze mną.

Dziewczyna odpowiedziała, że tego nie rozumie, że wyjechał do Warszawy, by zobaczyć matkę. Gaponia odpowiedział jej długim spojrzeniem. Jeżeli zacznie tyć, pomyślał, to zbrzydnie. Cała jej uroda jest w doskonałości, a nie wyjątkowości. Nie jest wyjątkowa. Jest banalnie doskonała. Przeniósł wzrok na Darka, a potem na przygarniętego przez niego psa wygrzewającego się

przy kominku po tygodniach, miesiącach, a może latach tułaczki.

– Musiałem się rozmyślić. Musiałem się w międzyczasie rozmyślić – rzekł tak cicho, że nie usłyszał siebie.

Dziewczyna i Darek popatrzyli jedno na drugie. Nie wiedzieli, jak potraktować słowa Gaponi – brać je wprost czy uznać, że dostęp do myśli tego groteskowego człowieka, który ich nie rozśmieszał tylko dlatego, że się do niego przyzwyczaili, to konstrukt z nieznanym im kodem.

– Kim jest Wadim? – zapytała dziewczyna.

Gaponia przeżywał smutne dni mimo urody świata wokół, który po tygodniu wahającej się wiosny z dnia na dzień przeszedł w kwietniowe lato z niebem nieskalanym żadną chmurką. Odpowiedział więc smutno, że kadetem, junkrem, białym oficerem. Po czym zapytał bez pretensji:

– Dobrałaś się do tego?

Dziewczyna skinęła głową. Wystawili leżaki przed pensjonat, a ciała – ku słońcu. Dziewczyna wręcz naga, lekko smagła, jakby nie zmyła do końca ze skóry ubiegłorocznego lata lub starań w solarium. Gaponia na biało, pod słomkowym kapeluszem skrywającym twarz. Dziewczyna powiedziała, że w dniu, w którym Gaponia pojechał zobaczyć się z matką, a Darek zasadził się z wędką na szczupaka, nie mogła poskromić ciekawości, więc weszła do pokoju zajmowanego jeszcze tak niedawno przez Dona i pierwsze, co ujrzała, to stos kartek wydruku komputerowego z dyspozycją na wierzchu: Uporządkować i zapamiętać.

– Więc zrobiłam to. – Dziewczyna oparła stopy o dolną krawędź leżaka, nogi zgięte w kolanach przycisnęła do piersi i skąpy kostium kąpielowy nie osłaniał już jej nagości; była teraz zbyt bezbłędna, by pociągać.

– Co znalazłaś tam jeszcze? – zapytał Gaponia, udając, że nie zauważa demonstrowanej mu urody.

– Nic, co by po nim zostało. Tylko *Blask*.

– Zaludniają go wyłącznie młode kobiety – odpowiedział nie od razu. – Nie ma tam nikogo, kto nie byłby kobietą. Młodą kobietą.

– A mężczyźni?

– Są na wojnie.

– A Wadim?

– Jest jedną z nich. Wtopił się w gromadkę kobiet, skrył w niej, a kobiety nie odróżniają go od siebie. Kiedy wracają z morskiej kąpieli na godzinę

przed południem, nie wiedzą, że on wraca z nimi.

– Powiedziałeś, że jest żołnierzem.

Gaponia potwierdził.

– Więc niby kim jest?

– Znakiem.

– Znakiem? Czego?

– O to samo zapytał mnie szef kilka dni przed swym ostatecznym zniknięciem.

– Co usłyszał?

Dołączył do nich Darek z taboretom. Ogorzały, silny, rozchełstany, jakby młodszy niż w zimie.

– Przepraszam, profesorze, ale chwilę podsłuchiwałem – rzekł, sadowiąc się na taborecie – więc zapytam: o jaką wojnę chodzi? Z Niemcami?

– Rosyjską wojnę domową, panie Darku.

– Dawną?

– Nie bardzo.

– Kto ją wygrał? – zapytała dziewczyna.

– Motłoch – odpowiedział Gaponia – i ci, którzy dali się zwieść nieszczemności. Ci, którzy wraz ze zdziwiałym ludzkim stadem postanowili ruszyć w pogoń za ułudą.

– A Wadim?

– Był po przeciwnej stronie.

– To znaczy, po której?

– U Ławra Kornilowa, a potem Denikina, a potem Wrangla, w białej armii królestwa niebieskiego złożonej z oficerów i elewów szkół wojskowych, więc niemających nic do stracenia: bitnej, wyszkolonej, pełnej brawury, zatracającej się w wojnie, przeświadczonej o swojej wyjątkowości na obrzeżach cywilizacji, lecz nielicznej wobec bezmiaru hołoty.

Darek przeciągnął się, aż chrupnęły kości. Spalił tłuszcz, jaki mu się odłożył podczas szoferowania u Czuba, i teraz prezentował się groźnie, mimo lat gotów do powrotu na arenę.

– Komunistycznej hołoty, panie profesorze?

– Jakiej tam komunistycznej – zachnął się Gaponia. – Lud, po prostu rosyjski Boży lud i każdy inny. Każdy inny, jaki pan sobie wyobrazi.

Dziewczyna pochyliła się ku Gaponi. Jej pierś nieróżniąca się odcieniem skóry od reszty ciała wysunęła się z miseczki biustonosza. Była zachętą, prowokacją, obietnicą.

– Pytałaś o odpowiedź, jaką na pytanie, czego to znak, usłyszał szef – rzekł spłoszony bezwstydem dziewczyny Gaponia.

Dziewczyna roześmiała się, nim skinęła głową, cała w przewadze młodości, zdrowia, urody, energii.

– Usłyszał, że Wadim jest znakiem życia, które się nie spełnia nigdy i w niczym. – Gaponię wręcz zabolęła bezceremonialna witalność tych dwojga kompletnie obcych mu ludzi, z którymi upływał mu nie najgorszy czas. – Bo jest wyłącznie uwodzicielskim marzeniem. Że jest znakiem życia, któremu warto się oddać, bo nie ma w nim nic prawdziwego. Że jest dobrym znakiem.

– Dobrym?

– Tak odpowiedziałem Donowi, gdy mnie o to zapytał.

Słońce zaczęło się chylić i dzień chłodniał, bo to był jednak kwiecień w stronach, które nie rozpieszcząły upałami, w stronach, które chłodowi dają pierwszeństwo przed wszystkim innym. Nocą od rzeki powiało wręcz mrozem. Pensjonat nie był już opalany i gdyby nie kominek w holu, dni byłyby tu trudne. Dziewczyna przytuliła się do Gaponi na wąskim łóżku. Odezwała się, pocierając nosem o jego ramię:

– To ciekawe, co opowiedziałeś o tej armii niebieskiej.

– Białej, jeżeli masz na myśli kolor – odrzekł Gaponia.

– Niech będzie, że białej. – Dziewczyna objęła kościste plecy Gaponi, jakby zamierzała go w sobie raz na zawsze zatrzasnąć, by już nie umknął w swoje nostalgii. – I o tym generale z dziwnym imieniem.

– Ławr – szepnął i powtórzył to imię kilka razy w duchu.

– Zapamiętałam, Fabi.

– Kornilow.

– To też. Nie ma takich wśród nas?

– Pewno nie.

– A może są, Fabi?

– Może – szepnął Gaponia. Poczłł niepokój, który zaciekawia. – O co ty mnie dopytujesz?

– O możliwość, Fabi. – Dziewczyna zacisnęła ramiona. To już nie była pieszczota ani czułość, to była przemoc. – Z wojska wygnano setki oficerów. Co się z nimi stało?

– Z oficerami? Nie wiem.

– Co się z nimi dzieje?

– Nie wiem.

– Pozabijali się, uciekli, hodują dzieci, wnuki? Pilnują jakichś sklepów? Wałkoniają się po mieszkaniach, użerają z żonami, dogorywają przed telewizorami? Piją, odwiedzają burdele? Co się z nimi dzieje?

– Nie wiem.

Dziewczyna podniosła się z pościeli. Zgięta wpół z powodu nocnego chłodu podeszła do stołu i wysypała nań zawartość torebki. Wróciła do łóżka z pudełkiem cameli. Zapaliła papierosa i podała Gaponi. Naciągnęła kusą bawełnianą koszulę, chowając pod nią nogi zgięte w kolanach. Oparła się plecami o ścianę i patrząc w półmrok, rzekła cicho:

– Ale możesz wiedzieć. Wiem, że możesz.

– Po co? – Gaponia też podniósł się na łóżku, a jego głos powędrował w górne rejestry i tam się odnalazł w dźwiękach nieprzynoszących chluby: cienki, zdradzający skłonność do afektu.

Dziewczyna odpowiedziała surowo:

– O to nie pytaj prostytutki, Fabi.

Z pytaniami, skoro o tym mowa, gorzej było niż z odpowiedziami. Mało kto je ryzykował w sytuacji terroru, który nie wiadomo skąd pochodził. Wisiał nad krajem jak smog, który go bezprzykładnie zatruwał, i podobnie jak smog nie brał się z jednego źródła. Brutalna i skuteczna swego czasu policja polityczna SIdI po utracie swego Pankreatora, choć nie zostało jej to oficjalnie zakomunikowane, nie przeszła pod niczyją władzę i osierocona rozglądała się za miejscem dla siebie, niekoniecznie w jądrze zła, lecz gdzieś nieopodal.

– Pokumają się z gangami, tylko patrzeć – oznajmił młody steward Domu Centralnego wyróżniony przez Dona za cynizm nieskalany refleksją. – Tylko patrzeć, panowie.

Armia zaryglowana w koszarach od wewnątrz, ociosana z pieniędzy do poziomu biologicznego przetrwania, pozbawiona dowództwa od batalionu wzwyż, przyzwyczaiała się do tego, że im o niej ciszej, tym dla niej bezpieczniej, i zasmakowała w tchórzliwej, defensywnej dyskrecji, która każdą inną armię wykończyłaby radykalniej niż najuciążliwsza wojna. Z policji została praktycznie drogówka, której aktywność walczyła o lepsze z niekompetencją, a ta – z najpospolitszym draństwem, czegokolwiek się tknęła. O służbach specjalnych z ich koordynatorem włącznie nikt nic nie myślał i chociaż od czasu do czasu dawały o sobie znać czymś równie spektakularnym, co bezsensownym, to nikt nie wiedział, komu to służy lub kogo rujnuje. Skurwiona do cna ekonomia, pędzona lawinowym drukiem pieniędzy pod zastaw europejskiej neurastenii, skłonnej ulegać każdemu szantażowi, jeżeli tylko był wystarczająco bezceremonialny, zapewniała elementarne przetrwanie nawet tym obywatelom, którzy byli w nierozstrzygalnym sporze z jakąkolwiek aktywnością zawodową. Odwieczna opoka narodu w czasach przełomów, między jedną narodową grandą a drugą, skruszała w tempie, jakie powinno zaniepokoić, gdyby to nie

było poza jej zasięgiem. Obywatele niereligijni od wieków, dalecy od Boga na co dzień i bliscy mu od święta w sposób, jakiego najłaskawszy Bóg nie zaakceptuje, realizujący swoje metafizyczne iluzje w pogańskich rytuałach, przysposobili kapłanów do swoich wyobrażeń o transcendencji, czyniąc z nich szamanów plemiennej sprawy tak trywialnej, płytkiej, prostackiej, że cały Kościół narodowy wraz z, pozał się Boże, hierarchami został przez podążający w przeciwnym kierunku Rzym ekskomunikowany. Jeżeli jeszcze gdzieś gdzieś duch Stwórcy zawiadamiał o swojej obecności, to w wyludniających się klasztorach będących obiektem jadowitych szyderstw, chamskich dowcipów, najordynarniejszych podejrzeń na tych wysepkach cierpienia w morzu zadowolonego z siebie rehotu.

Bo lud był nieustannie zadowolony, rzekłby ten czy ów, ale toby nie była już prawda. Choć nie podzielał uporczywego przygnębienia egzystencją, jakie nękało kontynent, to tu i tam zaczęły się odzywać zrazu nieśmiałe oznaki rozczarowania. Nieśmiałe z powodu przekonania, że kraj jest pod nadzorem mocy, która nie zna litości, że zimne oko opatrzości ani na moment nie przestaje kraju obserwować tak, że mysz się nie prześlizgnie. To powodowało, że obywatele nie ustawiali w kontrolowaniu siebie nawzajem, więc jeżeli martwą powierzchnię tej kałuży wzruszały bańki zniecierpliwienia, to siły je wynoszące musiały mieć potencjał, którego nie należy lekceważyć. Niewielu nomenów to rozumiało, jeszcze mniej umiało wyciągnąć z tego jakieś wnioski; partia – teoretyczny hegemon – była w tej sprawie niema. Nieobecność Dona stawała się coraz dotkliwsza. Mało kto kojarzył to poczucie nieprzynależności z tajemniczą absencją, ale bez dwóch zdań nie było się na kim oprzeć.

Generał był pierwszym, który pożegnał iluzję. Bez porozumienia z zarządem Domu Centralnego, było nie było sercem państwa, zaprosił do siebie Aleksandra Wielkopolskiego, byłego lidera byłego Kongresu Liberalno-Demokratycznego, tak zdeprymowanego zgodą narodu na szowinizm, że nie trzeba było już go delegalizować, bo sam się unieważnił. Ośmioletni wyrok więzienia dla jego przywódcy, na prośbę Gaponi skrócony dekretem Dona o połowę, był tylko pieczętką na tym wekslu bez politycznego



pokrycia. Do gabinetu generała w Domu Centralnym, zwanego salą tronową, wprowadzono starego przygnębionego człowieka o nieobecnym, martwym spojrzeniu, schowanego w szarym garniturze.

– Tyle lat, panie przewodniczący! – krzyknął generał, zrywając się zza gigantycznego biurka i podbiegając do swego gościa.

Lecz gość nie dał znaku życia, tyle że zatrzymał się w połowie drogi i spuścił głowę. Ręka generała zawisła w powietrzu.

– Rzadki dureń! – wrzasnął generał do telefonu. – Cały w pretensjach i z pamięcią, z którą nie da rady ruszyć w żadną ze stron. Mówię w prawo, ten milczy, w lewo, to samo. Wskazuję górę, a ten nic. Zapraszam na fotel do kawki i koniaczku, a ten, że postoi. Częstuję cygaretką, a on, że już nie pali. Mówię, że sytuacja już nie taka, jaka była, a ten patrzy w podłogę. Ma pan pojęcie, Gaponia, w żadnym kierunku z tym starym odętym durniem.

– Trochę się przesiedział, generale. – Gaponia pchnął czubkiem buta moknącą na uwięzi łódkę. – Między nami mówiąc, za nic.

– Ja za komuny siedziałem dłużej i gorzej – głos generała wznosił się i opadał – też za nic, jeżeli to pana interesuje.

– Gorzej to chyba nie, panie generale. Od naszych kryminałów nic nie jest gorsze. Przeżył swoje i ma prawo do bezsilności. Jeżeli moja opinia coś znaczy, to nie ponawiałbym próby kontaktu. To beznadziejne.

– Beznadziejne? Łatwo panu tak mówić w tym Drohiczynie czy gdzie tam... Nawiasem mówiąc, słabo pana słyszę, Gaponia, jak przez watę.

– To kwestia zasięgu. Gdybym się zbliżył do pensjonatu, toby było lepiej, ale tak się składa, że się nie zbliżam. Jestem nad rzeką.

– Gdzie?

– Nad rzeką, panie generale. Rzeka daje mi miarę rzeczy.

– Łatwo panu tak mówić, skoro jest pan nad rzeką. Ja, Gaponia, dzwonię z miejsca, które z miarą rzeczy nie ma już nic wspólnego.

– Więc nie zazdroszczę – rzekł Gaponia, ale generał mógł już tego nie usłyszeć.

Z kępy trzciny wyfrunął metaliczny, zapodziany kaczor, a brudny jak nieboskie stworzenie bocian, który nie miał szans na przetrwanie, niepokoił

żaby i myszy, przelatując z jednego brzegu rzeki na drugi. Trawy bardzo już ruszyły. Zanosilo się na deszcz i pachniało majem, który za chwile miał nastac.

I nastał, choć przyszło kilka takich dni, które podały to w wątpliwość. Lecz potem dwudniowa słońca, zjawisko niespotykane w czasie gwałtownych krótkotrwałych ulew, nadała południowemu Podlasiu barwę ciepłej zieleni. Nadbużańskie łąki w środkowym biegu rzeki, niemające konkurencji w Europie, a pewno i na świecie, jeżeli chodzi o rzewność, wystrzeliły trawami i chwastami. Po słońcach przyszły dni umiarkowane, nienarzucające się z atrakcjami, dni, jakie Gaponia lubił szczególnie poza przedwiośniem, kiedy się jeszcze zdarzało.

– Przejdźmy się – powiedziała dziewczyna, stając za plecami Gaponi zwróconego twarzą do rzeki. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Gaponia pomyślał, że wobec piękna, jakie świadczy mu okolica i pora roku, nic nie jest ważne, ze śmiercią włącznie, więc co ważnego może mu powiedzieć dziewczyna wpisana w ten pejzaż.

– Od kilku dni nic innego nie robię, tylko się przechadzam. – Uroda dziewczyny już tak go nie onieśmiałała. – Teraz mam ochotę posiedzieć. Przejdź się sama. Weź psa albo Darka.

– Darka nie ma.

– Właśnie zauważyłem.

– Pytasz o Darka, Fabi?

– Nie pytam, ale zauważyłem, że go nie ma.

– Bo go użyłam.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Gaponia i oblał się zimnym potem, ale to mu się zdarzało i w mniej niepokojących sytuacjach. Miał łatwość wyzwalania w sobie lęków, które w rzeczywistości dotykały go lżej niż ich fizyczne objawy.

– W pewnej sprawie, Fabi. – Dziewczyna usiadła w wiklinowym foteliku i też zwróciła się ku rzece. – Tam, skąd mnie zabrałeś, nie ma przyjaźni, ale mi się zdarzyła. Renata ma, jak inne dziewczyny, różnych klientów.

Z niektórymi jest bliżej niż z innymi. Rozumiesz, co mam na myśli?

Gaponia skinął głową.

– Że mówią jej o różnych sprawach, co sobie by nie powiedzieli. Też tak miałam, nie powiem.

– Do czego zmierzasz?

– Zdziwisz się, Fabi.

– Zaryzykuję.

– Do białej armii królestwa niebieskiego. Odwiedza ją gość wypieprzony z wojska. Pułkownik czy coś. Narzeka na swój los. A gdybyś mógł go zmienić, zapytała Renata, bo cwana jest, ale w dobrą stronę, a on, że jeżeli na lepszy, toby go zmienił, a ona na to, że jest okazja. Darek był u niej jako klient albo i nie klient, co mnie to w końcu obchodzi, i przekazał dobrą wiadomość.

– To znaczy jaką?

– Ten gość może się z tobą spotkać. Ma się rozumieć nie jutro ani pojutrze, ale to jest możliwe.

– Co za gość? – Gaponia mokry był jak mysz i rozedrgany. – Od czego?

– Od zadań specjalnych czy czegoś w tym rodzaju. – Im Gaponię bardziej drażyła niepewność i lęk przed wszystkim, co nie było elementarną codziennością, tym dziewczyna była spokojniejsza. – Zna świat, był tam i tu, na misjach i w ogóle. Taki pistolet. A przy tym samotny; stary kawaler. Mało ryzykuje.

Gaponia spojrzał bezradnie za siebie. Przywołał psa, pochylił się i zaczął go głaskać. Rzekł cicho:

– Chciałaś powiedzieć, że tak jak ja.

– Daj spokój, Fabi.

– Jeżeli chciałaś tak powiedzieć, to czemu nie powiedziałaś?

– Bo tak nie myślę. – Też się pochyliła i pies znalazł się w pułapce ich uczuć.

Dziewczyna objęła Gaponię i przytuliła twarz do jego pleców. Ten gest wyglądał na spontaniczny odruch – jeżeli nie miłości, to przyjaźni, choć Gaponi trudno było w to uwierzyć.

Która z moich wad tak jej się podoba, zastanawiał się. Jakie poniżenie lub

upokorzenie szykuje mi to uczucie, które zawisło między nami, i czy ból z tym związany będzie do wytrzymania? Bo w radość, jaką daje ten związek, Gaponia nie wierzył, choć były takie dni i noce, kiedy jej doświadczał.

Pies Mado dał nura w najbliższe krzaki za sroką czy czymś równie wymyślonym, a oni ruszyli w dół rzeki. Dziewczyna chciała coś powiedzieć, może ważnego, może dotychczas niewypowiedzianego, bo stała się nagle nieswoja, lecz Gaponia, zadomowiony w swoich kruchych fikcjach, umykający w nie przy byle okazji, jej tego nie ułatwił.

Bo w świecie jego wyobraźni to się nie mieściło. Pomysł, że mógłby być po ludzku szczęśliwy u boku młodej ponętnej kobiety, jak wielu innych przecież, nierozważających wyjątkowości takiego stanu, wydał mu się nedorzeczny. Przekonanie o własnej nieatrakcyjności, groteskowości wręcz, miało oczywiste uzasadnienie, ale nie przesądzało sprawy na jego niekorzyść. Znalazłby przykłady, jeśli nie w życiu, to w bliższej mu i prawdziwszej od życia literaturze, że los dopuszczał takie związki, podsuwał je i wynagradzał. Pesymizm Gaponi co do możliwości zadowolenia z życia w wersji codziennej, dosłownej, banalnej, a więc jedynie wymiernej, brał się z przekonania, że w nim go w ogóle nie ma, gdyż odgradza go bariera snu z całą neurotyczną przestrzenią, będącą nie od dziś jego miejscem. Pewnie się czuł w tej przestrzeni, co nie oznacza, że od czasu do czasu nie miał ochoty na rzeczywistość i jej nie odwiedzał. Ale tylko po to, by w momencie, jaki wskaże mu najniewinniejszy kaprys, umknąć w fikcję.

Dziewczyna z całą swoją dosłownością, jakkolwiek by się starała od niej odcumować, przykułaby go do rzeczywistości, pozbawiła okazji dania nogi gdziekolwiek poza nią. A taka perspektywa uwięzienia w życiu raz na zawsze, aż do śmierci, która być może też go nie uwolni, wydała mu się przerażająca. To że po nieskończonej przestrzeni własnej wyobraźni błąkał się od kilku miesięcy samotnie, że w tych wędrówkach nie towarzyszył mu już Don, najlepszy kompan tych wypraw, ich nie unieważniało. Co najwyżej wyzwał tęsknotę za czasami, gdy wędrówki były wspólne.

Z drugiej strony opinia, że rzeczywistość przeżywana w pensjonacie Wrzos na południowym Podlasiu, w zakolu najdzikszej europejskiej rzeki, w stronach od lat bezludnych, w asyście dziewczyny, szofera Darka i psa Mado niesie ze sobą wyłącznie rozczarowania, byłaby kłamstwem. Nawet jeżeli jego skrajnie nielojalny organizm nie odpuszczał w sprawie porannych dolegliwości, czy Gaponia budził się samotny, czy u boku dziewczyny, nawet

jeżeli ból głowy, nudności, łamanie w kościach, jakby dopadła go grypa, uczucie zimna i gorąca na przemian osłabiały, utrudniając nawet wstanie z łóżka, to piękny majowy czas miał to do siebie, że ranki przepędzał szybko, tak jak dzień, a w miarę jego upływu i niezliczonych kaw parzonych przez Darka dolegliwości przechodziły w stan bierny i przestawały tak natarczywie zawiadamiać o swoim istnieniu. Długi spacer w górę lub w dół rzeki, najczęściej z psem, który Gaponię bardzo polubił, męczył w zdrowy sposób, gdyż wracało się z niego z ochotą na rozmowę, papierosy, kolejną kawę, a nawet, czego by nigdy wcześniej nie podejrzewał, na jedzenie. Zagustował w lekkich lanczach, które dziewczyna z wielką starannością przygotowywała. Stały się rytuałem. Pilnowali we troje, by ich nie zaniedbywać. A co do domu i prawa do jego użytkowania, to chmurnego poranka, gdy Gaponię bolały biodra, czuł na przemian dreszcze i gorączkę, a fala mdłości podpływała mu do gardła, dziewczyna zawiadomiła go, że Darek jest po rozmowie z młodym aroganckim właścicielem pensjonatu i że poszła ona nadspodziewanie gładko.

– To znaczy? – zapytał Gaponia.

– To znaczy – odpowiedziała dziewczyna – że jesteśmy mile widzianymi gośćmi, czyniącymi zaszczyt temu miejscu.

– A pieniądze?

– Nie było o nich mowy.

Więc maj mijał im w spokoju, pięknie chwil, olśnieniach urodą pejzaży nienaruszonych ludzką obecnością, a *Zapiski myśliwego* Turgieniewa, które Gaponia czytał na głos wieczorami na werandzie, jeżeli było wystarczająco ciepło, lub we wnętrzu przed kominkiem, gdy wraz z nocą podchodził chłód, potwierdzały prawdę, że nic nie skończy się dobrze, lecz jeśli trwa, to nauczmy się tym cieszyć, nawet jeżeli jest tylko mgnieniem. Kilkakrotnie Gaponia zabrał się z Darkiem na nocny połów szczupaków i w ciszy, a jednocześnie bezużyteczności tego zajęcia, bo rzeka była dokumentnie wyłowiona, Gaponia znalazł przyjemność, za którą nie płaciły swym życiem ryby. Ale nic nigdy nie kończy się dobrze, jak podpowiadał im Iwan Turgieniew, więc i tym razem nie było inaczej. Jak zwykle koło południa

wrócił z długiego spaceru, a że pies wytarzał się w padlinie, Gaponia rozejrzał się za Darkiem, by ten namówił psa na kąpiel w rzece, gdyż Mado przed Darkiem czuł respekt, a Gaponię miał za kolegę.

– Gdzieś go widziałaś? – zapytał dziewczynę, która spłoszona wyszła mu naprzeciw.

Odpowiedziała, że zaraz go znajdzie i umknęła wzrokiem w bok.

– Co się stało? – Głos Gaponi powędrował w górę, jak zawsze wtedy, gdy ten spodziewał się emocji, których nie utrzyma na wodzy.

– Nic. – Dziewczyna odkręciła się na pięcie, zrobiła dwa, trzy kroki w stronę domu i przystanąła.

– Zapytałem o Darka.

– Zaraz go przyprowadzę, Fabi. Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć.

Gaponia zakołysał się jak leszczyna na wietrze. Nic nie poruszyło nawet źdźbłem trawy, bo dzień był nieruchomy i parny jak przed burzą.

– Mado wytarzał się w jakimś truchle! – krzyknął Gaponia. – Czujesz, jak cuchnie?!

– Czuję – odpowiedziała dziewczyna. – Twoja matka... Jej sąsiadka przysłała esemesa na twój telefon. Przeczytałam go. Twoja matka...

– Umarła?

Dziewczyna podeszła do Gaponi i objęła go ramionami. I tak pozostali długą chwilę, nie wypowiadając słowa, a Gaponia, zawstydzony jak nigdy wcześniej, poczuł ulgę. Bo spodziewał się czegoś, co zabolí mocniej. Wiedział, że ten rodzaj ulgi jest egoizmem w najbezwstydniejszej postaci i że za taki egoizm los, opatrność, karma go nie wynagrodzą. W czasie ostatniego spotkania z matką, o którym wiedział, że jest ostatnie, dostrzegł, że zwróciła się cała w stronę śmierci. Jej niezmienny głos, znana mu fraza, jej pełna pretensji wymówka wobec każdego obowiązku, jej niezmiennie od lat niezręczne ruchy, niedowidzące załzawione oczy, ostrożny krok, jakby poruszała się po szkle, wszystko tak znane było już nie z tego świata. Jakby przejście z jednego do drugiego było tylko zmianą pokoju. I następowało tyleż od niechcenia, co ostatecznie.

– No cóż, mamó – szepnął Gaponia, patrząc ponad głową dziewczyny na



rzeczny opar zmierzający ku nim, a dziewczyna odszepnęła, że jest z nim i z jego matką, jeżeli mu na tym zależy.

Czy zależy? Przez dwadzieścia lat z okładem budził go stukot jej niecierpliwych kroków, gdy w pośpiechu opuszczała mieszkanie, by przed ósmą zająć swe miejsce za kontuarem recepcji kliniki urody Daphne. Trzymała się tej marnie wynagradzanej pracy z gorączkowym uporem, jakby udział w przywracaniu ludziom nadziei na piękno równoważył brzydotę, z jakiej wyrywała się na kilkanaście godzin każdego dnia, nie licząc niedziel, z którymi nie wiedziała co począć. Jakby brzydota ciasnego mieszkania, zawalonego po sufit zaczytanymi na śmierć książkami opierzonymi grubo kurzem i brzydota jej nieustannie obecnego syna zobowiązywały do trwania na posterunku piękna i obsługiwania ładnych zamożnych klientów, by stali się jeszcze ładniejsi. Co Daphne mogłaby zrobić dla mnie? – zapytał kiedyś matkę, zatrzymując ją przed siódmą rano w drzwiach. – W sprawie profilu, na przykład. Odpowiedziała mu zdumieniem bez słów. Zastanowiła go wtedy jej nieczułość, teraz miał wrażenie, że nieczuły był on, stawiając matkę w tak niezręcznej sytuacji.

– Za co mnie prześladujesz, Fabi! – krzyknęła wtedy już z korytarza, a może z ulicy. – Czym zawiniłam?

– No cóż, mamó – odrzekł po latach, patrząc przez rzekę zasnutą oparami, które mimo dnia nie ustąpiły. – Niczym. Nie ma już win między nami. Jest tęsknota, więc niech nie pyta mnie nikt, czy zależy.

Co ja z tym pocznę, jeżeli to prawda, zastanawiał się Gaponia. Czy ja istotnie chcę, żeby była ze mną, czy potrafię odwzajemnić takie poświęcenie, bo co innego stać może za deklaracją dziewczyny. Gdzie ja się mam skryć przed życiem, które na starość mnie sobie upodobało. Chce mnie wynagrodzić, wyróżnić czy upokorzyć, zadrzeć, ostatecznie zniszczyć? Jaki ono ma wobec mnie plan i na co liczy w rewanżu?

Tego wieczoru zadzwonił generał, poruszony jak nigdy.

– Jeżeli stoisz, Gaponia, to usiądź! Jeżeli siedzisz, nie wstawaj! – krzyczał w słuchawkę. – Premio Mondiale, masz pojęcie, Gaponia, dostał Premio Mondiale. Taki, kurwa, grafoman. Wybacz mi, Gaponia, tę kurwę, ale czym innym się tu wesprzeć. Wiesz, co o nim mówił nieodżałowany majster, że to taki Asnyk w swoich złych dniach. Nawet Don, który miał do niego świętą cierpliwość, mawiał: Na miłość boską, Kaziu, weź się za prozę. Na wierszach się nie znam i mało mnie obchodzi, komu ta nieszczęsna spedałona Europa przyznaje swoje honory. Pies ich jebał, niech mi pan wybaczy te słowa, z ich honorami, ale wywiad w „El País” przedrukowany przez inne europejskie dzienniki, to już za dużo. Jakaś młoda ciota nieznająca realiów, gratulując naszemu grafomanowi nagrody, pyta, za co Polacy kochają Polskę, skoro inne narody Europy nienawidzą swoich ojczyzn, a laureat odpowiada, że za wolność od przyzwoitości, za prawo do przemocy. W mojej ojczyźnie każdy znajdzie swoją ofiarę, powiada nasz laureat, jak brakuje ludzi, to ofiarami stają się zwierzęta, jak tych nie ma pod ręką, to drzewa, rośliny, wszelki bezbronny byt, bo moi rodacy to kaci każdej delikatności, subtelności, odmienności, nawet umiarkowania. Rozumiesz, Gaponia, kaci! To niespotykana niegodziwość, której trzeba dać odpór. A dzwonię do pana, Gaponia, bo ma pan w niej swój udział. Jak był projekt, by do Hiszpanii wysłać kilku oficerów SIdI, gdy oni jeszcze coś potrafili, to stanął pan w obronie tego pojebańca, niech mi pan wybaczy to słowo, i wyzebrał pan

u Dona przebaczenie. A mieli z nim zrobić to, co w Berlinie z Elidem, czy jak mu tam było. W końcu załatwili tego Europejczyka, pozał się Boże, że palce lizać. Stary poeta powinien podzielić jego los, ale nie podzielił, bo go ochronił, Gaponia. Wtedy stanąłeś w poprzek, teraz to bezwarunkowo wyprostuj. Słyszysz mnie?

– Jasne, generale. – Gaponia patrzył martwo przed siebie. – Dziś w nocy umarła moja matka.

– Musi pan to wziąć na siebie i przyznać się do błędu. Zna mnie pan nie od dziś, Gaponia. Nie jestem od tego, by rzucić mięsem w nasz kraj i jego obywateli, bywa, że ich szczerze nie znoszę, bywa, że działają mi na nerwy, że mało żyła nie pęknie, ale tę złość załatwiam ze sobą samym. Nie wywlekam jej przed gawieź. Gnoje w rodzaju oprawcy Kaliguli czy Czuba, bo nie przepadł na wieki, wygarną panu naiwną łaskawość, a mnie – brak stanowczości. Zgadza się?

– Być może, generale. – Gaponia wyszedł przed dom. Czuł ucisk za mostkiem, strużki potu spływające korytkami żeber i wściekle parcie na pęcherz. – Muszę się zająć pogrzebem matki, nikt mnie w tym nie wyręczy.

– Partyjna wiara jest wściekła. – Głos tak zwykle opanowanego generała wziął kurs na prostactwo. – Tym bardziej że ten pojebaniec, wybacz mi to słowo, Gaponia, przez tyle lat był jednym z nich. Ręka w rękę z Donem. Ani się obejrzymy, jak partia zacznie rozglądać się za winnymi tej sytuacji, a w związku z tym wszelkim innym. To znany, że tak powiem, numer. Nie zaprzeczysz.

– Nie, panie generale.

– Lubię cię, Gaponia, jak nikogo. Więc mówię, jak przyjaciel: określ się, zaprotestuj, umykaj spod topora. Użyj najcięższych słów. Cięższych od tych, jakie usłyszałeś. Nie trać czasu. Słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Nie trać czasu. Wyprzedź oskarżenia.

– Tak, panie generale.

– To teraz powiedz, kto umarł.

Gaponia poczuł szczyzny ciekące po nodze. Ucisk za mostkiem stał się nie

do zniesienia. Mimo że powietrza na tym odludziu przewiewanym wiatrami było pod dostatkiem, czuł jego brak, jakby coś go od niego odgrodziło. Nigdy niesprzyjające mu ciało okazało skrajną wrogość. Odpowiedział cicho:

– Nikt, zupełnie nikt.

– To nie trać czasu. I pamiętaj, że po odejściu Dona, cokolwiek byśmy pod tym słowem rozumieli, zostałeś sam.

– Wiem.

– Więc rób swoje. Niech twój protest zabrzmie mocno i przed innymi. Na razie, Gaponia.

– Odejdź, proszę! – krzyknął, gdy z mroku wynurzyła się dziewczyna.

– Nie tylko ty straciłeś matkę – rzekła spokojnie.

– Odejdź! – wrzasnął, ukrywając mokrą nogawkę białych płóciennych spodni. – Precz!

Gaponia nie wziął sobie do serca rady, a właściwie przestrogi generała. Nie tyle z powodu zobowiązań związanych z pogrzebem matki, bo tym zajął się Darek, ile pewności, że stary poeta nie pierwszy raz ma rację, a ciężkie słowa o narodzie wyjął mu z ust. Jeżeli generał bezbłędnie zacytował fragment wywiadu z „El País”, to w rzece krytyki, dezaprobaty, zdumienia, niezgody, jaka rwała przez Europę, gdy padało słowo „Polska”, opinia starego poety trafiała w sedno. Powszechna przemoc wobec słabości, delikatności, odmienności, bezbronności była rdzeniem tego zła, jakie w tym pięknym pobłogosławionym przez Boga kraju się rozpanoszyło. To że żaden obywatel nie pozostanie bez swojej ofiary, że jeżeli jej nie znajdzie, państwo mu ją zagwarantuje z definicji, by nie czuł się w tym względzie opuszczony, było uświęconą prawdą, na której zbudowano tę Arkę Przymierza między obecnymi a przyszłymi czasy. Gwałtowny nieprzebierający w słowach protest, udokumentowany wiedzą, jaka brała się ze sprawowanej władzy, więc i znajomości jej tajemnic, którymi Gaponia miał ośmieszyć wrogów ojczyzny, nie byłby od rzeczy, gdyż po odejściu Dona wątpliwość co do lojalności Gaponi wobec reżimu mogła z dnia na dzień przejść w pewność jego zdrady, a ta – zaryglować go na lata w jednym ze sławnych na cały kontynent nieludzkich kryminalów. Poza tym generał dzwonił też we własnej sprawie. Jego nieustanne sugestie, by ku szczytowi wędrować najłagodniejszymi ścieżkami, mogły w każdej chwili zamienić się w dowód braku rewolucyjnego zapału w obliczu celu, którego poza Donem nikt nie znał.

Pierwsza parna środa czerwca przywołała ulewy tak gwałtowne, że wąskie dróżki między grobami gigantycznej ogołoconej z drzew nekropolii, w której cesarzem było wypolerowane na glanc lastriko, a mogiły licytowały się na tandetną wystawność, zamieniły się w błotne korytka, więżąc buty w tłustej mazi, i ośmioosobowy orszak żałobny sunął przez bezkres niewyobrażalnej

brzydoty noga za nogą. Kwaterna, którą administracja cmentarza wyznaczyła, nie kojarząc Gaponi z jakąkolwiek, nawet teoretyczną władzą, znajdowała się dwa kilometry od domu pogrzebowego, więc skromny kondukt posuwał się za trumną ustawioną na wózku złożonym z dwóch rowerów już od kwadransa, a nie był jeszcze w połowie drogi. Dziewczyna z jaskrawoczerwonym parasolem nad głową poprzedzała Gaponię, który raz pod parasolem się mieścił, a raz nie, w zależności od przeszkód na zabłoconej ścieżce. Kondukt zamykał Darek objuczony trzema wieńcami, bo na rowerowym wózku nie było już na nie miejsca. Miał przed sobą dwie starsze panie ze stygmatem wdowieństwa i młode, rozbawione geografią cmentarza małżeństwo z sąsiedztwa.

W głowie Gaponi zaległa się myśl, że mimo lat spędzonych ze sobą, a ściślej obok siebie, nie zdążył matki poznać, jakby go odumarła w dzieciństwie lub wręcz w czasie porodu, że przez całe swoje życie matki się co najwyżej domyślał, że być może była inna, niż przypuszczał. Pytanie w związku z tym brzmiało: jeżeli inna, to na ile? Czy nie chował w istocie obcego sobie człowieka, jak on obcym był synem. Nie tym, który sprawił jej zawód fotograficznym wręcz podobieństwem do niej, lecz tym, którego rozpoznała nie bez rozczarowania. A witalność, wdzięk, seksapil ojca przecież ich od siebie oddalał.

„Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista...”. Straszna, chuligańska, podmiejska fraza dobyła się z potężnej piersi niemłodego już skina, którego czarna suknia nie czyniła mniej jednoznacznym. Zjawił się niespodziewanie wraz z kilkunastoletnim ministrantem, zaparkował swoje audi kilkadziesiąt metrów od miejsca pochówku. Półgodzinna droga, jaką odbyli, klucząc między mogiłami, robiła wrażenie pokuty za grzechy jeszcze nieskatalogowane. Gaponia, przypatrując się zwalistej sylwetce kapłana i słuchając jego chamskiej intonacji, pomyślał, że zamiar Dona, by z funkcjonariuszy Kościoła narodowego stworzyć legion Maryi, a tych, którzy by niekorzystnie o nim świadczyli, zesłać do klasztorów, w osobie tego księdza ziścił się modelowo, gdyż zuch był z niego nad zuchy. Z tym wygolonym do gołej skóry,

opuchniętym łbem osadzonym bez pośrednictwa szyi na kwadratowym korpusie, z wypukłym jak u rzymskich rzeźb torsem prezentował się jeszcze lepiej niż nowo powołany przewodniczący Konferencji Episkopatu i jednocześnie kapelan myśliwych, któremu dzielności też nie brakowało.

– Modlitwę za naród zmówmy – rzekł ksiądz, omiatając pogardliwym spojrzeniem żałobników. – „Synem mej ziemi jestem, co w niewoli – jęczała długo kajdanami skuta”. – Czarna suknia jakby z kapłana opadła i został narodowy konkret w postaci cetnara, lekko licząc, skóry, kości i mięśni niezbrukanych żadną wątpliwością. – „Wieniec cierniowy skronie jej okroił – Dziś jako posąg swych przeznaczeń dłuta – Mógłby przystanąć w blaskach aureoli”.

– W blaskach aureoli – szepnął Gaponia i całą powrotną drogę jak mantrę powtarzał słowa starego poety z tomu *Introdukcja*.

– Nie słyszę cię – rzekła dziewczyna, odwracając się z przedniego fotela forda mondeo, który już nie miał się dobrze.

– Nie musisz – odpowiedział Gaponia.

Mijali Małkinię ogołoconą do cna z drzew, które jeszcze niedawno skrywały koszmarną brzydotę dzieła ludzkiego w tej rozwleczonej miejscowości, przywoływanej we wszelkich komunikatach o stanie wód. Na drodze do Nura Darek przyspieszył na tyle, na ile pozwalała nieremontowana od lat, kiedyś niezła szosa. Deszcz ustawał wraz z przemieszczaniem się ku wschodowi. Nad rzeką można było spodziewać się słońca, bo z każdym kilometrem jaśniało. Na miejscu dziewczyna rzekła, że matki odchodzą i trzeba się z tym godzić. Też mi odkrycie, odpowiedział w duchu Gaponia. Pies przywitał go czule, jakby do przywiązania dołożył kondolencje.

– Ja nie miałam matki. – Dziewczyna spojrzała na dom jak na przystań. – To gorsze niż ją mieć i stracić.

– Lub lepsze – mruknął Gaponia.

– Nie uważam. – Dziewczyna wzięła Gaponię pod ramię. – Życie to wędrówka, jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Jestem przy nadziei.

– Tak? A na co? – Gaponia nie dał się ruszyć z miejsca.

– Na dziecko. Jestem w ciąży.

– Z Darkiem?

– Nie obrażaj mnie, Fabi.

– Niech zgadnę.

– Nie obrażaj mnie. Kiedy mam ci to powiedzieć i jak?

Gaponię wmurowało w ziemię, a pejzaż przesunął się jak dekoracja w teatrze. Gdzie stał dom, pojawiła się łąka. Drzewa powędrowały na drugi brzeg rzeki, a sama rzeka wykręciła się w odwrotną stronę i zaczęła płynąć pod prąd. Ford mondeo ustawił się pyskiem do schodów, które prowadziły wyłącznie w dół. Niedaleka szosa, z której skręcało się do pensjonatu, znalazła się za szpalerem bujnych zarośli, co nigdy jej nie odgradzały, gdyż pleniły się za nią. Przewrotność widoku, zastanawiająca, urągająca zasadom obowiązującym w zakolu najdzikszej europejskiej rzeki, przestawiła Gaponi w głowie jakąś kliszę, która postanowiła wyświetlać się na przekór. Kiedy po upływie miesiący wrócił myślami do tej najgłupszej chwili swego życia, to doszedł do wniosku, że po słowach dziewczyny – Kiedy mam ci to powiedzieć i jak – stracił na chwilę przytomność, a może nawet umarł, a gdy zmartwychwstał, stał się o tyle inny, o ile wszystko wokół stało się inne, a się stało. Nawet pies Mado obdarzający go przywiązaniem, tą wzruszającą psią lojalnością, był innym stworzeniem niż przed chwilą.

– Nie wiem – rzekł do siebie Gaponia – może po prostu.

– Co po prostu? – zapytała dziewczyna.

– Może powinnaś powiedzieć mi to po prostu.

– A nie mówię, Fabi? Nie mówię?



Kłopot polegał na tym, że niekoniecznie. Straszna, biorąc sprawy na zimno, wiadomość, że zostanie ojcem, miksowała się w biednej głowie Gaponi z podejrzeniem, że nie zostanie, tylko zwariował. I że dziewczyna wcale go o tym nie powiadomiła, i że jest to jego reakcja na śmierć matki i na to, że został na świecie sam jak palec – najsamotniejszy ze wszystkich znanych mu samotników. Przez kilkanaście następnych dni dziewczyna nie wracała do tematu dziecka, jakby powiadomiła Gaponię o czymś, co nie zostało przesądzone. Coraz bardziej obyta, wielowymiarowa, z natury chłonna, nie przestała być przecież prymitywną kurwą, prymitywną, znającą swoją robotę kurwą, a czym taka kurwa może pocieszyć w dniu pogrzebu matki takiego nieszczęśnika jak Gaponia, jej, pożał się Boże, narzeczony, jak nie informacją, że wprowadzie ktoś go opuścił, ale ktoś nowy się zjawi. Ile w końcu ją kosztował ten samarytański gest? Bo jeżeli była to prawda, to czemu ujawniona w dniu pogrzebu matki, a nie tydzień, na przykład, wcześniej lub później. Jaka kobieca biologia miałaby stanąć temu na przeszkodzie?

Przed wieczorem Darek wrócił z wieścią, że Czub się odnalazł, pewniejszy swego niż wtedy, gdy przepadł w gimnazjone podstołecznej Areny, gdzie gladiatorzy udzielili mu gościny i, jak należy przypuszczać, wsparli jego polityczne ambicje.

– Nie po to się objawił, by znaczyć mniej niż wtedy, gdy się skrył, tylko by znaczyć więcej, powiedzieli mi moi dawni kumple z parku maszyn przy rządzie – rzekł Darek z ponurą satysfakcją – i podzielam ich pogląd.

– Co to oznacza? – zapytał Gaponia, choć się domyślał.

– Zależy dla kogo – odpowiedział Darek. – Jak znam Czuba, a znam go jak siebie, grzeje go jakiś pomysł. Ostro trenował z zawodnikami i jest gotów wyjść na ring.

– Czy on kiedykolwiek walczył?

– Prawdę mówiąc, nie walczył, ale wiem, że kiedyś spróbuje. Zawsze był blisko tego interesu, ale nigdy w środku. Chłopaki mogli mu powiedzieć: W porządku, Czub, będziemy z tobą, jak ty będziesz z nami, bo dotychczas nie byłeś.

– A gangi?

– Co gangi? Dogadają się. A pan myśli, profesorze, że Arena to zakon karmelitów bosych? Zawsze w tym byli. Kto miałby być, jak nie oni. Na pana miejscu, profesorze...

– Wystarczy – rzekł szorstko Gaponia, czym sam siebie zaskoczył.

Respekt, jaki odczuwał przed zwierzęcą siłą i witalnością Darka, nie ustąpił. Nie wierzył w przyjaźń Darka, tak jak nie wierzył w uczucie dziewczyny, ale też nie przypuszczał, że da im to kiedykolwiek do zrozumienia. A teraz uwierzył. Był na to gotów. Dlatego że zostanie ojcem? Wolne żarty. Lecz na fali tej zmiany po raz pierwszy odważył się sam z siebie zadzwonić do generała i wprawdzie ponura jak grudniowa noc sekretarka, zwana ordynansem, go nie połączyła, wymawiając się mało wiarygodnym pretekstem, ale Gaponia przekazał jej pytanie wymagające konkretnej odpowiedzi. Późnym wieczorem, po Manhattanie Woody’ego Allena, Gaponia zabrał dziewczynę do siebie i po miłosnym wysiłku, który po raz pierwszy był wyłącznie przyjemnością niezbrukaną niepokojem o seksualną dyspozycję, zapytał, czy jej przyjaciółka z Domu Miłości nadal utrzymuje, że zna oficera wyszczonego z armii, który nie może się z tym pogodzić.

– Renata? Nic się nie zmieniło. A co?

– Może bym się z nim spotkał. – Gaponia obciągnął koszulę na swej chudej siwiejącej piersi. – A może nie. Ale chciałbym wiedzieć, czy on jest na to gotowy.

– Musiałabym porozmawiać z Renatą, a to nie jest na telefon. Sam rozumiesz.

– Jasne.

– Darek by mnie tam podwiózł, co?

Gaponia obrócił się w stronę okna. Noc jaśniała, jak to bywa w czerwcu,

gdy dzień bierze rewanż za listopady, grudnie, stycznie, a mroki są nieśmiałe. Dąb i dwie wyrosnięte brzozy odcinały się na tle nieba, które jeszcze nie szarzało. Minęła druga i zapowiadał się ładny dzień. Odezwały się pierwsze ptaki.

– Więc niech cię podwiezie – rzekł cicho Gaponia.

- Ilu?
- Kilka tysięcy na początku.
- A potem?
- Nie przekroczyli dwudziestu.
- Przeciwno?
- Ludzkiej otchłani liczonej w setkach tysięcy, na końcu w milionach.
- Więc nic dziwnego, że przerznęli.

Pułkownik zatrzymał wysłużonego SUV-a na poboczu, między pniami ściętych lata temu drzew, które zarosły mchem i pędami powoju. Z lewej strony przesuwiał się nieprzerwany sznur samochodowego złomu, zderzak w zderzak, zwieziony z całej Europy, klekocząc swymi dolegliwościami, bo każde auto było na coś chore, nie licząc tych, które chore były na wszystko. Od kiedy zrezygnowano z prawa jazdy na rzecz oświadczenia o odpowiedzialności za skutki swych nieumiejętności, naród wyjechał na nieremontowane od kilku lat drogi i dokumentnie je zablokował. Często miało się wrażenie przewagi aut nad ludźmi, co by oznaczało, że jeden obywatel prowadził dwa, a nawet trzy rzęchy naraz. Gaponia, przyzwyczajony do ciszy południowego Podlasia, przypatrywał się zdumiony wylotówce nad morze w przeddzień długiego weekendu.

- Przyszłość może być koszmarem – szepnął.
  - Matką wielu demonów – dopowiedział pułkownik.
  - Dlatego trzeba zrobić wszystko, by temu zapobiec. – Gaponia otarł nos z potu, który natychmiast wystąpił znowu. – Nie przerznęli dlatego, że było ich tak niewiele, tak absurdalnie niewiele, lecz dlatego, że szli do boju z bagnetami na sztorc i całą swoją wojenną maestrią, lecz bez sztandarów, a hołota je miała. Rozumie pan, pułkowniku, co chcę powiedzieć?
  - Staram się. – Pułkownik uśmiechał się łobuzersko.
- Dziewczyna miała rację, to był pistolet stworzony do akcji, w wieku, który

jeszcze nie detronizuje. Gaponia rzekł z żarem, który zdziwił jego samego:

– Był taki czas w końcu osiemnastego, gdy biali znaleźli się trzysta kilometrów od Moskwy, to znaczy na jej przedpolu, a czerwoni uznali, że wojna, jaką prowadzą w imieniu ludu, jest przegrana, że swoje cele będą musieli osiągnąć na innej drodze. Wtedy demony, o których pan wspomniał, pułkowniku, wzięły ich stronę i wydały białych na pastwę swoich fantasmagorii, a zdarzyło się to pod Tułą. Wam to się nie zdarzy, bo demony będą przy was, a Tuły w tym kraju nie ma.

– Junta? – Pułkownik wyłączył silnik i w środku przestało miotać jego spazmami.

Gaponia skinął głową.

– Bez broni, materiałów, pieniędzy, ludzi? Bez wojska?

– Z elitą wojska – odrzekł Gaponia, jakby miał o tym jakieś pojęcie. – I celem.

– Jakim?

– Porządkiem, jaki niektórzy nazywają demokracją, a inni po prostu prawem. To jest wasz cel i wasz interes. Niech pan nie zaprzecza.

– W takim razie nie liczymy na demony, panie...

– Grabowski.

– Niech będzie. Nie uzgadniając tego z kolegami, przełożonymi i podkomendnymi, mogę panu powiedzieć, że junta odpada. Moglibyśmy coś przedsięwziąć tylko w oparciu o istniejące instytucje.

– Instytucje zostały rozjechane. Do asfaltu.

– Przez kogo?

– A co to ma za znaczenie, pułkowniku. Zróbcie porządek w kraju, to przyjdzie czas na zastanawianie się przez kogo.

Pułkownik wysiadł z SUV-a, stanął nad rowem i się odlał. Z kilku aut mu kibicowano. Nad dwupasmówką snuł się smród chrzczonej benzyny, wykańczającej gaźniki w samochodach z ubiegłego tysiąclecia, i oleju rujnującego pompy wtryskowe.

– To była ciekawa rozmowa o historii Rosji, panie, niech będzie, że Grabowski. O niczym więcej. A tak między nami, słyszał pan o gangach?

– A wcześniej falandze – dodał Gaponia.

– Słyszał pan. – Pułkownik spochmurniał. – W co więc próbuje mnie pan, do diabła, ubrać?

– Ziarna, jak widzicie, nie posiałem. – Gaponia od kwadransa tkwił smętnie wsparty dłońmi o poręcz tarasu, z twarzą zwróconą ku rzece.

– Skąd wiesz, że nie posiałeś? – zapytała dziewczyna.

– Bo pułkownik, znakomity gość, przyznaję, nie chciał wiedzieć tego, co ja bym chciał wiedzieć, gdybym był w jego sytuacji. Na czym polega mój interes? Gdzie korzyść w porządku, na jaki go namawiam?

– Nie powiem, żebym nie był tego ciekaw, profesorze – odezwał się Darek. – Na miejscu pułkownika.

Gaponia przeniósł wzrok z rzeki na dom, z domu na drzewa, z drzew Bóg wie gdzie. Rzekł cicho:

– A on nie był.

Wieczorem, gdy zostali sam na sam, dziewczyna zapytała, czy rzeczywiście stracił czas, spotykając się z pułkownikiem. Gaponia odpowiedział, że czas to najmniejsza ofiara, że za oficerami nic nie stoi poza frustracją i respektem wobec falangi, która w gangi przeszła, bo na oficerach wrażenie robi tylko siła, którą da się zmierzyć.

– I mają, niestety, rację – ożywił się Gaponia – bo jedyna realna siła to młodzi bandyci ze stadionów, aren, gimnazjonów i ulic. Nie ma innej zdolnej się z nimi zmierzyć. Czuję się rozczarowany.

– Jestem z tobą, Fabi – rzekła dziewczyna i trzeba było kamiennego serca, by w tej deklaracji nie znaleźć dla siebie nadziei.

Gaponia jednak jej nie znalazł, bo powtórzył:

– Czuję się rozczarowany i złamany bólem.

Nie było w tym przesady, z której tak często korzystamy, gdy dajemy się ponieść chwilowym emocjom. Gaponię skuwał lęk przed plemienną hordą, w jaką zmienił się naród, z którym nigdy nie miał związków, podobnie jak z resztą ludzkiego gatunku, gdziekolwiek by się on wyroił. To łączyło go z Donem. Lecz Don, przy całej niechęci do bliźnich, dysponował tym rodzajem pogardy, którą poddani odbierali jako moc czasami nadludzką lub jej pozór. Bo pozór w tej grze wystarczał. I część tej mocy, realnej albo skrytej w pozorze, spływała na Gaponię, który sam z siebie był zestawem najwymyślniejszych obaw, cały z nich upleciony. Obywatele skłonni byli tolerować byty delikatne, wrażliwe, nieprzystosowane, odmienne tylko wtedy, gdy stała za nimi moc – prawdziwa lub umowna. Tylko wtedy, gdy subtelność służyła sile choćby dla rozrywki. Tak było z Donem, podejrzewał naród, i z Gaponią. Osamotniony Gaponia był mniej niż nikim. A to desygnowało go do roli wymarzonej wręcz ofiary. Dlatego uważał, że każda zmiana, nawet na gorsze, leży w jego interesie, że najniebezpieczniejsze, co go może spotkać, to utrwalenie się tego, co jest. Był człowiekiem zbyt wewnętrznym, duchowym, zamkniętym, by przez sekundę choćby pomyśleć o innych, nawet o własnym dziecku, które dziewczyna być może nosiła pod sercem. Był jak ci nieprzebrani święci Kościoła powszechnego, niezauważający świata wokół. Gaponia zauważał go tylko w takim stopniu, w jakim świat trzymał wartość przy jego odmienności i z nią współpracował. Jak nieopisane piękno nadrzecznych pejzaży w każdej porze letnich dni.

Dlatego gdy lipiec przyniósł suszę i wściekłe afrykańskie upały, którym nie oparła się nawet zieleń południowego Podlasia, Gaponia począł cierpieć wraz z nią, a nie ze współplemieńcami, których lokaut pozbawił prądu. Państwo administrowane przez Dom Centralny, któremu Don oddał władzę, gdy przestała go bawić, ograniczając się do przywództwa, podzielone na sześć prowincji zarządzanych przez wyznaczonych dekretem namiestników,

w konfrontacji z ekstremalnym skwarem, do którego lata ubiegłe przyzwyczajały, nie wyszło na swoje. Sieci przesyłowe, pamiętające połowę ubiegłego stulecia, nie dotrzymały zobowiązań wobec chłodni, dystrybutorów paliw, taśmociągów, wind, klimatyzatorów, rozpanoszonych do absurdu supermarketów, milionów domowych lodówek, komputerów, telewizorów i zawiesiły się radykalniej niż w latach ubiegłych. Polska, na którą kontynent machnął już ręką, uważając ją za przypadek beznadziejny, była teraz we wszystkich serwisach informacyjnych przedstawiana jako przykład kruchości cywilizacji technicznej i przewagi natury, gdy tylko ta zrezygnuje ze swego miłosierdzia. W Polsce najwyraźniej zrezygnowała. Dlatego ton wiadomości z kraju, najgorętszego od wielu dni miejsca na kontynencie, zdominowało współczucie, a nie reprimendy lub szok. Ale z pomocą nikt nie spieszył i kraj wydany został na pastwę klimatycznego szaleństwa. Temperatury sięgały czterdziestu kilku stopni w cieniu, a noce po raz pierwszy nie przynosiły ulgi, bo poza mrokiem nic ich nie odróżniało od dni. Pociągi stanęły na torach, windy w budynkach, stacje benzynowe w miastach i poza nimi, szpitale ze swymi bezużytecznymi agregatami, z lodówek powyciekały zapasy, a piwo – od dwóch dekad narodowy napój obywateli – wybuchało w butelkach i rozsadzało puszki. I o ile dramat chorych w unieruchomionych szpitalach działał się za murami, o tyle temperatura piwa, a potem jego brak, zostały odebrane jako wojna wydana tradycji. Przemoc, jakiej nie brakowało w czasach, kiedy państwu żadna klimatyczna fanaberia nie śmiała podskoczyć, będąca obok innych cnót kamieniem węgielnym dobrej zmiany, stała się bezwładna, nieprzewidywalna, szalona i zaczęła kasać również tych, którzy mieli ją stosować. Ogołoczone z drzew, wybetonowane miasta i niewybetonowane, lecz równie ogołoczone wsie, rozgrzały się w gorączce. Krwawe awantury wybuchały z byle powodu, najczęściej z reglamentowanego dostępu do czystej wody i do cienia, którego nie miało co rzucać. Brak elektryczności odbił się również na tych urządzeniach, o których myślano, że zasila je jakieś kosmiczne tchnienie, a nie linie wysokiego napięcia, a dotyczyło to między innymi telefonów komórkowych we wszystkich wersjach, z tymi najbardziej



wynaturzonymi włącznie. Z dnia na dzień traciły moc i zasięg, a ich posiadacze – dusze. Toteż wiadomości przekazywano sobie, jak w zamierzchłych czasach, z ust do ust. A takie informacje, w przeciwieństwie do dystrybuowanych przez państwo, nie znały umiaru, lecz prawdę i nieprawdę waliły prosto z mostu. Jedne i drugie nie podnosiły na duchu. Toteż naród, niedawno tak jeszcze zadowolony, jak żaden inny na kontynencie, dumny z siebie i ojczyzny skrojonej na miarę, zaczął popadać w depresję, której istotą nie był smutek, lecz bezsilna złość. Nie omijała ona Boga. Powszechnie odprawiane nabożeństwa w intencji deszczu i chłodu nie cieszyły się wzięciem, a jeśli już, to tylko w tych świątyniach, do których skwar się jeszcze nie dobrał, które w jakimś stopniu chroniły przed żarem grubymi murami, wysokim sklepieniem, półmrokiem.

Klimatyczna opresja, którą zapowiadano każdego lata, lecz na zapowiedziach się kończyło, nie zdemolowała życia w pensjonacie Wrzos w zakolu dzikiej rzeki, bo poza spopieleniem zieleni nic tego życia nie mogło śmiertelnie ugodzić. Uprzejmy, po rozmowie z Darkiem wręcz narzucający się ze swymi usługami młody właściciel dostarczył dwie lampy z zapasem nafty i bezcenną w tych warunkach butlę epigazu, a pootwierane przez całą dobę na przestrzał drzwi i okna dawały wrażenie przewiewu w nieruchome dni. Rzeka była ciepła, lecz wciąż jeszcze chłodniejsza od powietrza, więc przebywanie w niej przynosiło ulgę. Najbardziej cierpiały psy, bo do Mada dołączył dożywający swych dni jamnik Stopek.

Gaponia z nagą dziewczyną siedzieli właśnie w rzece, gdy przybyły z Drohiczyzna na rowerze Darek, który z workiem mąki i bańką oleju przywiózł wiadomość, że kilka osób w miejscowej przychodni leczonych jest na idiotyczną dolegliwość, objawiającą się gwałtownym powiększaniem się, połączonym z torsjami i biegunką.

- Przecież powinno być odwrotnie! – zawołał.
- To znaczy? – zapytał Gaponia, rozgarniając ramionami wodę.
- Powinni gwałtownie chudnąć. Odwodnienie i te sprawy, nie?
- Czym tu się przejmować, panie Darku. Wszystkich wchłonie nicość.
- Ich nie wchłonie, za grubi. Nie ma takiej nicości, co by ich wchłoneła. Co

będzie, jak przestaną rzygać i się wypróżniać?

– Schudną.

– Przecież to jakiś idiotyzm.

– Nie zaprzeczam – odpowiedział Gaponia, nie kryjąc satysfakcji.

– To absurd! – wrzasnął komendant Domu Centralnego, zwany generałem, niepomny swej dystynkcji. – Ta choroba to absurd.

– Nawet nie wiemy, czy to choroba, panie generale. Lekarze się nie wypowiadają. – Szef pierwszej dykasterii lub czegoś w tym rodzaju, nikt już dokładnie nie wiedział, kim jest lub, ściślej, kim nie jest, przespacerował się po gabinecie, jakby był u siebie. – Kilkuset ekscentrykom, którzy mierzą się z tą fanaberią, podawane są środki przeciwwymiotne i na zgagę, by nie mieli wrażeń, że pozostawiono ich samym sobie. Ale, naturalnie, pozostawiono. Monitorowalibyśmy to zjawisko, gdybyśmy mieli taką możliwość.

W ogromnym gabinecie generała, zwanym salą tronową, cuchnęło trupem. Kraj, jak długi i szeroki, spowijały najróżniejsze wonie, z trupim odorem włącznie, lecz nie na czele. Smród, dokuczliwy z natury, był po stronie życia, zawiadamiał o procesach, które się reprodukowały. Woń publicznych latryn, bardzo umownych, gdyby wejść w szczegóły techniczne, stawianych pośpiesznie, przywoływała na myśl istnienie w swej najpierwszej postaci, więc jakkolwiek by się od tego odżegnywać, życie. Tu i tam jednak, zrazu ostrożnie, incydentalnie, zaczęło się to obracać w stronę nieżycia, z zapachem rozkładu jako jego sygnaturą. Ludzie umierali często na byle co, mało kto się temu dziwił nawet w przypadku śmierci niespodziewanych i nieusprawiedliwionych, to od tygodnia, może kilkunastu dni, każda, nawet spodziewana śmierć stawała się godnym pożałowania ekscesem. Podobnie jak smród, który jej towarzyszył.

A w okolicy pensjonatu Wrzos w zakolu rzeki pachniało nieustannie rezedą, maciejką i rozchodnikiem.

– To robota rozzuchwalonego gronkowca złocistego! – wrzasnął młody steward, którego konstytucja podpowiadała, że może być jednym z tych, których przypadłość ominie. – Po co szukać tu znaczeń, jakich nie ma. Lekarze to dupki. Każdy pretekst jest dobry, by nie zanurzyć rąk w tym, nomen omen, gównie.

Opinia, że lekarze to dupki, miała się w kraju na tyle dobrze, na ile medycyna, z roku na rok bezsilniejsza wobec kondycji ludzkiej, odżegnywała się od walki z chorobą w tak oczywisty sposób zaprzeczającą jej aksjomatom. Pierwsze ofiary zarazy po kilkunastu dniach nieustającej dezynтерии asystującej torsjom, przybierając na wadze ponad wytrzymałość własnej konstrukcji, eksplodowały z hukiem, rozbryzgując na wszystkie strony błotniste wnętrzności. Nikczemność tego finału, jego błazenada połączona z neurojonym niebezpieczeństwem dla postronnych, a byli nimi wszyscy poza umierającym, wykluczała nie tylko obecność przy odchodzących, lecz nawet to, co ze zgonem związane jest nierozzerwalnie, czyli współczucie. Odraza go nie budziła. Upokorzenie naznaczające chorych, jak i tych, dla których ten zestaw atrakcji był tylko możliwością, łączyło ich przez absolutne rozłączenie. Oddalało ku bezwstydnej samotności. Co go tak napompuwało? Godność? – pytał ten czy ów, przyglądając się zbezczeszczonym niepojętą błazenadą zwłokom, a często tylko ich fragmentom, osób bliskich, najbliższych lub nieznanym, co nie znaczy obcych. Brak odpowiedzi na to pytanie wyłączał żal za odeszłymi, zdetronizowany przez zakłopotanie, zdumienie, obrzydzenie, a to tylko wyolbrzymiało poczucie winy. Śmierć, tak ostentacyjnie domagająca się publiczności, tak gotowa uświetnić każdą przewidzianą albo nieprzewidzianą uroczystość czarnym fajerwerkiem, przestawała mieć związek z powłokami, jakie sobie upatrzyła, lecz siła ludzkich przyzwyczajzeń łączyła je z ofiarami w jedno. A co do ofiar, to poza dziećmi lub starcami,

wobec których brak współczucia towarzyszył wstydomi, były też takie, których cierpienia i idiotyczny koniec przyjmowano z satysfakcją, jak z satysfakcją przyjmuje się potknięcia osobników, co z definicji się nie potykają. Chodzi o młodych i stosunkowo młodych mężczyzn, których solidaryzował patriotyzm w najtwardszej wersji, to znaczy szukający sobie nieustannie przeciwników, i zaprawa fizyczna mająca upodobnić ich sylwetki do odwróconego trójkąta równoramiennego lub kwadratu. W jednym i drugim wiodło się im lepiej, niż oczekiwaliby bliźni, więc to, że zaraza buszowała wśród nich, skłonnych do zgromadzeń pod byle pretekstem, chętnych do zbijania się w oddział, rotę, centurię, dosadniej niż wśród tych, którzy się nie gromadzili, budziło zadowolenie wielu. Toteż eksplodowali częściej niż pozostali i efektowniej, zważywszy na ich konstytucję.

Tracę ludzi – skarżył się centurion, gdyż część wspomnianej młodzieży zasilala gangi. Bez dwóch zdań, jeżeli w wyniku zarazy kogoś ubywało bardziej niż innych, to falangi.

To żart jakiś? – pytał ten czy tamten w bezsilnej złości, niemym zdumieniu, a tamten lub ten mu odpowiadał: – Jest, jak zauważyłeś, bracie, tylko czyj?

Bo że żart, uważano coraz powszechniej, licząc na to, że znudzi się sobą i ustąpi. Pogląd, że to robota gronkowca złocistego w wyjątkowo wrednej postaci w aliansie z nieznanymi tej części świata upałami, ich uporczywym trwaniem w rozbrojonym kraju, miał swoich zwolenników, szczególnie wśród tych, których zaraza jeszcze nie dotknęła. Bo to, że choroba nie miała w planie ozdrowienia, że ci, którzy na nią zapadli, pokonywali drogę w jedną tylko stronę, oddzielał tych z życia i tych w objęciach śmierci murem milczenia. Bo nawet najwięksi durnie nie rozglądali się za słowami pociechy.

– Wiecie, co rozpowiadają w stolicy? – Darek na pełnym treningu rowerowym, przy współpracy osiemnastu przełożeń przerzutki Shimano, pokonywał trasę pensjonat–miasto w ciągu dnia, od świtu do nocy. – Że doktorzy to kutasy i że ta franca to ich robota.

– Są tak samo bezsilni jak reszta, szczególnie po utracie antybiotyków –

rzekł Gaponia. – A że kutasy, to inna sprawa.

– Pytanie, czy bezsilni, profesorze. Żaden nie zachorował, jakby się zabezpieczyli; oni i ich rodziny. Ludzie głupi nie są, zauważyli tę znowę. Będzie dintojra, jak ta franca minie. Pozapadali się pod ziemię. Są nieobecni. Nie ma ich przy tej cholercze. Naród przywozi chorych do szpitali, a tam pustki, poza siostrami i braćmi w zarazie, i smrodem, ma się rozumieć, bo naród wybucha jak petardy. Więc mówię: nie ma takiej ziemi, spod której się ich nie wydostanie. To będzie...

– Polowanie na czarownice, panie Darku. Nic dobrego.

– Co tu gadać o dobrym... – Darek się zachnął i gwizdnął na psa. Po chwili zniknęli w krzakach.

Nocą, która nie dawała ulgi, odwrotnie, przysparzała cierpień z powodu wilgoci napływającej z rzeki grzejącej się w ciepłe powietrze i z powodu komarów, które pozbyły się resztki litości dla swych ofiar, i z powodu śmiertelnej ciszy wśród drzew, traw, chwastów, ptaków, nawet cykad, a więc nocą niezapowiadającą zmiany na lepsze, dziewczyna zapytała Gaponię, czy to jest ta choroba, na którą odszedł Don. Nie mogła się umościć na leżaku, który przestał być meblem dziennym.

– Bo odszedł, prawda, Fabi?

– Też o tym myślałem – odrzekł Gaponia z leżaka obok. – Finał tej tajemniczej dolegliwości nie przypominał tego, co spotyka nieszczęśników obecnie, ale jej istota jest taka sama.

– Taka sama?

– Don zaniemógł, nim choroba zdążyła tak upiornie zordynarnieć. Jakby dopiero szukała sposobu na swe ofiary. Ale coś w tym jest.

– Więc Don został oszczędzony, prawda, Fabi?

– W jakimś sensie. – Gaponia nasłuchiwał milczenia okolicy rezerwującej strzępy sił na przeżycie kolejnego skwarneego dnia bez kropli deszczu, śladu chmurki na niebie, bez podmuchu wiatru. – Choroba nie znała jeszcze swoich możliwości. Poznała je i przestała się ociągać. Robi swoje. To, co w przypadku Dona było zagadkowe, niecodzienne, tajemnicze, jest teraz tym, czym jest. Smród, wrzask i po sprawie.

Powrócił w myślach do krótkiej rozmowy, jaką kilkanaście dni wcześniej odbył z młodym doktorem, który pofatygował się nad rzekę, by zapytać Gaponię o początek dolegliwości Dona, bo przy nim nie był; gdy zastąpił bezsilnego lekarza ze świata, Don wszedł w fazę nieodwracalną. Chce pan zostać doktorem Rieux, jak żaden z pana kolegów, zapytał go wtedy Gaponia, a młody człowiek odpowiedział, że nie wie, o kim mowa. O Dżumie wyjaśnił Gaponia. To nie jest dżuma, odpowiedział z przekonaniem doktor, nie znam tego schorzenia, nikt go nie zna, ale to nie jest dżuma. Gaponia nie był uprzejmy, gdyż nie lubił doktora, jego nieustannych humorów i niezdolności do współodczuwania, dlatego obcesowo wyjaśnił, że łączenie tajemniczej dolegliwości Dona z trywialną zarazą atakującą byle kogo jest bezczelnością, jakiej nie ma zamiaru tolerować, i młodego doktora odprawił.

– Czy my też zachorujemy? – zapytała po chwili dziewczyna.

– Nie ma powodu. – Gaponia pogłaskał jej dłoń opartą o listwę leżaka. Spojrzał na bezlistne drzewa odcinające się ostro na tle nieba, mimo że była dopiero połowa sierpnia. Odezwał się z trudem: – Zapytam o dziecko.

– Oszczędzam je – odpowiedziała dziewczyna, próbując się przebić przez wilgotną zawiesinę męczącej nocy.

Gaponi się zdało, że dziewczyna nie oszczędza dziecka z troski, lecz z obowiązku, który jej ciąży. Że w sprawie dziecka nic jeszcze nie jest zdecydowane. Że nietrudno wyobrazić sobie równie upalną noc na tarasie pensjonatu zwróconego w stronę rzeki i odpowiedź dziewczyny: Dziecko? Już go z nami nie ma, Fabi.

Wszystko zależało od bólu. Natura stworzyła Gaponię do bólu w tym samym stopniu co do lęku, a jedno i drugie składało się na bezwład, który marne życie Gaponi uzasadniał. Okrutne lato sprzyjało zniewagom, jakich egzystencja Gaponi nie oszczędzała i jakie miała jeszcze w zanadrzu. Późne ranki witane z leżaka na tarasie czy oznajmiające się w ciasnym pensjonatowym pokoju na piętrze z widokiem na łąki za rzeką, ponad koronami bezlistnych brzoź i pociemniałych dębów, z dziewczyną u boku lub bez niej, zawiadamiały o sobie bólami każdej części ciała, które się nie znosiły, lecz wzajemnie inspirowały, i lękiem przed powszednimi trudami dnia. Myśl o tym, że trzeba się będzie ogolić, umyć, ubrać, gdyż nikczemne ciało Gaponi wymagało ukrycia nawet podczas tych wściekłych upałów, przełknięcia czegokolwiek na śniadanie, a wcześniej – zwleczenia się z łóżka czy leżaka, ta myśl przywoływała pragnienie cichej bezbolesnej śmierci, rozwiązującej każde ze zobowiązań wymuszonych przez istnienie. Złorzeczył wtedy Donowi: W taką podróż nie rusza się samemu, szefie. Jak mogłeś nie pomyśleć o biednym, starym Gaponi, który ci służył jak niewolnik. I mimo że dni w pensjonacie Wrzos w zakolu rzeki na południowym Podlasiu nie absorbowwały przesadnie swymi wymaganiami, odpuszczały Gaponi jak nikomu, to przecież ich cierpliwość na bezwład musiała mieć granice. W końcu nie da się przejść przez dni, gdziekolwiek by upływały, nie mierząc się z żadnym wyzwaniem. I wyzwanie się zameldowało. Na początku trzeciego tygodnia sierpnia, około dziesiątej rano, Gaponia zwlekał się z łóżka, gdy do pokoju na piętrze, którego już nie dało się schłodzić, zapukał Darek z wiadomością, że na ławce przed pensjonatem jakiś duży, chudy gość liczy na spotkanie.

– Ze mną? – jęknął Gaponia, myśląc, że uda mu się kimś wyręczyć, lecz Darek nie pozostawił wątpliwości.

– Pan Fabian Grabowski? – zapytał czterdziestoletni mężczyzna, mimo

skwaru w stalowym garniturze. Dorównywał Gaponi wzrostem, mimo chudości rozrośnięty, wręcz zwalisty. Emanował tym rodzajem krzepy, jaka wyróżniała Darka z innego konstytucyjnego powodu.

– Tak. – Gaponia skinął głową i poczuł żołądek gdzieś w okolicy szyi. – Jak pan się tu dostał?

– Poradziłem sobie – odrzekł mężczyzna i wskazał na okolicę. – Tu też ledwo co żyje.

– Jak wszędzie – mruknął Gaponia.

– Otóż to, wszędzie jest źle. Jestem towarzyszem broni pułkownika Aszkiełowicza, z którym kilka tygodni temu rozmawiał pan o historii Rosji. Byliśmy razem w West Point, a potem na jednej wojnie i kilku misjach. Pułkownik uważa, że rozmowa była na tyle interesująca, by nie pozostawić jej bez kontynuacji. Podzielał jego pogląd.

– Z jaką konsekwencją?

– Dla pana?

– Powiedzmy, że interesuje mnie to bardziej niż wszystko inne. Tak, dla mnie.

– Sam pan rozumie... nie ma przymusu.

– Czemu miałbym to rozumieć? – Gaponia oparł się o ławkę, a potem bezsilnie się na nią osunął, wyciągając nogi przyodzione w bawełniane spodnie od pidżamy. – Więc jest?

– Przymus? Proszę mi wierzyć, że nie.

– Więc?

– Dajmy szansę okazji.

– A okazja?

– Jest następująca... Nie przeszedłby się pan, panie Grabowski?

– W żadnym wypadku. – Gaponia podniósł głos do nieprzyjemnego, wysokiego rejestru. – Uwiera mnie każdy krok. Źle znoszę to lato. Proszę na mnie spojrzeć. Sprawiam wrażenie kogoś, kto ma ochotę się przejść?

Gość w stalowym garniturze nie odpowiedział. W jego spojrzeniu nie było pobłażania, śladu tolerancji dla niemocy. Sprawiał wrażenie człowieka zdolnego do zakatowania samego siebie, byle nie ulec słabości.



– Napijemy się kawy na tarasie – rzekł Gaponia, zauważając ten rodzaj lekceważenia w spojrzeniu przybysza, które natychmiast prowokowała powierzchowność Gaponi, cokolwiek by tknął, z czymkolwiek by się mierzył, czegokolwiek by po nim oczekiwano, przy kimkolwiek by stał. – A pan opowie mi o okazji.

Usiedli naprzeciw siebie przy masywnym drewnianym stole. Pokazał się Darek. Gaponia poprosił go o dwie kawy z mlekiem. Gość w stalowym garniturze powiedział, że nie pija kawy, ale Gaponia jakby tego nie usłyszał. Unikał wzroku przybysza, bo nie było w nim nic dobrego, tylko zdziwienie, niechęć, lekceważenie, być może myśl o stracie czasu. Toteż słowa przybysza o okazji nie układały się w zdania, były niechętne, z chwili na chwilę straciły zapal, wypowiedziane dla porządku, którego gość w stalowym garniturze przestrzegał najwyraźniej z przyzwyczajenia. Nawet informacja o powołanej niedawno oficerskiej fundacji została przekazana tak niezobowiązująco, jakby nazwa Sword nie miała nic wspólnego z jej statutem. Kawa zabieleną mlekiem w proszku i nie wiadomo czemu letnia miała smak wody. Mimo to Gaponia wypił obydwie.

Obrócił się w stronę łąk za rzeką, jak nigdy upstrzonych kretowiskami. Nie było słonecznej ani cienistej strony, wszystko tkwiło w żółtobrunatnej zawieszynie od kilku dni przenikniętej wilgocią. Zapytał ostrożnie:

– Uważasz, że to okazja?

Na zegarze minęło południe. Pory dnia przestały się od siebie różnić. Ranek mógł być wieczorem, a popołudnie wystąpić w roli świtu. Dziewczyna skinęła głową, ale po chwili zaproponowała, by o radę poprosić Darka.

– Darek tu nie ma nic do rzeczy – upomniał ją surowo Gaponia. Nie zdążył się umyć i miał wrażenie, że cuchnie. – Są legalistami. Nie złamią nawet złego prawa. Ławr w siedemnastym krzyknął: Oficerowie, junkrzy, kadeci do mnie! Nasi założyli fundację. W przeciwieństwie do gangów mogą działać wyłącznie na czyjś rachunek. Pytanie brzmi: na czyj?

– Nie wiem, Fabi.

– A po zastanowieniu?

– Po zastanowieniu... może na twój.

– Na moim jest debet.

– Ale gangi tego nie wiedzą. Zrozum, Fabi, ugadałeś sprawę z wojskiem, więc jedziesz do tych młotków w Excelsiorze i mówisz...

– Daj spokój, to śmieszne.

– Co?

– To, w co mnie wkręciłaś. Nie wiem, jak się z bandytami rozmawia.

Dziewczyna przypatrywała się jasnym fasadom kościołów w Drohiczynie, których położenie w miasteczku na wzgórzu pozwalało oglądać dwa z czterech, a jesienią i zimą, jeżeli dni nie były zamglone, również cerkiew prawosławną. Nigdy nie wprowadziłeś mnie do katedry na wysokim brzegu rzeki – rzekła onegdaj przy okazji jakiejś innej pretensji – jakbym w katedrze ci nie pasowała. Czy ta pretensja odezwie się w dziewczynie sprowokowana widokiem opuszczonego miasta w czarującym świetle letniego popołudnia? Czy stanie się coraz jadowitsza wraz z wyrównywaniem się tego, co między nimi? Czy będzie go powoli niszczyć wraz z innymi pretensjami, jakie do niej dołączają?

– Nie mówię, że takich ludzi nie znam – rzekł cicho Gaponia, podążając za dziewczyną ku miastu na wzgórzu. – Widywałem ich, nawet coś na nich wymuszałem, ale zawsze w imieniu Dona. Czułem jego obecność. Krył mnie. Teraz będę sam. Mogę mieć z tym kłopot.

– Nie zastąpię cię, Fabi.

– Nigdy niczego nie robiłem we własnym imieniu. Może mi się nie powieść.

– Nie zastąpię cię.

– Szkoda. – Gaponia co chwila ogarniał na sobie bawełnianą pidżamę, niezły na upał strój dzienny, zwisający smętnie z jego wychudzonego ciała. – Ale nie zastąpisz.

Rozejrzał się za papierosami. Dziewczyna mu je podała. Zapalił na czczo. Poczul mdłości. Bywały dni, że nałóg mu służył. Nie tym razem. Mimo to palił, bo czegoś chciał się ucześcić. Dziewczyna to mało. Mógł przeżyć resztę życia bez wsparcia. Nie nadawał się do zobowiązań. Nie nadawał się do niczego, co nie byłoby poddaniem się biegowi rzeczy. Myśl, że mógłby na ten bieg wpływać, napełniała go trwogą. Więc skąd niekonsekwencja, której nikt

od niego nie oczekiwał. Jak nazywa się kaprys, który go skłania do podjęcia działań tak sprzecznych z jego naturą? Dziewczyna, dziecko, ojczyzna? Wolne żarty. Zszarzał do szczytu od niepokoju i papierosa na czczo, jak zszarzały liście od suszy i skwaru. Gdyby go tknąć, toby zatrzeszczał i się rozpadł.

– Co ma do mnie cień Dona?

Dobre pytanie, pomyślał Gaponia, przypatrując się wnętrzu hotelowego apartamentu na najwyższym piętrze Excelsiora, czterem mężczyznom rozwalonym w fotelach, ścianom w kolorze seledynu, przypominającym mu amerykańskie filmy z czasów młodości rodziców. Wciągnął w nozdrza zapach wody kolońskiej, markowych mydeł zza niedomkniętych drzwi do łazienki i cygara, jakie ktoś palił tu jeszcze niedawno. Przypatrywał się wypreparowaniu z wszechobecnego brudu, smrodu, upału, temu ogólnemu daniu za wygraną. Nie rozumiał, jakim cudem utrzymano tę enklawę cywilizacji w powszechnej udręce niemożności i skąd siły, jakie na nią zapracowały. To pytanie zaczepiło go już w wystawnym wnętrzu maybacha, który przyjechał po niego nad Bug z innej rzeczywistości. Gaponia łyknął wody mineralnej, czegoś nieznanego od kilku tygodni, a tartinki z anchois i włoskim salami nie budziły obawy, że są śmiertelną kanonadą wymierzoną w bezbronne jelita. Jakie pieniądze lub strach wymusiły na okolicznościach taką dyspozycję, zastanawiał się. Jakiej perswazji lub przemocy należy użyć, by to uzyskać. Rzekł w odpowiedzi na pytanie, które padło natychmiast potem, jak zamknął za sobą drzwi, i które uznał za dobre:

– Dojdziemy do tego, centurionie.

– Ciebie zwą Gaponia? – zapytał ten ze środkowego fotela.

– Owszem, tak mnie zwą. – Gaponia przestąpił z nogi na nogę, zastanawiając się, na czym miałby usiąść, gdyby go o to poproszono; chyba nie na podłodze.

– Czemu?

– To z dzieciństwa. Zagapiałem się w najmniej stosownych momentach. Ojciec mawiał wtedy do matki: Spójrz, żono, istny Gaponia.

– Ale już tego nie robisz?

– Czemu miałbym nie robić. Natury się nie zmieni.

Mężczyźni z foteli wymienili między sobą spojrzenia. Nie potrafili ukryć lekceważenia dla swego gościa. Ale też nie mógł im się trafić ktoś bardziej na to zasługujący.

– Poczęstuj się. – Tartinki wskazał ten ze środka.

Gaponia odmówił gestem z czasów, kiedy namiętnie oglądał filmy gangsterskie. Mimo klimatyzacji oblewał się potem, tyle że zimnym.

– Zapytam o Rosję. – Ten ze środka, wyznaczony przez siebie samego na centuriona, łyknął wody prosto z butelki. – A konkretnie o junkrów. Kim byli?

– Bardzo młodymi ludźmi, wręcz dziećmi czasami. Wiotcy, delikatni, interesująco bladzi, w długich sukiennych płaszczach do kostek i z epoletami. Po epoletach ich rozpoznawano i za epolety mordowano. Oficerska armia.

– Ale i oni mordowali?

– Z konieczności. Wyglądali, jakby wyszli przed momentem z wierszy Balmonta, Siewierianina, Achmatowej...

– No popatrz, Gaponia.

– Albo pieśni symbolistów. Więc zaryzykowałbym Błoka.

– Rzykuj.

– A skoro zaryzykowałem ryzyko, centurionie, to przywołałbym Marynę Cwietajewą – oczy Gaponi zaszklily się wzruszeniem, którego nie zamierzył powstrzymać – z jej strasznym rosyjskim losem.

– Nie na moją stronę, cieniu Dona – centurion wyszlachetniał na tyle, na ile w jego sytuacji to było możliwe – ale na twoją.

– Pochlebiasz mi, centurionie, tą stroną.

– Łaskawość to ulga, jeśli nie trwa dłużej niż moment. Więc pozwolisz, że przejdę do rzeczy i zapytam: co mamy z nimi wspólnego.

– Z białą kontrą? – Gaponia się zachwiał, jak miał w zwyczaju, gdy kazano mu stać. – Postawili się chaosowi.

– A co na to chaos?

– Chaos zgodnie ze swoją naturą...

– Tak myślałem. Nad Wag więc powrotu nie ma, jakkolwiek by się

srebrzył. Rzeka przegięta. – Centurion wskazał wreszcie Gaponi jedyne w apartamencie krzesło. – Z tym co jest, jest nam dobrze.

– Ale możecie to stracić.

– Pogrożka?

– Przestroga. Nie poradzicie sobie w kraju, który się rozpada. Będziecie jego pierwszymi ofiarami. Jest was zbyt wielu, by przetrwać. Zasmakowaliście w wygodach, które mogą kosztować więcej niż wasze pieniądze i wasza przemoc. Apartament, kanapki, schłodzona minerałka nie są wieczne. Maybach również.

– To samo ćwierka mój Kanarek. – Centurion wskazał eleganckiego pana po swojej prawej. – Umówiliście się?

Gaponia zaprzeczył, po czym zapytał o tartinki.

– Po to są. – Centurion spojrział na półmisek. Rzekł twardo: – Nie obchodzi mnie kraj. Obchodzi mnie, kim będę i ludzie, za których odpowiadam. Bo, wyobraź sobie, że odpowiadam.

– Dzielę z panem ten sam rodzaj obojętności na los ojczyzny – Gaponia poczuł z ulgą, że zimny pot na nim schnie, a serce nie tłucze się jak oszalałe – ale skoro pan pyta, co trzeba uczynić, to odpowiadam: wydać wojnę chaosowi, przywrócić instytucje. – Wytarł palce w serwetkę i nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić, schował do kieszeni spodni. – Po to, by przetrwać, centurionie.

Ten wstał z fotela i podszedł do panoramicznego okna na dwie trzecie ściany z opuszczoną żaluzją. Rozsunął listwy i światło zaatakowało pokój. Gaponia cofnął się z krzesłem w głąb pomieszczenia.

– Co z Donem? – zapytał centurion, nie odwracając się od okna. – Nie żyje?

– Nie ma na to dowodów – odpowiedział Gaponia.

– Żyje?

– Tego też nie da się udowodnić.

– Wyjechał w podróż?

– To najbliższe prawdy, centurionie.

– Co zrobiłby Don, gdyby nie wyjechał?

– Przywróciłby instytucje.

– Od jakiej by zaczął?

– Od prezydenta.

– Od dachu?

– Od dachu? Niech będzie.

Kanarek się kręcił, kręcił, aż nie wytrzymał i zaczął:

– Jeżeli można, Stynek, dwa słowa...

– Nie można. – Centurion otrzepał palce, jakby listwy żaluzji pokryte były kurzem. – Jest prezydent.

– Niech pan nie żartuje. – Siedząc, Gaponia czuł się pewniej. – Chodzi o kogoś, kto z powierzonej funkcji coś by rozumiał.

– Kto miałby go powołać? Lud?

– Zgromadzenie Narodowe.

– Mamy coś takiego?

Gaponia roześmiał się w odpowiedzi, jakby uwierzył, że jest partnerem w tej rozmowie, a nie petentem bez praw ludzkich, którego można by, na przykład, wyrzucić przez okno najwyższego piętra hotelu na parkujące samochody, gdyby okno dało się otworzyć. Centurion wrócił na swój fotel między kumpli, z których czwarty, zapędzony mexidolem w kozi róg, wylewał się z fotela i widać było, że nie ma takiego mebla, na jakim by się mieścił. Słońce niezmordowane w swej agresji zjechało w dół i zaczęło się drapieźnie przedzierać przez listwy żaluzji. Milczenie, jakie zapadło po pytaniu centuriona, nie służyło Gaponi i znów oblał się zimnym potem. Nie mógł opanować drżenia ręki, dlatego odstawił szklanekę z wodą mineralną na stolik. Chciał powiedzieć cokolwiek, lecz dano mu znak, by tego zaniechał.

– Wrażenia? – Wzrok dziewczyny od jakiegoś czasu, może pod wpływem fali upałów, a może poczętego życia, stał się surowy, zmęczony, jakby to było spojrzenie spoza jej urody i młodości.

Gaponia odrzekł, że falangiści nie podejrzewają, by w państwie znalazła się realna siła mogąca im dorównać, a to, że kadra wyszczuta z armii jest skłonna się z nimi układać, próbując przywrócić zasady, tylko utwierdza ich w poczuciu własnego znaczenia, wręcz wyjątkowości.

– Mylą się? – zapytała dziewczyna.

– Co do mnie – odpowiedział Gaponia tonem, w którym lękliwa miękkość nie miała już miejsca – co do mnie się mylą.

– Co to dla nich oznacza?

Gaponia odpowiedział, że czerwoną linię, za którą będzie ich kres.

– Co wtedy?

Zdjął czajnik z wrzątkiem z epigazu, zalał kawę, zabielił resztkami mleka w proszku i osłodził miodem. Rzekł cicho, raczej do siebie:

– Aż tak na mnie nie licz, dziewczyno. Skąd mam to wiedzieć?



Ale wiedział. Więcej niż inni. I to nie była zasługa wieloletniego treningu przy Donie, a talentu do władzy zaryglowanego we wszelkich możliwych fizycznych ułomnościach, katujących go od dzieciństwa, sprzężonych z groteskową brzydotą, wystawiającą na pośmiewisko w świecie zdanym na pozory. Nic w tym względzie nie zmieniło się na lepsze. Uczucie dziewczyny, przyjaźń Darka i perspektywa dynastyczna w postaci dziecka wydały mu się zbyt wątpliwe, by choć na chwilę się do nich przywiązać. Dlatego powód, dla którego znalazł w sobie wolę, jakąś zapodziałą energię, był nieznany. Był tajemnicą, której postanowił, póki co, nie rozwiązywać. W miarę utraty sił, biologicznej klęski w konfrontacji z męczącym latem, w miarę utrwalania się w nim antyseksapilu i antywdzięku, opadły z niego resztki męskości. Zostało tylko przygnębienie i mądrość, a więc to, co skazuje na status ludzkiego śmiecia. Lecz w miarę upadku narastał w Gaponi opór przeciwko tej determinacji. Spójrz, mówił losowi, po raz pierwszy wobec twego okrucieństwa przechodzę mimo. Jakby nie o mnie chodziło. Przyszedł mu do głowy wers z poematu *Introdukcja* starego poety, którego, w przeciwieństwie do Dona, jeżeli nie cenił, to lubił: „Wszechmoc ducha śniłem – w dniach białych od pustki i zmęczenia...”. Wszechmoc ducha, pomyślał, chyba tylko w wierszach naiwnych poetów. Wszechmoc ducha, powtórzył kilkakrotnie szeptem.

– Co to? – Dziewczyna wyglądała na zaniepokojoną.

– A jak myślisz? – zapytał Gaponia i powtórzył: – „W dniach białych od pustki i zmęczenia”.

– Myślę, że wiersz, Fabi.

– Brawo! – Gaponia zważył się na tarasowe krzesło. – Pan też tak myśli, panie Darku?

– Trudno tak nie myśleć, profesorze.

Było wczesne popołudnie na silnym, gorącym wietrze zwiastującym

zmianę, przy lanczu, z którego została tylko nazwa.

– To wiersz jednego z nas – rzekł Gaponia – grafomania ujmująca swoją melodyjnością i pięknem, bo to się nie wyklucza.

Dziewczyna nadal wyglądała na zaniepokojoną, gdy zapytała, o kim mowa.

– O starym poecie – odpowiedział. – Opuścił nas w chwili próby, której w końcu nie poddaliśmy się. Ale jego już z nami nie było.

– Wiem, o kogo chodzi – warknął Darek, zbierając okruchy chleba ze stołu – o łachudrę, który sponiewierał Polaków w niemieckiej gazecie.

– W hiszpańskiej – poprawił go Gaponia.

– Co za różnica. – Darek sypnął okruchy psu. – To było wredne.

– Generał też tak uważa – powiedział Gaponia.

– Alzheimer nie męczy go ciągle. – Twarz Darka przybrała mściwy wyraz.

– Chcecie jeszcze dwa, trzy wersy? – zapytał Gaponia.

– Beze mnie. – Darek wstał od stołu i gwizdnął na psa.

– Czemu nie – rzekła dziewczyna bez entuzjazmu.

Gaponia recytował z przejęciem:

– „Z krain dalekich i nieznanych – duch mój mi mówił piękne opowieści.  
I skrzydła wziąłem”.

– Skrzydła?

– To metafora.

Dziewczyna wystawiła twarz na gorący wiatr, który zamienił nieruchomy upał w coś nieprzewidywalnego. Rzekła cicho:

– Nie zaprzeczam, Fabi.

– A poza tym najczystszy liryzm bez metafizyki. I słusznie, bo co my wiemy o tajemnicach istnienia. Pokaż mi poetę, który się do nich zbliżył.

– Ja mam pokazać?

– Daj spokój. Tak tylko mówię. A wracając do jednego z nas. Nie jest poetą formy, lecz emocji niedostępnej tępemu tłumowi, bo wywłócił ją z czasów, w których była czymś wyłącznie osobistym. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Jak mogłabym cię nie rozumieć, Fabi. – Dziewczyna zbliżyła twarz do twarzy Gaponi na odległość oddechu. – Mimo to zapytam: co kombinujesz.

O to samo zapytał generał młodego stewarda i kilku pomniejszych, zebranych wokół gigantycznego biurka w sali tronowej Domu Centralnego.

– Spotkał się z szefami gangów – odezwał się jeden z pomniejszych.

– Gdzie? – Generał był rozdrażniony własną niemocą.

– Wiadomo gdzie, w Excelsiorze, okupują ten hotel nie od dziś.

– Kiedy?

– W środę ubiegłego tygodnia. Zajechał tam maybachem, jakby był jednym z nich, choć nie jest.

– W jakiej sprawie?

Do generała podszedł ten z drugiego planu, cały w lansadach, nawet jeśli sytuacja tego nie wymagała, a najczęściej nie wymagała. Jego słowa zawsze były poniżej stanowiska, jakie zajmował, nawet jeżeli to było stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Nieodmiennie dawał do zrozumienia, że nie ma zamiaru znaczyć tyle, ile powinien. Rzekł, pochylając się nad generałem w jakiejś dwuznacznej konfidencji:

– Nie rozporządzamy taką wiedzą, panie generale, gdyż służba do tego powołana rozpadła się ostatecznie wraz z odejściem Dona.

– To nie jest przesądzone – warknął generał.

– Niestety, panie generale, z wiedzy, jaką rozporządzamy, wynika, że przesądzone.

– O Donie mówię, nie o SIdI.

– A, jeżeli tak, to naturalnie.

– Daj pan spokój! – Generał trzasnął dłonią w blat wymiecionego z wszelkiej bieżączki biurka. – Słuchać się tego nie da. Chudzielca mieć na oku. To nietrudne. Wyróżnia się.

Przez otwarte na oścież okna dmuchnęło wściekłym wiatrem i kroplami wody. Wszyscy rzucili się im na spotkanie. Do deszczu było daleko, lecz niebo z wyblakłego błękitu przeszło w ołów. Dzień ściemniał, a wiatr, jeszcze w południe jak z suszarki do włosów, ochłódł. Zebrani przy oknach mieli wrażenie, że kropli drobnych jak łyż z każdą chwilą przybywa, więc powystawiali ręce w żebraczym geście. Wobec tego objawienia Gaponia wraz z urojoną lub rzeczywistą kombinacją zszedł na drugi plan. Nawet generał

zdawał się w tej sytuacji o nim nie pamiętać. Kończył się upiorny sierpień, a wraz z nim lato, które wszystkim dało w kość.

Ze zmianą pogody na dającą życie zmienić się powinien też nastrój. Ale się nie zmienił. W klimatyczną jesień, która nastąpiła wcześniej niż zwykle, naród wszedł oburzony, jak nigdy. Nie wpłynęły na to dwa dobre znaki, jakie dołączyły do chłodu jesieni – nieśmiało przywracany prąd i koniec zarazy, która jak przyszła znikąd, donikąd odeszła, porzucając swe ofiary półżywe, a to znaczyło, że jednak nie martwe. To był zjadliwie zmutowany gronkowiec złocisty. Nic ponadto – oznajmił w telewizji państwowej główny epidemiolog kraju, którego naród zobaczył po raz pierwszy od dwóch miesięcy.

Jego absencja oburzyła obywateli podobnie jak jego pojawienie się, bo już nie było zdarzeń dobrych lub złych, które mogłyby mieć znaczenie w obliczu przemożnej chęci zmiany. Na co, tego nikt na razie nie wiedział.

Z Gaponią włącznie, bo jego nadzieję, że przywrócenie instytucji może być początkiem zmian na lepsze, studziła obojętność, z jaką by to przyjął. Toteż pytanie, dlaczego próbuje wpłynąć na bieg zdarzeń, a w rzeczy samej puścić je w ruch, nieodmiennie czekało na odpowiedź. W jakiej sprawie tak się staram, powtarzał w duchu pytanie, zdeprymowany milczeniem opatrzości. Na razie konstatacja, że działa w interesie własnej przyszłości, musiała wystarczyć. I ta prawda, półprawda lub nieprawda warowała obok, gdy zakutany w dwa szlafroki przyjął na werandzie pensjonatu Wrzos Czuba i butelkę haiga, z którą ten przybył.

– To na pojednanie! – zawołał Czub, stawiając butelkę whisky na stole zasypanym liśćmi, którym udało się przetrwać skwar lata, by opaść na początku jesieni. – Wtedy poszło nie tak, jak trzeba, przepraszam.

Wspomnienie trudnego do wytrzymania bólu, który po ciosie Czuba rozszedł się po ciele i długo nie przemijał, i upokorzenia trwającego jeszcze dłużej, nie wyzwoliły w Gaponi gniewu czy chęci odwetu. Odwrotnie, godny pożałowania przypadek sprzed roku, gdy Czub wraz z sędzią ludowym skłonili Gaponię do posłuszeństwa, miał szansę pójść w zapomnienie.

– Nie ma sprawy, panie redaktorze – rzekł Gaponia wręcz z ulgą.

– Z tą nadzieją przybywam. – Czub rozgościł się natychmiast za stołem, jak to bywa z ludźmi dobrze osadzonymi w życiu. – Piękne miejsce i rzeka nie wyschła.

Z tym pięknem to trochę na wyrost, pomyślał Gaponia, bo mordercze lato i z nim sobie poradziło. Nigdy nie przypuszczał, że klimatyczne wynaturzenie może podważyć moc natury na południowym Podlasiu, a jednak to się stało i pejzaż wokół osłabł. Dołączył do nich Darek, jakby to wcześniej było umówione, przyczajony, lecz pewny. Rozstawił szklanki. Czub rozlał do nich alkohol gestem gospodarza, a nie gościa. Rzekł z błazeńską nieco pretensją:

– Żyjecie tu, jak u Pana Boga za piecem. Urządziliście się.

– Ty masz gorzej. – Darek spojrział na Czuba ponuro, jak kumpel, nie wróg.

– Tego nie powiedziałem.

– I słusznie. – Darek, nie czekając, wlał sobie zawartość szklanki do gardła jak do rury. – Dobrze wyglądasz, Czub.

– A kiedy ja źle wyglądałem.

– Chodzi mi o to, że wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek. Gimnazjon ci służy.

– Dużo ćwiczyłem z chłopakami, to fakt.

– A klatka?

– Tylko sparringi, niektóre na ostro. Nie oszczędzali mnie.

– Gdyby cię nie oszczędzali, to byś tak dobrze nie wyglądał. Wiem, co mówię. – Darek wskazał butelkę. – A pan, profesorze?

– Jeszcze nie teraz – odpowiedział Gaponia.

– Jest niezła, profesorze. Nawet bez lodu.

– Wierzę – zgodził się Gaponia i zauważył kątem oka dziewczynę, która na moment pokazała się w drzwiach między holem a werandą, a potem psa.

Nie podbiegł do nich, jak miał w zwyczaju. Czub nie potrafił ukryć zadowolenia z samego siebie w przeciwieństwie do Darka. Tylko to ich teraz różniło. Gaponia pomyślał, że jest kruchą łupinką między dwoma kamieniami, że ci dwaj okazali, na swój sposób piękni mężczyźni w kwiecie chojractwa są złączeni ze sobą tym, co Gaponię od nich i im podobnych trwale odłączyło. Żaden splot zdarzeń tego nie zmieni, bo życie jest dzikie. Więc gdy usłyszał, jak Czub prosi Darka, by na kwadrans zostawił ich samych, to wiedział, że Darek zostanie, a on odejdzie.

– Bez urazy, Gaponia. – Czub zmiotł liście ze stołu i się nad nim pochylił. – Poniosło mnie wtedy.

– Nie wracajmy do tego – odpowiedział Gaponia. – W końcu nie jestem panienką z budapeszteńskiego hotelu, by chować urazę w nieskończoność.

Czub uśmiechnął się w zasadzie przyjaźnie. Miał wdzięk.

– Powiem otwartym tekstem. Nie będę kluczył, bo szanuję swój czas, a na

temat twego, Gaponia, się nie wypowiadam. Chcę władzy i będę ją miał, pasuje to komu czy nie pasuje. A jak zaczepisz o Kaligulę, to ci odpowiem, że to już tylko historia. Do władzy prowadzą dwie ścieżki: hard i soft. Którą wybiorę, zależy od rozsądku kilku ludzi w tym kraju. Jednym z nich jesteś ty. Stąd moja, przyznaje, niespodziewana wizyta.

– To mi pochlebia, panie redaktorze.

– Daj spokój z tym redaktorem. Sylwek jestem. – Wskazał opróżnioną w jednej trzeciej butelkę haiga. – Naprawdę nie spróbujesz?

– Później.

– Darek ma rację. Jest niezła.

– Nie wątpię, panie redaktorze.

Gaponia patrzył za Darkiem oddalającym się z ostentacyjnym wręcz ociąganiem. Toteż róg budynku był ciągle przed nim.

– Posłuchaj, Gaponia. – Czub uderzył kostkami palców w deski stołu. – Rozglądam się wokół i nie widzę Dona, a bystry ze mnie gość i nic nie ujdzie mojej uwadze. Nawet dziewczyna, która w drzwiach mi mignęła, nawet jej pies. A Don mi nie mignął. Co mam o tym sądzić?

– Że go pan nie zastał, panie redaktorze.

– A powinienem?

Gaponia nie odpowiedział. Znów dmuchnęło liśćmi na stół. Były tak kruche, że rozsypały się na nim w żółty pył.

– Don nie żyje? Prawda?

– Niekoniecznie. To kwestia umowy.

– Z tym przyjechałem, Gaponia.

– Wtedy miałem ogłosić, że Don żyje i na czas rekonwalescencji po zapaleniu płuc wyznaczył dwóch konsulów, z których jednym miał być pan. Co miałbym ogłosić teraz?

– Nic.

– Nic?

– Dokładnie. – Czub się podniecił. – Masz milczeć jak grób do końca swoich dni. To ja ogłoszę rodakom, że Don umarł. Ja wyznaczę termin i miejsce państwowego pogrzebu. Ja postanowię o żałobie narodowej. Ja

pierwszy pójdę za trumną i wygłoszę mowę. A ty będziesz moim milczącym cieniem. Obecny, lecz milczącym.

– Jak przy Donie?

Czub skinął głową.

– W zamian urządzę cię przy sobie uczciwiej, niż zrobił to Don. Przynajmniej będziesz coś z tego miał. Ty i każdy, z kim zamierzasz spędzić swoje ostatnie lata. Potrafię się odwdziaczyć.

– Nie wątpię.

– Pomyśl, Gaponia, jak niewiele żądam w zamian.

– Jeżeli tak.

– Właśnie.

– A jeżeli nie?

– To nic – odpowiedział Czub tak lekko, jakby przestało mu nagle na tym zależeć. – Życie cię zmiele i wypluje. Wnet stracisz mieszkanie po matce. Wprowadzą się tam męty z okolicy z czworgiem dzieci. Nie szurniesz ich, nie ma takiej opcji. Ile będziesz opłacać ten pensjonat i z czego? Wylądujesz na dworcu jak niejeden z tych meneli rojących się po kraju, z tą różnicą, że ty długo tak nie pociągniesz.

– To nie jest najgorsze, co człowieka może spotkać – odpowiedział Gaponia.

Wstał od stołu i zadrzał, bo opowieść Czuba była prawdopodobna. Utrzymywał się na powierzchni życia dzięki staraniom, jakich nie skąpił. Jego nikkzemne, nielojalne ciało domagało się nieprzerwanej uwagi i opieki. Każde zaniedbanie w tym względzie odbijało się natychmiast na zdrowiu, a to na wyglądzie degradującym go i tak poniżej najliberalniejszej męskiej normy. I mimo że sprawiał wrażenie człowieka bez takiej ambicji, to tylko nieustanne starania pozwalały zaliczyć go w poczet gatunku od biedy akceptowanego.

– Jak znajdziesz coś gorszego – usłyszał za plecami głos Czuba – to mi powiedz. Kontakt przez Darka.

A Darek wyszedł właśnie zza rogu domu równie niechętnie, jak przed kwadransiem się za nim skrył. Pochylony, z posępnym wyrazem twarzy, jaki



od pewnego czasu go naznaczał, wszedł na zaniedbany gazon ze szczątkami roślin.

– Co ty tu robisz z tym pedałem? – zapytał Czub, wsiadając do swego czarnego wypolerowanego audi. – Przesterowałeś się czy jak?

– Nie jest pedałem, ale to bez znaczenia. – Darek przysunął się do uchylonej szyby i dodał twardo: – Wiem, z czym przyjechałeś.

– Nadstawiałeś ucha?

– Nie musiałem, Czub. Tracisz kontakt z realem. Zawsze byłeś narwany i lata, kiedy miałeś władzę lub ci się tak zdawało, nie zmieniły cię. Jesteś, jaki byłeś.

– Jeszcze coś?

– Jakbyś zgadł. – Od rzeki ciągnęło chłodem, który nie wiadomo jak się odnalazł po długim upalnym lecie. – Nie licz na chłopaków z gimnazjonów, bo to nie ich opowieść. Nie pójda dalej niż klatka, w jakiej walczą. To koniec ich świata. Wiem, co mówię, bo byłem jednym z nich.

– Ale już nie jesteś – rzekł Czub, jakby nie do końca tego pewien.

– Wiem, co mówię. Lubią walkę, biliby się za darmo, ale swoją. Nie kupią twojej, żebyś nie wiem co im obiecał. Miałeś szansę coś zrozumieć z gimnazjonu, lecz nie skorzystałeś. Twoja strata, Czub.

– Kiedyś byliśmy kumplami.

Darek skinął głową.

– Jeździliśmy po Europie i komentowaliśmy MMA, brazylianę, tajski boks, błazeński wrestling i co tam jeszcze. Nie było źle.

– Było różnie.

– Ale to już przeszłość. Teraz robię swoje i nie szukam konsultantów. Nie wciskaj się.

– To ciekawe – rzekł spokojnie Darek – bo czekam tu na ciebie z tą samą propozycją. I dodatkowym argumentem. – Wyciągnął zza pasa czarnego jak kruk glocka, przejętego od oficera SIdI.

– Co to jest? – zapytał Czub. Nie wyglądał na zaniepokojonego, jakby wytrenował reakcję na takie zaczepki.

– Wygląda na pistolet – odpowiedział Darek. – Nie wchodzi Gaponi

w drogę, bo natkniesz się na mnie. Za każdym razem. Wiesz, co tu robię od roku?

– Płonę z ciekawości.

– Odpoczywam od tego, co mi w mieście i w robocie cholernie nie pasowało. Wiesz, jak to jest, gdy coś cholernie nie pasuje. Nie chce się do tego wracać. Nałgałem Gaponi o zamachu na niego, a on udał, że bierze to pod uwagę. Pokiwaliśmy się wzajemnie w dobrej sprawie. Jestem z nim, kiedy trzeba, a on rewanżuje mi się gościna. Układ prosty jak drut.

– Mogę udać, że w to wierzę, Darek. Czego się nie robi dla dawnych kumpli. – Czub był już nieco zniecierpliwiony. – Nawet gdy przygrają gnatem, czy co tam masz w zanadrzu.

– Na twoim miejscu bym nie udawał – powiedział poważnie Darek. – Pamiętasz, co bełkotaliśmy w mikrofon o tym Cyganie z Szegedu, który przeciwnikom łamał kości? Że nie ma z nim żartów. Nie przypominam go? Spójrz, Czub, nie przypominam?

Ale Czub nie spojrzał ani nie odpowiedział. Opony zabuksowały na żwirze i auto zniknęło w kurzu, który został po lecie.

– Kruche jest nasze istnienie i najczęściej byle jakie. Od trwogi do trwogi. Ale upływać może w mroku lub blasku. Obiecuję wam blask. Pamięta pan te słowa, generale?

Apatyczny spokój, z jakim generał przyjął Gaponię w sali tronowej Domu Centralnego, nie wziął się znikąd. Jakby Gaponia wniósł wraz z pierwszą tej jesieni ulewą moc, którą ukrywał lub którą mu ktoś podpowiedział, a generała przytłoczyła starość mająca zwyczaj zjawiać się nagle.

– Pierwsze zdanie wielkiej mowy Dona sprzed blisko dekady, zapewniającej mu władzę nad narodem, który zatęsknił za złą baśnią. Potem już było tylko gorzej. Tyrania to nudziarstwo, lecz wyplątać się z niej trudno. Nie minął rok, jak poczuliśmy się nią przytłoczeni. Nasze zniechęcenie było odwrotnie proporcjonalne do entuzjazmu, z jakim obywatele powitali władzę, która przy pozorach surowości i dostojeństwa poszła na wszelkie koncesje z najpodlejszymi instynktami ludzkiego stada. Zgadza się?

Generał przymknął oczy i pobladł, piękny jak nigdy, lecz już poza pozycją, uzurpacją, hipokryzją. Już drugorzędny, wyprany z siebie, jak jego zgraja intendentów, dykasterów, stewardów, nomenów wszelkiej maści, przewalająca się po holach, korytarzach, miejscach narad, gabinetach w pogoni za niezobowiązującym zajęciem, usprawiedliwiającym ich nikomu niesłużące stanowiska. Ta cała plebejska menażeria, pozbierana z najniższych nizin, trzymana przy pysku ku jej zadowoleniu. Gigantyczny gabinet, synonim władzy i bezdyskusyjnego podporządkowania, wypełniała niemoc tak namacalna, że chciałoby się ją wyrzucić kopniakiem za drzwi lub na odwrót, oswoić i udomowić, by się ze sobą nie obnosiła na zewnątrz. Tak czy owak, po cynizmie, który obok czarnych cygaretek i powierzchownej uprzejmości był zapachem tego miejsca, nie został ślad. Jeszcze nie wśliznęła się do środka katastrofa wraz z całym swym zgiełkiem, ale można było przypuszczać, że zbiera się czarnymi chmurami wokół i czeka na okazję.

Odmieniony, choć fizycznie nieustająco nikczemny Gaponia, miało się wrażenie, że jeszcze wyższy i chudszy niż zwykle, stwarzał szansę na łagodne przejście z bytu w niebyt, jeżeli między jednym a drugim była jakaś zauważalna różnica.

– Zapytam o blask, generale. – Gaponia nie sprawiał wrażenia skrępowanego. – Widzi pan gdzieś blask?

General spoglądał przed siebie ze smutkiem, jaki przywołuje starość nawet zasobna, bezpieczna, wolna od trosk, nawet piękna. Odezwał się z niedowierzaniem:

– Dziś rano opuścili mnie wszyscy. Stawiłem się jak zawsze przed ósmą i wokół siebie dostrzegłem pustkę, choć Dom Centralny jest pełen jak nigdy. Gdy kilka dni temu dolny dykaster zawiadomił mnie o wizycie Czuba w pańskim pensjonacie nad Bugiem, uznałem to za jeden z tych jałowych gestów, którymi ta hołota lubi się czasami poekscytować. Dziś wiem, że nie miałem racji.

– A blask?

Generał zaprzeczył ruchem głowy.

– Mrok?

– Szarość. Jak zwykle.

– A lud myślał, że to ten obiecany blask. – Gaponia, co niesłychane, parsknął śmiechem. – Patrzcie, mówił lud, w jakim blasku jesteśmy skąpani.

– Tak mówił? – Generał spróbował powstać zza biurka. – Nie wiedziałem.

– To was jednało. Don, podobnie jak pan, generale, przebywał w świecie, do którego lud nie miał dostępu.

– Dlatego jego nieobecność tak mnie zasmuca. Bo odszedł?

– To zależy od kontekstu.

– Jaki jest mój kontekst?

– Taki, że Don umarł.

– Od dawna przyzwyczajam się do tej myśli.

– Tym łatwiej będzie panu ruszyć za nim.

– W tej sprawie pan przybył?

– W tej, generale. Niech pan rusza za Donem.

Moment strachu wytrącił generała z apatycznego spokoju, w jakim tkwił od dobrego kwadransa. Strony zrobiły się dzikie, obyczaje – okrutne. Czemu Gaponia, jeden z notariuszy tej rzeczywistości, miałby być inny? Czy jego safandulowatość przywołująca na myśl poczciwość, a nawet bezbronność, nie jest wybiegiem? Czy nieznaną generałowi gorączkowa energia niezapowiedzianego gościa nie jest naturą, jaką ukrywał lub, co gorsze, w sobie odnalazł?

– Za Donem? – zapytał niepewnie generał. – Co to oznacza?

– Podróż, panie generale.

– Podróż?

– Tak bym powiedział.

Generał zamienił całą swoją grandezę, szarm, wdzięk w pokorę, gdy podniósł się zza biurka, gigantycznego mebla niemającego już z nim żadnego związku. Deszcz zmywał z szyb wielkich okien kurz lata, tworząc wymyślną geografie zacieków. W gabinecie, zwanym salą tronową, było ciemniej, niż sugerowałyby to jesienny już dzień.

– Mam syna w Vancouver – rzekł cicho generał. – Dobrze się tam urządził.

– Piękne miejsce – równie cicho powiedział Gaponia. – Znam je z pocztówek i folderów.

– Nad oceanem. – Generał był już poza swoją salą tronową. – Jest tam dobre, niezatrute smogiem powietrze i wielkie lasy w górach.

– Nie wątpię. – Ton Gaponi był protekcyjny, choć mu na tym nie zależało, bo lubił generała i nie podzielał opinii Dona, że generał to wyłącznie dekoracja. – Niech pan mnie posłucha. Do Bożego Narodzenia czmychną wszyscy. Ale się nie ukryją, bo niby gdzie? Zapowiada się męczący finał, który pana ominie. Jest pan szczęściarzem. Zresztą, kto miałby nim być, jak nie pan? Ja nie mam syna w Vancouver.

– A co pan zamierza... Gaponia?

– Oszukać przeznaczenie. Wyjść poza swój los. Raz w życiu mu się nie poddać. Nie posłuchać siebie.

– Takie rzeczy czasami się udają.

- Czasami.
- Jest pan dla mnie bardzo uprzejmy, Gaponia.
- To tylko rewanż.

Generał stał zwrócony twarzą ku oknom, za którymi było tylko szare niebo i deszcz.

- Dobrze i to – szepnął i już go nie było.

Gdy Gaponia szedł niekończącymi się korytarzami ostrożnym krokiem zamorzonego żurawia, w szpalerze zaciekawionych spojrzeń wałkoniącego się tłumu durniów nieprzypisanych żadnym zamiarom, projektom, idei, a nawet myśli, poza cwaniactwem, w jakim się zaprawili, po raz pierwszy zaciekawienia jego obecnością nie podszywało lekceważenie. Raczej pytanie, czym będzie obrót steru dla kursu, jaki obiorą. I czy portem nie będą przypadkiem skały, o które się roztrzaskają.

Wiem za dużo, widzę za ostro, słyszę niesłyszalne, czuję nieodczuwalne, jestem ponad wszystko, za mądry by działać, powtarzał sobie w duchu Gaponia, przypatrując się Darkowi forsującemu rzekę w łódce, która kilka dni temu spłynęła z prądem z wiosłami ułożonymi równolegle na jej suchym dnie, jakby ktoś ją im sprezentował. Opieram się światu, rzeczywistość ma ze mną kłopot, bo po raz pierwszy jej nie rozczarowuję. Spotykam ludzi z jej rozdania, rozmawiam z nimi, przekonuję, wymuszam decyzje, szantażuję, lekki jak piórko, zawieszony w powietrzu. A mimo to uzyskuję przewagę nad tymi z ciężkim krokiem maszyn do istnienia. Przyglądam się ich powłokom, ich ciałom, o których niewiele wiedzą, nawet jeśli poświęcają im czas, bo te ciała niczego im nie komunikują, rozleniwione własną użytecznością. Domyślam się ich skór brązowiejących na słońcu tak szybko, jak szybko ich myśli zamówią ten efekt. A jeżeli zjawi się znużenie, to wraz z łatwym snem, który po siedmiu godzinach je unicestwi. A kobiety nie są dla nich zagadką i dotyczy to nawet siedemdziesięcioletniego generała. Nie ma w nich nic, co by ich płoszyło przed niesprawdzonym, gdyż są maszynami do istnienia, a ich krok, nawet gdy się skradają, jest ciężki. Bo krok lekki podpowiada trwoga, z którą im nie po drodze, o której im opowiadano, lecz oni nie uwierzyli. Trwoga? A przed czym?

– No właśnie? – zapytała dziewczyna, odkładając jakiś bezużyteczny elektroniczny gadżet o nieznanym przeznaczeniu, który ją pociągał.

– Co właśnie? – Gaponia spróbował przewiercić ją wzrokiem na wylot, ale mu nie wyszło. Przeszła tę drogę, pomyślał, czy udaje, że przeszła, by mnie znieczulić na swoje prostactwo? Zrobiła coś dla siebie czy przeciw sobie, zważywszy wygodę życia bez przewidywania nieszczęść, jakie nas mogą dotknąć, zranić, doszczętnie zniszczyć, ale też obok radości, miłych niespodzianek, zachwyków, niech będzie, że przelotnych.

Piekli kartofle na ugorze. Zmierzchało długo, przeszli dymem, zszarzeli od

niego. Październikowy wieczór służył ciepłem, na jakie nie należy dać się nabrać, gdyż lubi zaziębiać. Miedzą, którą pozostawiono nie wiadomo komu, przechadzała się ostatnia najpewniej kura bażanta, zdumiona pustką stron jeszcze za jej pamięci pełnych istnień, które potrafiła rozróżniać. Przypatrywali się jej całą trójką.

– Zostawili mnie z tym samego – poskarżył się Gaponia, mieszając kijem w popiele. – Bez nich bym się tam nie dostał, lecz kiedy wyważyli drzwi do gabinetu, zostawili mnie z tym samego.

– Czemu? – zapytała dziewczyna wyraźnie tego nieciekawa.

– Bo byli z Sandhurst, West Point, Saint Cyr, bo przekonano ich do prawa.

– Lub raczej wytresowano – wtrącił Darek. Miał wargi czarne od spalonych kartofli.

– Lub raczej tak – zgodził się Gaponia. – Oficerowie zrobili, co przynależy armii, co przynależy katom, zostawili mnie. To wbrew umowie, ja im na to, a oni, że w zgodzie z żołnierskim honorem i to przesądza sprawę. Macie pojęcie, zostawili mnie z tym samego.

– I co? – Dziewczyna patrzyła w resztki ognia.

– Zrobiłem swoje.

– To znaczy?

– Wszedłem do środka w krąg światła stojącej lampy. Kaligula założył okulary i zapytał, czemu zawdzięcza ten zaszczyt. A ja mu na to: A jak sądzisz, synu?

– Tak go zapytałeś?

Ogień, w który wpatrywała się dziewczyna, ledwo dychał.

– Jasne.

– Co sądził? – zapytał Darek.

– Powiedziałbym, że nic – odrzekł Gaponia. – Wygarnąłem mu między oczy, a ten wstał, jakby to, co dostał, było stanowczo niewystarczające, i ruszył ku oknu albo drzwiom. Miał dwa życia jak każdy kot. To drugie zgasilem strzałem w potylicę, co przesądziło sprawę, bo z kilku metrów opryskał mnie mózg i odłamki kości Kaliguli.

– Fabi, Jezu – dziewczyna westchnęła, nie odwracając wzroku od



roziskrzonego popiołu – co ty wygadujesz.

Gaponia też nie przestawał patrzeć w dogasające ognisko. Pomyślał, że z tym kotem coś jest na rzeczy. Bo to był zawsze kapryśny, tajemniczy młody człowiek, jeszcze niedawno ładny, zepsuty do szpiku kości, wyzbyty uczuć, odcięty od wszystkiego co ludzkie jak plastikowa zabawka do składania. Nikt nie próbował wchodzić z nim w spór i uważano, że Don też tego unikał. Niezbędny, lecz niebezpieczny, z niezawodną pamięcią o rzeczywistych lub urojonych despektach. Czynił zło, jak zdarza się to dzieciom, z bezrefleksyjnym okrucieństwem, gdyż był nieznośnie infantylny w swych przesadnych emocjach, które go nie ośmieszały, tylko prowadziły do przewagi nad oponentami, a byli nimi wszyscy, którzy go nie adorowali, gdyż w miarę zdobywania pozycji oczekiwał już nie akceptacji lub posłuchu, lecz hołdu. Wchodził Donowi bezczelnie w szkodę, co ten zdawał się koncesjonować. Był okrutnym dzieckiem, które męczyło się w zgrabnej postaci młodego nienagannie ubranego mężczyzny z twarzą zwiastującą wszystko, co najgorsze, zmierzającą nieuchronnie ku splotowi wynaturzonych grymasów, jakie już nie ustąpią. Był wcielonym złem bez wdzięku łajdaka, familiarności zdarzającej się oprawcom, autentyzmu tyranów. Spowijała go urzędnicza nuda, której nie wzruszały ścigające się ze sobą obsesje. Nuda mu była matką, a ojcem kto bądź. Był przykładem bękarta, z którym los, nie wiedząc, co począć, zabawił się w ślepią babkę. Na pytanie Dona, zadane lata temu, czy ten chłopiec odpowiada za siebie w takim stopniu, w jakim jego ofiary miałyby prawo do zemsty, Gaponia odrzekł, że w żadnym wypadku, że ten młody potwór swoim infantylizmem wywalczył uniewinnienie. Jest niewinnym autorem systemu, który na zbrukanym niemocą, zwątpieniem, starością kontynencie nie ma sobie równych w bezmyślnej opresyjności, rzekł wtedy Gaponia, przypatrując się ożywionej twarzy Dona, ale przyszłość nie weźmie pod uwagę jego niewinności. Niewinność, szefie, nie uchroni go. Jeżeli przyszłość zdąży wymierzyć mu sprawiedliwość, mój drogi Gaponia, na to Don. Lub niesprawiedliwość, szefie, poprawił go Gaponia, a Don stwierdził wtedy, że to na jedno wychodzi.

– Na jedno? – zapytała dziewczyna.

Gaponia odpowiedział, że w przypadku Kaliguli na jedno. Wymkną się wszyscy poza nim.

I jakby o tym wiedział, Kaligula nie opuszczał swej twierdzy i próba wywabienia go z pałacu Dołmontowiczów na obrzeżach stolicy była skazana na porażkę. Jeżeli przemierzał miasto, to w asyście kilku land cruiserów wypełnionych złoczyńcami, sam w hummerze, jadąc do sprawdzonych wcześniej miejsc zajętych na czas wizyty przez resztę jego grandy. To był powód, dla którego jego kontakty z nomenami nawet najwyższych szarż ograniczały się do telefonów, a Don, dopóki sprawował realną władzę, porozumiewał się z nim listownie.

Wieczór przeszedł już w noc, dziewczyna nie ustawała w ciekawości, Darek przeciwnie – zdawało się go to nie obchodzić. Wyłuskiwał kartofle z popiołu, bo gdzieś je wcięło, jak to bywa, gdy się ich podczas pieczenia nie ma bez przerwy na oku. Doszukał się trzech raczej zwęglonych.

– Zabiłem go – powtórzył Gaponia.

Dziewczyna zapytała, czy to udawanie go bawi, a Gaponia odpowiedział, że w jakimś stopniu.

– Kiedy tam wtargnąłem z odbezpieczonym pistoletem czy rewolwerem, którego nie umiałbym użyć, mając za plecami zaciekawionych oficerów sił specjalnych z pięcioosobowego komanda, które w kilkadziesiąt sekund rozprawiło się z ochroną Kaliguli, jego już w gabinecie nie było. Dał nogę sekretnym wyjściem, które odkryliśmy. Biurko zaścielały podpisane przez niego wyroki, nakazy aresztowania i zwolnień. Kontrolował wszystko już bez żadnej gry z pozorami prawa, a w jego łaskach była też dzika przemoc.

– Czub to chojrak – rzekł Darek, próbując w wytoczonym z popiołu kartoflu doszukać się czegoś, co nie byłoby węglem. – Kaligula to wąż. Na chojraka starczy większy chojrak, z węzem trudniej.

– W pełni podzielam pański pogląd, panie Darku – odpowiedział Gaponia. – Kaligula nie powinien przeżyć.

Godzinę później dziewczyna, leżąc u boku Gaponi w jego pokoju, zapytała, czy gdyby Kaligula nie miał sekretnego wyjścia, to Gaponia zrobiłby to, co

miał do zrobienia.

– Byłbym bez wyboru. Oficerskie komando by mnie w tym nie wyręczyło.

– Zabiłbyś go?

– Bez wahania – odrzekł, wiedząc, że błąźnie, i wiedząc, że tę błazenadę dziewczyna przejrzała, nim ją zagrał.

– Więc nadajesz się na prezydenta. – Zachichotała i objęła go takim uściskiem, że na chwilę stracił oddech.

– Nadajesz się na prezydenta – powtarzała dziewczyna wczesnym przedpołudniem podczas śniadania, które po raz ostatni w tym sezonie postanowili zjeść na tarasie pensjonatu, choć dzień ku temu już nie skłaniał.

Pies Mado leżał u stóp Gaponi coraz bardziej rozczulonego jego przywiązaniem. Mado, nie przestając czuć respektu przed Darkiem, uznał Gaponię za swego pana i przyjaciela i do sympatii, jaką obdarzał go od pierwszych wspólnych chwil, doszedł szacunek i posłuszeństwo.

– Nikt nie może z tobą konkurować, Fabi – mówiła dziewczyna, zajadając się pieczywem; miała apetyt w związku z ciążą, a może młodością, zdrowiem, a może nadzieją zmiany swego statusu niepraktykującej od pewnego czasu prostytutki na pierwszą, było nie było, damę. – Nie możesz przeoczyć żadnej szczeliny, przez którą zechciałaby się przecisnąć ambicja jakiegoś palanta w rodzaju Czuba czy kogo tam. Weź to tak, jakbyś miał już ugadane z kim trzeba, nawet jeżeli nie masz.

Gaponia zapalił slima. Wraz z dymem wciągnął do płuc powietrze przesiąknięte mgłą, która nie chciała opaść, blokując niepewne, jak to jesienią, słońce. Nadrzeczne trawy, z natury mocne i długo zielone, nie odzyskały koloru po kilkutygodniowym afrykańskim upale, podobnie jak chwasty zarastające wąwozy, a ziemia mimo deszczów pyliła.

– Żaden z tych kutasów otaczających Dona – mówiła dziewczyna – nieważne z którego pierścienia, nie może ani na moment dopuścić do siebie myśli, że mógłby się stać w nieodległej przyszłości kimś innym, niż jest. Jak nie spadnie niżej, niech się kłania opatrności i chwali Pana. Kto nie przyzwyczaił się do myśli, że w tym rozdaniu nic nie ugra, jego strata. I za każdym razem, Fabi, twój zysk.

Ruszyli brzegiem rzeki, ścieżką, którą wcześniej wydeptali. Rzeka opadła, naznaczona teraz łąkami piasku, który nie był złoty, podobnie jak jesień z przyczyny morderczego letniego skwaru. Wszystko pochłonął brudny brąz.

Dziewczyna była apodyktyczna i prostacka, jakby delikatności wystarczało jej na krótkie zdania, pytania niedopominające się odpowiedzi, odległe myśli, a kiedy składały się w sekwencje, traciły wszystko, co Gaponię wzruszało. Słowa dziewczyny rwały potokiem nieumiarkowania i nieznośnej podmiejskiej intonacji, ordynarnej frazy, niebiorących się z przykładu, lecz z charakteru. Powtarzała do znudzenia, że Gaponia nie może przeoczyć tej szansy, zaniedbać tego, co ofiarowuje mu przeznaczenie, i nie zapanować nad hołotą, której nie powinno się zdawać, że coś znaczy. Że ma przestać wmawiać sobie słabość, bo od tego wmawiania zdziwaczał, że żał patrzeć, że ma rozjechać, co jest do rozjechania, nawet gdyby miała połączyć się krew.

– Nawet wtedy? – zapytał Gaponia, a dziewczyna odrzekła, że weźmie to na siebie, gdyby miało to zaważyć na jego sumieniu.

– Mówisz o grzechu? – Przystanął, obserwując psa buszującego w krzakach nie wiadomo za czym, bo wszystko już było martwe.

– Nazwij to sobie, jak chcesz. – Dziewczyna była widocznie zdecydowana pokazać się taką, jaka jest.

Wcale nie taką, myślał Gaponia, jaka była jeszcze niedawno, gdy szukała oparcia w kimś, kto jej nie skrzywdzi. Kto ją znudzi, zirytuje, zasmuci lub rozbawi, lecz nie skrzywdzi. A teraz Gaponia miał wrażenie, że stracił w dziewczynie to oparcie, na jakim mu całe życie zależało, na rzecz takiego, jakie może go przytłoczyć i zniszczyć.

Dwa dni później wyznaczono Gaponi miejsce i godzinę spotkania z prezydiami obydwu izb parlamentu tak imperatywnie, z taką tęsknotą za znaczeniem, jakby od tych szczątków demokracji miało w czasie przełomu coś zależeć.

– To niezgodne z konstytucją – oznajmił marszałek senatu kształtem przypominający jajko, który dzielny zyciorys z czasów realnego socjalizmu rozmiął na drobne.

– Nie zaprzeczam. – Gaponia nieproszony zajął jeden z foteli za historycznym stołem. – Tyle razy łamaliśmy ją w złej sprawie, więc raz złamiemy w dobrej.

– Nie mamy kandydata – odezwał się jeden z czterech wicemarszałków

izby niższej, desygnowany na to stanowisko przez partię, która od lat już nie istniała.

– Bez znaczenia – odpowiedział Gaponia.

– Jak to bez znaczenia? – obruszył się ten z senatu. – Panie...

– Grabowski – podpowiedział Gaponia.

– Nie wiedziałem. Grabowski; nawet nie wiedziałem.

Nonszalancja pokryła skrępowanie Gaponi, ale skrępowania był pewien, a nonszalancji nie. Poza wszystkim przytłoczyło go też miejsce – jedno z tych nielicznych, które wbrew wszystkiemu wokół zachowało urodę i elegancję, wymuszając na postronnych pokorę.

– Znajdzie się, panie marszałku.

– Kto?

– Kandydat. Kandydat się znajdzie.

Czuł gorączkę, pulsowały mu skronie, zwykle blada twarz spurpurowiała, jakby miała eksplodować. Korytkami żeber spływały strużki potu.

– Działam w waszym interesie, panowie. – Głos powędrował mu w górę. – Jesteście członkami zgromadzenia, o którym zapomniano, ale teraz obywatele mogą sobie was przypomnieć i zapytać, kto was wybrał i kiedy. Jaka będzie odpowiedź, panowie? Produkujeście ustawy, przepisy, akty wykonawcze, które trafiają w próżnię. Jeżeli nic nie uczynicie, zostaniecie pogonieni w przepaść, jeżeli wybieriecie prezydenta, przedłużycie mandaty na tak długo, jak długo nie dojdzie do nowych wyborów, a to potrwa. Zapewniam panów, że taka byłaby wola Dona, gdyby mógł ją wyrazić. To nie będzie wasz kres, panowie. To dla niektórych z was będzie nowy początek. Zatem zwołajcie deputowanych i wybierzcie prezydenta, o którym dowiecie się niebawem, że jest jedynym kandydatem na to stanowisko.

– Tak im powiedziałaś, Fabi? – Dziewczyna uważna była i sceptyczna. Z tą próbą uzurpacji nie było jej do twarzy, bo ordynarniała.

Gaponia skinął głową.

– Następnym razem – rzekła dziewczyna posepnie – wybiorę się tam z tobą.

Złe instynkty miotające państwem, nieważne już przez kogo wyzwolone, zniosły się tedy wzajemnie do szczętu i nastąpiła pustka z odrazą do życia, która zajęła miejsce jeszcze niedawnego chojrackiego zadowolenia. Wojna wydana w imieniu obywateli duchowi indywidualizmu została przegrana. Naród niegotowy na losy indywidualne nie chciał już dłużej być gromadą, więc ujmując rzecz najogólniej, chuj wie, czego chciał. Bo powszechne oburzenie na opatrność po karkołomnym lecie, które dało obywatelom w kość, jak żadna pora roku, jaką sobie próbowano przypomnieć, włącznie ze straszną zimą roku osiemdziesiątego, powszechne oburzenie na Stwórcę, ideę lub ich nieobecność, ślepe wyroki losu, niesprawiedliwe rozdania, niespełnione obietnice, bezbronność wobec zdarzeń zdawałoby się raz na zawsze ujarzmionych, deprecjacja wszystkich celów, uliczne bezprawie, chamstwo godzące nawet w tych, którzy jeszcze niedawno się nim popisywali, nieznane od dziesięcioleci kłopoty aprowizacyjne – wszystko to nie sprzyjało pozycji, z jakiej dałoby się gdziekolwiek ruszyć. Kogokolwiek i gdziekolwiek zapytać, odpowiedź była jedna i bezsilna: Wystarczy. Może było nieźle, naprawdę nieźle, nieźle, jak nigdy wcześniej. Ale wystarczy. Powtarzał to lud i ci ponad nim: namiestnicy prowincji, ministrowie pełnomocni, którzy zastąpili konstytucyjnych, wojewodowie, starostowie, wójtowie, sołtysi, każdy właściciel najlichszej nawet władzy.

Po latach bezruchu i związanej z tym wygody członkowie Zgromadzenia Narodowego z bardzo wątpliwym statusem obywatelskim, wybrani i niewybrani jednocześnie, wyalienowali się do cna, lecz przez szczelinę między fikcją a życiem na zewnątrz dostrzegli próżnię, którą trzeba było czymś zapełnić, choćby nawet pozorem wypowiedzianym przez byle kogo. I byle kto się zjawił. Jak na zamówienie. Trzeba się było trochę odąć, ująć honorem, zatrzepotać godnością, poprzekomarzać, ale przystać. Bo co w zamian? Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu i trzeba było wyjątkowo

grubej skóry, by tego nie poczuć. Nie uświadomione, lecz wyczute, kierowało myślami dziewczyny, za którymi szły czyny. O poranku, gdy zanosilo się na deszcz, a być może pierwszy tej jesieni śnieg, zdecydowała, że ruszy z Gaponią do stolicy, gdy zobaczyła go przez kuchenne okno. Obchodził swego brudnego jak nieszczęście focusa, jakby miał kłopot z odnalezieniem drzwi. Uderzyła w szybę i krzyknęła:

– Zaczekaj, Fabi! – Po chwili wybiegła w samej bluzce rozpiętej na piersiach, choć dzień był już październikowy. – Minutka, Fabi – pewna była swego – jedziemy razem.

– Dokąd? – zapytał Gaponia.

– Ogarnę się i w drogę – odpowiedziała.

Gaponia poczuł obręcz stalową na czaszce, a na policzkach skórę, która zapłonęła.

– Nawet nie próbuj – warknęła dziewczyna, widząc, jak zajmuje miejsce za kierownicą.

– Czego?

– Wiesz czego. Jadę z tobą.

– Raczej nie. – Gaponia odpalił motor.

– Kurwa, pojedę, jak jestem, jeżeli ci to bardziej pasuje.

– Nie pasuje. – Gaponia też podniósł głos, lecz nie ruszył.

Darek zjawił się jak duch. Dwa kroki za nim Mado. Zawiał wiatr od rzeki i dziewczyna zadrżała z zimna.

– Spasuj – odezwał się Darek cicho, jakby mówił: Nie wyklócaj się o głupstwa.

Dziewczyna zapytała dlaczego.

– Powiedziałem, spasuj – powtórzył swoje jeszcze ciszej.

– Przecież...

– Powiedziałem – wyszeptał Darek przez zaciśnięte zęby i dziewczyna wycofała się ze swego pomysłu, gdyż знаła takich jak Darek, który w przeciwieństwie do Gaponi był swój, to znaczy, że można się było po nim spodziewać najgorszego, a to przyjdzie mu jak splunąć.

– Zimno jakoś – rzekła, zapinając bluzkę na piersiach.



Stali po kostki w kruchych liściach, które wiatr przyniósł nie wiadomo skąd. Nic nie było na swoim miejscu, nawet ten październikowy chłód ciągnący od rzeki i łąk za nią.

– To pogrzeb – rzekł Darek, patrząc za odjeżdżającym autem.

– Czyj pogrzeb? – zapytała.

Darek uśmiechnął się blado i rzekł nie bez satysfakcji:

– Już, w zasadzie, nikogo.

I tak to wyglądało na miejscu. Urnę z prochami generała wstawiono do kolumbarium powązkowskiego cmentarza w asyście kilkunastu osób, wśród których było kilku zaledwie nomenów z Domu Centralnego. Rozpadało się na dobre, a nie wszyscy mieli parasole, więc ceremonii towarzyszyło zniecierpliwienie. Gaponia rozglądał się po tym rozległym parku dla umarłych, ocalałym z powszechnej dyktatury brzydoty, której Don, obojętny na piękno, się nie przeciwstawiał. Pomyślał o strasznej zatopionej w ponurej monotonii nekropolii, gdzie pochował matkę, i o tym, że nie zasłużyła na takie miejsce i takie zapomnienie. Miał przed sobą dziewczęcą sylwetkę niemłodej już kobiety, która mu się przedstawiła nazwiskiem, ale nie dosłyszał. Powiedziała, że nie pochwała samobójstw, lecz dla jej wuja to było jedyne dobre wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Nic z tego nie pojmuję – rzekł Gaponia. – Z takim entuzjazmem opowiedział o swojej podróży do syna w Vancouver, o jego restauracji i swoim przyszłym zajęciu.

Ładna niemłoda już pani odpowiedziała, że wuj nie miał syna, że trzy jego małżeństwa nie trwały długo ze względu na skłonność wuja do młodych, zbyt młodych panienek, które chętnie mu ulegały.

– Wuj nie miał dzieci – rzekła ładna pani z żalem – i pan musi o tym wiedzieć.

Akurat nie wiedział, ale też przysłuchując się planom generała na najbliższą przyszłość, nie bardzo w nie wierzył. Za łatwe to było, za transparentne, nawet jak na człowieka, któremu życie nie skąpiło względów. Padało coraz mocniej. Ksiądz uwiął się z modlitwą tak szybko, jak to możliwe, i odjechał jedną z alej elektrycznym wózkiem. Za nim podążyła reszta. Gaponia postanowił chwilę jeszcze zostać przed kamiennym kolumbarium z kilkuset okienkami, za którymi w urnach stali ludzie obróceni w proch. Nad nekropolią krążyło stado gawronów, wiernych

uczestników ostatnich pożegnań. W cmentarnej bramie zaszedł Gaponi drogę młody człowiek, którego wśród żałobników nie było. Z runda kapelusza spływała mu woda. Zapytał Gaponię, czy go pamięta, i nie czekając na odpowiedź, poinformował, że był jednym ze stewardów w Domu Centralnym.

– A teraz kim pan jest? – zapytał nieciekaw tego Gaponia.

– Członkiem zarządu pierwszej dykasterii – odpowiedział młody człowiek.

– Więc gratuluję awansu. – Gaponia nie krył zniecierpliwienia. Woda z parasola spływała mu na barki i plecy.

– Nie w sprawie mego awansu pana zaczepiam, lecz wiedzy, jaką posiadam bez związku z moją nominacją.

– Słucham.

– Wiem, gdzie przebywa prokurator generalny i kto go kryje.

– Ja też – skłamał Gaponia.

Młody człowiek się nie zmieszał. Pochylił głowę i rzekł z konfidencją niemiłą jak zły oddech:

– Trzy lata temu podczas jednej z operatyw w Domu Centralnym Don pochwalił mnie publicznie za cynizm.

– Słusznie?

– Jak najbardziej. To cynizm kazał mi podejść do pana i podzielić się wiedzą, która okazała się bezużyteczna.

– Cynizm nie jest czymś, co chciałbym wyróżniać – odpowiedział Gaponia – nawet gdyby miał mi służyć. Nie w tej sprawie byłem z Donem.

– Bo to nie było konieczne. Każdy człowiek ma ciemną i jasną stronę. Don nie poszukiwał w panu ciemności, bo sam nią był. Panu ciemność się przyda, by uzupełnić jasność.

– Po co?

– Znalazłbym się w głupiej sytuacji, gdybym to tutaj panu próbował tłumaczyć, ale pan przecież wie, o czym mówię i co panu proponuję. – Były steward zdjął kapelusz. – Nazywam się Nadbrzeżny. Czy pan potrafi mnie sobie zapamiętać?

– Nie sędzę. – Gaponia był o głowę wyższy i nie bardzo wiedział, jak się do tej różnicy odnieść. – Nie, w żadnym wypadku.

– Więc pozwolę sobie się przypomnieć, gdy będzie się pan rozglądał za kimś, kto mógłby pana wyręczyć w kwestii niegodziwości. Nie znajdzie pan nikogo odpowiedniejszego, panie prezydencie.

Prezydent? A więc tak łatwo, jawnie, bezwstydnie, tak wbrew sobie? Z takim jak na jego letnią naturę żarem. Z nieurzeczywistnionym nigdy pragnieniem najcichszych przyjemności: spokoju, wręcz nudy, nieobecności bólu, strzępu piękna niezauważonego przez innych, do tego dwóch najniewinniejszych nałogów i zaufania zwierząt. Czy w związku z wymuszoną na mnie misją może mi się to nigdy nie zdarzyć? Czy naprawdę zdecydowałem się igrać z ogniem? A jeżeli tak, to w imię czego? Gaponia niósł nad sobą rozłożony parasol jak baldachim, mimo że deszcz ustał. Niewypowiedziane śmieszny, groteskowy, żałosny jak zdarzenia, które zaplatał w splot, samozwańczy sternik nawy, której załoga postanowiła nic nie wiedzieć o kursie, jaki biorą, nawet gdyby to miał być kurs na obłąd.

Bo tak to wyglądało nawet w gangach. Obłąd nie obłąd, ale niech tu ktoś pozamiata, mówił kraj do niedawna w duchu, od niedawna wprost. Punkt oparcia się zapadł, cokolwiek skruszało, nie było się do kogo odnieść. Pytanie: żyje Don czy nie żyje, nie znajdowało odpowiedzi, bo mało kto je sobie lub innym zadawał. Don przeszedł do historii, ale się w niej nie ostał. Nawet na chwilę. Tak jak od kilku już lat był poza realnym życiem, tak teraz nie było go nigdzie z nicością włącznie. Jakby się nie narodził. Don? – pytano. – A kto to był? Tylko pozazdrościć, pomyślał Gaponia, wieziony przez Darka na drugi brzeg Bugu łódką sprezentowaną im przez rzekę. W planach mieli spacer łąkami do granicy sosnowych lasów wspartych o wschodnie Mazowsze; Darek dla zdrowia, Gaponia, by ochłonać. Poranna wizyta oficerów z rozformowanych jednostek specjalnych, którzy zadeklarowali poparcie dla działań Gaponi, jeżeli nie wejdą w konflikt z interesami państwa, stał się dzwonkiem na alarm. Gaponia wszedł do wody i porwał go nurt. Decyzje nawet w najbliższych sprawach nie przychodziły mu łatwo. Jego naturalny bezwład nie brał się ze skazy charakteru, lecz ze ścigających się ze sobą na dolegliwości fizycznych dysfunkcji, które najtwardsze usposobienie zamieniają w galaretę. Był jak sito, przez które przeciekała każda okazja mogąca go wynieść ponad przypisany mu los. Przyglądając się zwałistej postaci Darka mocującego się z prądem rzeki, pomyślał, że wszystko, co dobre w istnieniu, bierze się z bezmyślności, że Darek, niewątpliwie inteligentny, jest jednocześnie wypłukany z rozumu, który by mu nie pozwolił nabrać takiej zwierzęcej krzepy i zdać się na nią w zasadzie wyłącznie. Zacumowali wśród omszałych kamieni i Darek pomógł Gaponi wyjść z łodzi. Ruszyli przed siebie po łąkach, które miejscami stepowiały, co czyniło je przyjaznymi wędrówkom, w przeciwieństwie do ugorów po prawej stronie rzeki, zrytych rozpadlinami i wąwozami. Powietrze było tu naprawdę krystaliczne, a rośliny takie, by przetrwać wszelką ludzką lub Boską opresję,

w przeciwieństwie do zwierząt, które nie przetrwały, wybite do nogi przez myśliwych lub kłusowników, bez różnicy, bo jednych od drugich nic nie różniło. Wolność od prawa, zasad, obyczajów, o współczuciu nie wspominając, jaką im w imieniu Dona podarowano, spowodowała, że rozprawa ze zwierzętami nie trwała długo, więc zaczęto się rozglądać za innymi celami dla strzelb, sztucerów, drylingów, fuzji, jakimi się naród poobwieszał. Po eksterminacji inwentarza przydomowego, jeżeli tylko wyściubił łeb, pysk lub dziób poza ogrodzenie, niektórzy rozglądać się zaczęli za trofeami stojącymi wyżej, co potwierdzały statystyki myśliwskich zabójstw kwalifikowanych jako pomyłki. Gaponi przyszło do głowy, że na tym otwartym, przewiewanym nieustannym wiatrem odludziu są wymarżonym celem dla morderczych instynktów posiadaczy broni, których Don w jednym ze swych dawnych przemówień nazwał solą tej ziemi. Tę możliwość ułatwiała jeszcze szarość pierwszych listopadowych dni i nieodległy już zmierzch. Darek szedł szybko łagodnym wałem ziemnym, odchodzącym skosem od rzeki ze stepową ostnicą i krzakami jałowca. Kępy pochylonych ku wschodowi brzoź, jedynych drzew urozmaicających krajobraz, zatrzymanych w połowie swych możliwości, poskręcanych jak korkociąg, odmierzały im marsz równymi sekwencjami. Gaponia pomyślał, że dał się namówić na spacer po przeciwnej stronie rzeki bez sensu, że w istocie nie zna Darka, że wiara w jego przyjaźń, a choćby życzliwość, jest naiwnością, że Darek mógłby go bez trudu ukatrupić, nie używając do tego narzędzi, że mógłby mu skrócić kark lub jednym wyćwiczonym w gimnazjonach ciosem zmiażdżyć wnętrzności, lub złamać szczękę i przy okazji unicestwić pół twarzy, udusić go albo połamać mu kości co do ostatniej i w worku z ciała wypełnionym bólem pozostawić ni to żywego, ni martwego na tych bezkresnych łąkach, których nikt nie odwiedza. Gaponia pomyślał o tym i się strwożył, starając się dotrzymać kroku swemu przewodnikowi.

Darek, jakby się tego domyślił, zwolnił kroku i rzekł, że sprawy dobiegają swego kresu, a Gaponia mu odpowiedział, że nie wie, o jakie chodzi sprawy i jaki kres. Prawdę mówiąc, nie był najlepszej myśli. Darek zwolnił jeszcze bardziej i tym samym zrównali się w marszu ku dalekiej ścianie sosnowego

lasu, który zlewał się już z niskim listopadowym niebem.

– Ten rok z hakiem, jaki minął w pensjonacie Wrzos, to najlepszy kawałek mego życia. Nie miałem nic lepszego i nie będę miał. Pasowało mi tu wszystko, nawet nuda. – Darek zgarbił się, jakby mu nagle lat przybyło. – Ale nie lubię mieć długów. Gdybym został, tobym je u pana zaciągnął. Taki jestem.

– Nikt nie lubi. – Gaponia przystanął z ulgą. – Co pan zamierza, panie Darku?

– To ja powinienem o to pana zapytać. – Darek obrócił się do Gaponi z rękoma w kieszeniach kurtki i nieobecny spojrzeniem, którego Gaponia nie znał. – Ale tak się składa, że nie zapytam, bo co trzeba, wiem. Nie po drodze nam już, profesorze.

– Nie rozumiem.

– To proste. Wyjeżdżam jutro po śniadaniu.

– Dokąd?

Darek wzruszył ramionami.

– Co pan będzie robił?

– Przepraszam za słowo, panie profesorze, ale ja potrafię przypierdolić. Jeszcze potrafię. Rozumie pan?

Coś bardzo agresywnego i nieprzyjaznego było w tym wyjaśnieniu i pytaniu, podobnie jak w fizycznej bliskości tego groźnego ciała, gotowego, Gaponia nie miał wątpliwości, na każde zło.

– Co tu rozumieć, panie Darku – mruknął, cofając się o krok.

– Ludzie, którzy potrafią przypierdolić – Darek o tyle się zbliżył, o ile Gaponia oddalił – zawsze znajdują sobie jakieś miejsce, dopóki ten świat tak wygląda, jak wygląda. – Spojrzał za siebie z żalem i rzekł tak, by zranić: – Dziewczyna też nie zginie.

– Dziewczyna?! – krzyknął Gaponia i głos mu zadrżał.

Darek nie odpowiedział. Mgielne opary wypełniły każdą najpłytszą rozpadlinę, każde ledwo zauważalne wgłębienie tak, że wracając do rzeki, raz się z nich wyłaniali, innym razem w nich znikali, a nad rzeką oparu już nie można było odróżnić od wody. Przestrzeń była pusta, cicha, posępna

i skończenie piękna. Darek unikał wzroku Gaponi, gdy już w łódce powiedział, że dziewczyna to prostytutka, nigdy nie była tania, miała klientów wśród gości, którzy mogliby tę znajomość Gaponi przypomnieć, że nie zna powodu, dla którego przyłgnęła do tego bezludnego miejsca, kiedy mogła już odejść, że Gaponia musi się od niej odciąć i nigdy do niej nie przyznać. Ringowy bandyta i bladź to nie jest już towarzystwo dla Gaponi, jeżeli kiedykolwiek było. Że to ostatni dzwonek.

– Jak nie wyjedziemy jutro, to nie wyjedziemy w ogóle i co wtedy? Niech się pan nad tym zastanowi, profesorze.



Nie musiał się zastanawiać, by przyznać Darkowi rację. Dziwaczny romans, jaki połączył go z dziewczyną, nie miał przyszłości, nawet gdyby nie była prostytutką, a wiadomość, że jest przy nadziei, miała potwierdzenie w rzeczywistości. Życie jest jednoznaczne, za złudzenia wystawia rachunek, więc lepiej ich nie mieć. Darek wyręcza go w czymś, z czym musiałby się i tak zmierzyć, co przekroczyłoby jego możliwości, z czym upiornie by się męczył i co by go na końcu zabiło. Poza wszystkim lubił samotność, bo jest jego naturalnym stanem, nawet gdyby nie był na nią skazany.

– No cóż, Fabi... – rzekła dziewczyna, gdy omiatał wzrokiem jej doskonałą figurę bez cienia podejrzeń, że nosi w sobie jakieś inne życie.

Napalili w kominku i dziewczyna grzała się w jego ciepłe. Nie miała już w sobie nic własnego, ani duszy, ani ciała, wszystko na zewnątrz jak wtedy, gdy Gaponia poznał ją w foyer nieczynnego hotelu blisko dwa lata wcześniej, by namówić na wizytę u Dona; zdawkową, chłodną, nieobecną, a może tylko doskonale obojętną. Smutek wyprowadził z jej twarzy prostactwo, gdy dopingowała Gaponię do czynów, z których rezultatami nie mogła mieć nic wspólnego. Doszła do tego sama czy z pomocą Darka, było już bez znaczenia. Gaponia miał przejmujące wrażenie, że przepędziła duszę, jaka przez czas pobytu nad rzeką próbowała się w niej zalać, że postanowiła się już nie dać nabrać na los jej nieprzeznaczony.

– Chyba nie masz zamiaru płakać – rzekła miękko, przypatrując się Gaponi już obojętnie, jakby wyjechała i zapomniała.

– Jasne, że nie – odpowiedział, ocierając łzy z policzków. – Nigdy tego nie robię.

Nocą weszła do pokoju Gaponi i po raz ostatni przyłgnęła do jego mizernego ciała. Wyszepiała chłodno jak nigdy: Przecież wiesz, że zostanę. W *Blasku*, jako jedna z kobiet wracających gromadą z kąpieli. Będiesz mnie widział zawsze na tych drewnianych schodach wspinających się skarpą na

wzgórze z domami w ogrodach. I jak one doczekać się nie mogą cienia markiz na werandach i zapachu kawy. Przecież wiesz, że *Blasku* nie opuszczę, nawet gdybyś chciał mnie z niego wygnać. Zostanę w nim, Fabi.

Gaponia powstrzymywał łzy, lecz łatwe to nie było. W opozycji do *Blasku* noc mroczna była jak nigdy dotąd. Ale mimo ciemności, rozdzierających serce słów dziewczyny na pożegnanie, bezpowrotności ich związku, podejrzenia, że Darek zabiera ze sobą to, z czym przybył, nawet jeżeli przybył nieco później, wzruszenie Gaponi było, jak zawsze, przesadne, a sentyment tani. Całą powierzchowność, jeżeli chodzi o dziewczynę i rozstanie, całą płytkość tej emocji studzić zaczął pomysł, który przyszedł do głowy Gaponi na tydzień przed wizytą w Zgromadzeniu Narodowym. Gdy dziewczyna zasnęła młodym snem, którego nie potrafiła powstrzymać żadna troska, porcelanowa i mimo niedawnej profesji nietknięta, Gaponia, zdany już tylko na siebie, rozmyślał o swoim planie, w którym nie było dziewczyny ani jej opiekuna. Nie było Dona, w jakimkolwiek stanie skupienia, rozpadu, bytu i niebytu by się znajdował, mniej czy bardziej przypadkowych kompanów, generała, matki, dziadków, którym zawdzięczał pogodne dzieciństwo, ani nikogo z najodleglejszej pamięci.

**III**

Prezydentura? Jaka, kurwa, prezydentura? Czyś ty z byka spadł, kolego? Nie minął miesiąc, jak dał się złapać na haczyk, niespożyty w głodzie wyróżnień, honorów, zaszczytów, nawet gdyby to się łączyło z poważnym zagrożeniem własnego bezpieczeństwa, nawet gdyby to się łączyło z ryzykiem utraty życia. Ruchliwy, niewysoki, krępy, śniady, z pogranicza Estremadury z Kastylią, gdzie w końcu osiadł, mający w sobie coś z pikadora, na krótkich, kabłąkowatych nogach, z kosym spojrzeniem pustych oczu nierozglądających się za niczym poza wyróżnieniem nad innych. Przywitał się z Gaponią chłodno, dając mu do zrozumienia, że jest on wyłącznie przykrą okolicznością. Nie miał kłopotu z odnalezieniem w pamięci polskich jobów, jakimi najpewniej podtrzymywał się w duchu na obczyźnie. Gdy wkroczył zamasyście do hali przylotów stołecznego lotniska z młodszą od siebie hiszpańską żoną i dwiema córkami, nie wyglądał na ofiarę tyranii, raczej turystę zblazowanego podróżami.

– Nagroda polskiego Pen Clubu to jest powód mojej wizyty! – krzyknął. – I medal. Czy tak?

– Niekoniecznie, mistrzu. – Gaponia uśmiechnął się, co jego drobnej twarzy nie uczyniło pogodniejszą, tylko jeszcze szpetniejszą, jeżeli to było możliwe.

– Niekoniecznie? – Zakręcił się wokół z ręcznie, jakby miał mulecę na szpadzie i był bardzo hiszpański lub może tylko kastylijski w koguciej zadzierzystości. – To co ja tu, kurwa, robię. Co robię w kraju, który jeszcze niedawno groził mi śmiercią i być może grozi nadal? Co ja tu robię w tym ciasnym, śmierdzącym mieszkaniu, do którego mnie zwabiłeś?

– To co w Hiszpanii, mistrzu – odrzekł spokojnie Gaponia. – Ratusz ojczyznę. A co do mieszkania, to nie zaprzeczam. Też go nie lubię. Zajmowała je moja matka. Gdybyś ją poznał, to byś zrozumiał, czemu jest zaniedbane.

– Co ty mi tu, kurwa, opowiadasz o swojej matce. Co ona ma do mnie?  
Miał być hotel.

– Ale nie ma.

– Właśnie widzę. Jak mam tu wprowadzić moją żonę i córki?

– Dwa hotele w mieście, o których powiedzieć można, że się do czegoś nadają, są poza moim zasięgiem; finansowym, ma się rozumieć.

– A Pen Club?

– Daj już spokój z Pen Clubem. – Gaponia postanowił przyjąć konwencję nonszalanckiej irytacji, w której nigdy nie był sobą. Przypomniała mu się wspólna partyjna młodość, kiedy starał się powiedzieć: Nie przejmujcie się, chłopaki, pozorami. Jestem jednym z was. – Nie ma Pen Clubu. Don go ukatrupił lata temu. Skąd ja ci wytrzasnę teraz Pen Club?

Stary poeta wyglądający nadspodziewanie młodo przespacerował się wokół stołu, zgrabnie wymijając graty zbierane latami przez matkę Gaponi nie z przyczyny sknerstwa lub choroby, tylko tej nieśmiałości wobec życia, delikatności dla przedmiotów, które kiedyś wierne w służbie, nie zostały skazane na śmierć, gdy dobiegły swego kresu, ale dostały drugie ciche życie.

– No dobrze – rzekł po kwadransie tego niełatwego spaceru stary poeta. – O co chodzi w tej grze?

– O Polskę – odpowiedział natychmiast Gaponia. – Trzeba jakoś się z tego wydobyć. Pomyślałem, że wybór...

– Kto miałby go dokonać?

– Zgromadzenie Narodowe.

– Zmieniście konstytucję?

– A po co? Nie przestrzegaliśmy jej. To wystarczało.

– Ale to się musi skończyć.

– Po wyborze prezydenta. Don byłby tego samego zdania.

– Baniak? Nie wspominaj mi tej kreatury. – W głosie starego poety była znowu irytacja skierowana nie przeciw Gaponi, jak ta sprzed kwadransa, raczej przeciw idiotyzmowi sytuacji, która jednocześnie wabiła możliwościami. Z utalentowanego sukinsyna, zasłuchanego we własną, zgrabną grafomanię, amatora bab, wina, dobrego jedzenia, niewyszukanych

rozrywek, jedyne z czwórki kompanów nieobciążonego zestawem dysfunkcji, z których każda z osobna odgradzała od życia, jakie wiedli bliźni, zaczął się na oczach Gaponi przeobrażać w zatroskanego losami ojczyzny kombatanta. Podparł czoło dłonią i zwieszony nad stołem myślał. Trzecia wybiła na zegarze z kukułką, której ktoś łeb ukręcił, więc nie wyskakiwała, potem czwarta, piąta, gdy Gaponia wreszcie usłyszał: Nieszczęsny kraj, nieszczęsny naród, więc wiedział, że ta okazja nie przejdzie bokiem, że dekada blisko na obczyźnie wiodła starego poetę nieuchronnie ku temu obowiązkowi.

– Spodobasz się – rzekł Gaponia, przypatrując się zatroskanej twarzy swego gościa, z której, miał wrażenie, spełzła cała hiszpańska smagłość, biorąca się ze słońca i uroków życia, na rzecz bladości Konrada.

– Daj mi czas na namysł. – Poeta westchnął.

Gaponia miał nieodparte wrażenie, że stary poeta przy całym poczuciu moralnej wyższości, mógł się z tym zgodzić – usprawiedliwionej, zazdrości mu tych lat przy Donie. Że los autorytetu na wygnaniu, uzależniony od łaski obcych mu łaskawców, był jak wszystkie te losy bezdennie smutny i jałowy. Że lata, kiedy, w przeciwieństwie do Gaponi, pobłażliwie traktowanego Piętaszka, był równy Donowi, zapracowałyby na jego pozycję, gdy Don już nie tolerował konkurencji. Że nigdy nie zmierzył się z Donem, tylko podkulił ogon i czmychnął, by uzurpatora z bezpiecznej odległości oszczeniwać. Że nieredukowalne poczucie straty boli poetę dotkliwiej niż niepokój związany z udziałem w tym niewybrednym żarcie, przebierance, błazenadzie.

– Daj mi czas na namysł – usłyszał Gaponia ciężkie od frasunku słowa, jakie wymknęły się wraz z nim na przygnębiającą klatkę schodową.

– Nim opuściłem mieszkanie matki, szefie, ten czas minął! – krzyknął Gaponia w pustkę pensjonatu w zakolu dzikiej rzeki. – Stary poeta to łyknął.

Nastał wieczór ciemniejszy od niejednej nocy, a w środku jechało wilgocią i zimnem. Nieobecność kobiety, niechby i kurwy, wymiotła z tych niewielkich, wyłożonych sosnową boazerią pomieszczeń wszelki byt. Jakby nawet to, co nie zależało od niej, przestało istnieć.

– Teraz świat zależy ode mnie, szefie. Jak od nikogo.

Lecz nikt Gaponi nie odpowiedział. Ani Darek, ani dziewczyna, ani duch Dona, ani pies Mado, choć ten się przynajmniej starał.

Bo w pensjonacie Wrzos w zakolu dzikiej rzeki, jakie już w Europie nie płynęły, na wyludnionym południowym Podlasiu, Gaponia został tylko z psem Mado. Wraz z odejściem Darka i dziewczyny miał wrażenie, że jego też tu nie ma i było to uczucie lekkie jak nieprzystawalność, jak pustka. Ani miłe, ani niemiłe, takie z boku. Lata temu odmówił sobie wszelkich względów, przywilejów, a choćby najdrobniejszych podarunków losu. Uczucia kobiet, poza litością, uznał za nieuzasadnione, więc jeżeli się zdarzyły – miał prawo sądzić, że uczucie dziewczyny to coś więcej niż litość – to przeciw bezdusznej zasadzie istnienia, więc obarczone błędem, egzystencjalną pomyłką, która prędzej czy później zostanie odkryta. Dlatego nie przywiązał się do tego związku, a lata treningu w niefolgowaniu sobie w niczym, co mogłoby działać na rzecz jego szczęścia, uczyniły go twardym wobec siebie w istocie ponad ludzką miarę. A jednak gorycz porzucenia tkwiła w nim jak smak lekarstwa. Dotychczasowe istnienie nie przygotowało go na ten rodzaj rozczarowania. Smutki nauczył się przepędzać lub, częściej, przygarniać, jeżeli mieściły się w normie jego zmyślnego życia, żywionego nieustannymi marzeniami. Smutek po nieodwracalnym rozstaniu z dziewczyną należał do kategorii nierozpoznanych, więc nie wiedział, co z nim począć. A poza tym bolał wręcz fizycznie, nie dając się zamknąć w klatce z napisem: melancholia. Gaponia przesiedział więc beczynnie kilka dni w fotelu naprzeciw wygaszonego kominka, ogrzewając się wątlym ciepłem piecyka olejowego, wyjadając resztki z lodówki, dzieląc się nimi z psem Mado, ubrany w dwa szlafroki i okutany kocem. Od rana do wieczora błądził wzrokiem po szpetnym, obitym najtańszą boazerią saloniku recepcyjnym pensjonatu, który był skrzyżowaniem dwóch korytarzy z nieprzerwanymi cugami, dokuczliwymi w zimne dni. Stary poeta nie potwierdził swojej decyzji, którą, Gaponia był tego pewien, już podjął. Czwartego czy piątego dnia od ich spotkania telefon się jednak odezwał



i Gaponia usłyszał to, co wiedział już w mieszkaniu matki: Spróbujmy więc, kolego.

Kiedy mijał podlaskie, a potem mazowieckie miejscowości, tak niedawno jeszcze korzystające z miłosierdzia przyrody, a teraz, po rozprawieniu się z nią, jedna za drugą, wydane brzydocie, myśl, że w desperackim i przez innych bagatelizowanym brawurowym przedsięwzięciu jest sam, napełniała go umiarkowaną dumą. Wszedł na ścieżkę, która nie zaprowadzi go do półki z konfiturami, nawet jeżeli będzie pierwszy, który powinien ich spróbować. Żaden splot zdarzeń nie zadziała na jego rzecz, bo los nie przewidzi dla niego miejsca w rydwanie zwycięzców, beneficjentów nowego rozdania. Jego pięćdziesięcioletnia egzystencja to obrzeża absurdu, który teraz się przed nim odkrywa, ukazując swoją topiel. Nie był dobrej myśli co do siebie, lecz myśl, że mógłby nic nie zrobić, była, nie wiedzieć czemu, jeszcze gorsza. Ta determinanta nawlekła go na stalową strunę, która przeszła jego postać i uczyniła zimnym i niepokornym. Nie rozpałała go żadna emocja, gdy przysłuchiwał się argumentom prezydów obu izb Zgromadzenia Narodowego na rzecz niespełnienia obietnicy danej mu miesiąc temu. Nie potrafił odmówić tym argumentom logiki, a nawet przyzwoitości, gdy powtarzał w odpowiedzi swoją mantrę: Nie róbcie głupstw, panowie, i nie silił się na nic więcej. I zimny był jak lód albo jakby już umarł. A potem wstał i nieuważnie patrząc w twarze marszałków i wicemarszałków, zdeprawowanych kilkuletnią beczynnością, powiedział:

– To co wam proponuję, panowie, nawet nie zasługuje na słowo wybór. Albo przegłosowanie wskazanego przeze mnie kandydata na prezydenta, albo odwiedzi was wojsko. I pół godziny do namysłu. – Nie wierzył własnym słowom, tak wydały mu się obce.

– Skąd je pan weźmie, Gaponia? – usłyszał za plecami głos jednego z wicemarszałków, bo ich już opuszczał.

– Wojsko?

– Właśnie.

– Każdy z nas ma swoje tajemnice – odpowiedział, nie odwracając się, więc mogli go nie usłyszeć. – Tej samej dyskrecji oczekuję od panów. Pół godziny

zatem, nie więcej.

To nie była wroga mu przestrzeń, ale pokonywał ją tak, jakby w każdej chwili zaszumieć mogła wrogim mu tłumem. W swoich dobrych czasach wypełniona interesantami i wysłannikami mediów, opuszczona, gdy Don przeniósł sprawy państwa do Domu Centralnego, straciła wszystko poza elegancją. Była przechowalnią politycznych nieboszczyków, którzy w niekończących się przedśmiertnych spazmach wydalali wraz z płynami ustrojowymi tony ustaw i przepisów znajdujących natychmiast po wydrukowaniu swój kres w napęczniałych podziemnych magazynach, nie mając okazji przysłużyć się żadnej sprawie. Cisza, jaka ją wypełniała, jeżeli nawet martwa, zdolna była do zmartwychwstania. I Gaponia to wiedział, jak nie wiedział tego najpewniej mecenas Kot, zwany w gangach Kanarkiem, pokazawszy się u podnóża schodów, do których szczytu podszedł właśnie Gaponia bez wiedzy o tym, że minister Czub i Kaligula połączyli siły i zwrócili się do gangów z prośbą o wsparcie swych politycznych ambicji. Zahartowani w upokorzeniach, jakich nie szczędził im los w postaci Dona i jakie sami zadawali innym w odwecie, nie byli gotowi na ten rodzaj podległości, jaką centurion wymuszał na swoich nawet najbliższych kumplach, więc przeczołgani po zielonym karpecie hotelowego apartamentu i posadzeni przy stoliku z galerią ryb i mięs, których nie tknęli, zacięli się w milczeniu, co mogło im wróżyć dobrze lub jak najgorzej, w zależności od pogody, pory dnia, układu prawdziwych lub wydumanych sił, snów centuriona i tych, którzy w nich wystąpili. W zależności od kaprysu, a kaprys podyktował centurionowi słowa mogące dać nadzieję lub jej pozbawić.

– Kulaliście się bokami, dygając przed wszelkim pozorem, a centurion zaspokojony w swym pragnieniu nie był. Szkoda, panowie, wielka szkoda.

– Tak im powiedział? – Gaponia spojrzął za siebie z półpiętra na rozchodzące się wewnętrzne schody znane onegdaj z niezliczonych relacji

telewizyjnych.

– Słowo w słowo, panie profesorze – odpowiedział mecenas Kot zwany w gangach Kanarkiem.

– Był pan przy tym?

– Nie musiałem, panie profesorze.

– Kto powtórzył tę rozmowę marszałkom?

– Ja, panie profesorze.

– W jakim celu?

– By uświadomić im sytuację.

I chyba się to mecenasowi Kotowi udało. Gaponia miał w oczach twarze obydwu marszałków sprzed chwili, jedną lisią i chudą, drugą jak księżyc w pełni, a obie zacięte w uporze i niegotowe do żadnej współpracy, obce najżyczliwszym argumentom.

– Ale to odniosło odwrotny skutek.

– Przykro mi, profesorze. – Mecenas Kot rzeczywiście był strapiony, gdy dodał cicho: – Nie myślałem, że są tak głupi.

Jeżeli byli głupi, to jednak nie aż tak. Kanarek ich nie docenił. Perspektywa uzależnienia od dwóch cynicznych funkcjonariuszy wspartych gangami wydała im się ostatecznie niebezpieczniejsza niż zdanie się na pomysł Gaponi, osamotnionego safandudy z nieopierzonym przepisem na ojczyznę, którą i tak pochłonie bezład, jakiego są sumiennymi strażnikami. I wprawdzie kandydat na prezydenta, myśleli, sam Gaponia zapewne, jest zagadką, to więcej w tym zabawy w pozory demokracji niż realnego zagrożenia dla wszystkich razem i każdego z osobna. Po burzliwej dyskusji, do której doproszono też kilku wpływowych posłów i senatorów, prezydium obydwu izb zdecydowało się poddać dyktatowi Gaponi, to znaczy podtrzymać dane mu wcześniej słowo, gdyż nawet ci najlojalniej oddani bezczynności rozumieli, że uparte w niej trwanie nie skończy się dobrze.

– Tu i tam czeka upokorzenie, panowie, zdajmy się więc na takie, które dotknie tylko raz – oznajmił marszałek senatu, zdziwiony, że przyjmuje warunki kogoś tak wypranego z charyzmy, znaczenia, mocy, kogoś tak nikczemnego, ubranego w życie, które całe jest z fikcji, wymyślonego przez Dona w jego najgorszym dniu.

By nie stać się nieodwracalnie ofiarami własnego wstydu, zaczęli przekonywać się wzajemnie, że wybór prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe w trybie natychmiastowym to ich decyzja, a Gaponia jest tylko jej wykonawcą. Bierzymy na siebie odpowiedzialność, która wręcz boli – umawiali się – poddajemy się przemocy, choć nie musimy, a zatem od nas zależy więcej niż od tego, kto ją stosuje. Jesteśmy solą tej sprawy. I w jakimś stopniu mieli rację. Podobnie jak stary poeta, gdy wrzasnął rozdarty, spętany niespodziewanym lękiem, wręcz przerażeniem, że nic z tego nie rozumie.

– Żona zadała mi kilka prostych pytań! – krzyczał, biegnąc wokół stołu, który wyglądał jak nowy, podobnie jak reszta wypucowanego mieszkania. –

Na żadne nie odpowiedziałem. Wycofuję się. To ponad moje siły. Powariowaliście, brniecie w jakiś obłąd. Pozwolisz, kolego, że beze mnie. Wycofuję się i wracam do domu.

– Za późno, mistrzu – odpowiedział zimno Gaponia, zdziwiony własną bezceremonialnością.

– Nic z tego nie rozumiem!

– Co tu rozumieć! – Gaponia też krzyknął. – Państwem rządzi partia poprzez Dom Centralny przy pomocy kilku niezbędnych ministrów i namiestników sześciu prowincji. Nie ma premiera, rządu, jego prezydium, komitetów, rad, komisji. Nie ma też prezydenta. Nad wszystkim jest Don w charakterze Pana Boga. To klarowny układ.

– Więc czemu go zmieniać?

– Bo straciliśmy Dona. A bez niego ta konstrukcja nie ma sensu. Pomiatam demokracją, ale to, co jest, jest gorsze. Co tu rozumieć, mistrzu?

– Mów za siebie, Fabian.

– W porządku. – Gaponia rozejrzał się wokół, nie mogąc nadziwić się zmianie, jaką przeszło mieszkanie matki: z brudnej, śmierdzącej nory w coś, w czym da się mieszkać. – Będę więc mówił za siebie i... pieprzoną ojczyznę. Tak, tak, mistrzu, ja też potrafię przeklinać. – Wskazał hiszpańską żonę. – Co ona gada?

– Że mamy wracać. Dziś jeszcze.

– Niech wraca. Powiedz jej, żeby wracała. Niech zabiera córki i wraca.

– Ona też nic z tego nie rozumie.

– Nie musi, mistrzu. Niech zabiera córki i wraca do Hiszpanii. To dobry pomysł.

– Nie mów mi, kurwa, co ma robić moja żona. Wracamy razem.

– Twoje życie, twój wybór. – Gaponia otworzył szafkę nad kuchenką; nie poczuł jak zwykle stęchlizny tylko jakąś dobrą chemią. Wyjął szklanekę bez zacieków, napełnił wodą z kranu i wziął łyk. Wypluł natychmiast, bo śmierdziała chlorem, jak przed laty. Zapytał obojętnie: – Więc wracasz do Hiszpanii i kim tam jesteś?

– Tym, kim byłem – odrzekł stary poeta, stając obok młodej, ładnej,

zachęcającej hiszpańskiej żony, która tak wiele zrobiła dla tego zapuszczonego mieszkania.

– Tym, kim byłeś, już nie będziesz. – Gaponia nie mógł pozbyć się ohydneho smaku chloru. – Jesteś amatorem. Ceniono cię, jak byłeś z Donem, a potem, gdy byłeś przeciwko Donowi. Do Hiszpanii możesz wrócić, by być tam nikim. Don już nie straszy Europy. Nie będzie nagród, konferencji, wywiadów. Pomyśl o tym.

Nie wyglądało na to, by stary poeta miał zamiar nad tym pomyśleć. Nie wyglądało na to, by chciał pomyśleć o czymkolwiek poza bólem, jaki Gaponia mu zadał. Przeminał czas, kiedy jego wiersze określano mianem szlachetnych, lecz anachronicznych, gdy nazywano go księciem imitacji, beztalenciem składającym ofiarę ze swojej rymotwórczej gotowości na ołtarzu nie wiadomo czyich potrzeb. Gdy szydzono z jego gadulstwa. Gdy przezywano go spóźnionym symbolistą albo epigonem Młodej Polski z jej tanią emocjonalnością. Wyśmiewany lub wręcz lżony przez arogancką recenzencką młodzież, nim zniecierpliwiony tym Don dał do zrozumienia, że nie obejdzie się bez konsekwencji i recenzencka młodzież nabrała wody w usta, by kilka lat potem, gdy na obczyźnie poeta wymierzał reżimowi sprawiedliwość, równać go z największymi z zapałem, z jakim wcześniej go lekceważyli.

I wtedy, tuż po czterdziestce, stary poeta przybrał pozę wieszczą wraz z całym rynsztunkiem, jaki tej dystynkcji przynależał. Bezceremonialność Gaponi zraniła go tym dotkliwiej, że niepozabawiony dystansu do swych umiejętności, uległ z czasem opiniom najprzyzwoitszych rodaków, że jest kontynuatorem romantyków – Norwida, Wyspiańskiego, Miłosza. Był zbyt otrzaskany, by nie wiedzieć, że okrutne słowa pocziwego Gaponi, niegdyś przyjaciela, podyktowała szczerłość, i że przedstawiona mu możliwość jest w tym samym stopniu ciężarem, co szansą. I że propozycja Gaponi, choć przykro to przyznać, jest ważniejsza niż przestroga wiernej, kochającej, hiszpańskiej żony. Poezja nie zakotwiczy go w historii, prezydentura – z najpokraccniejszej choćby inspiracji, z najplugawszego łoża – tak.

Stracił rezon, opadł z sił, skulił się w sobie, pochylił nad stołem i tkwił tak

kilkanaście minut w milczeniu, a żona na przemian z córkami krzyczały coś po hiszpańsku. A gdy to je wyczerpało, stary poeta uniósł głowę znad stołu i rzekł głucho:

– Doprawdy nie wiem.

Gaponia podszedł do niego, pochylił się, położył dłoń na ramieniu starego poety i odpowiedział czule:

– Doprawdy wiesz, przyjacielu. Już wiesz.



Bo przecież nie mógł nie wiedzieć, skoro to się wiedziało samo z siebie. Kiedy Gaponia z nieznanym sobie przejęciem krzyknął: Świt zależy od was! – to wypełniona po brzegi sala plenarna Zgromadzenia Narodowego poczuła, że po kwartałach bezczynności, upokorzeń, jakich nie szczędził im Don, przemocy Domu Centralnego, pogardy obywateli, nieustającej gry pozorów zamykających ich w przestrzeni nędznych iluzji, męczącej nierzeczywistości, niewiary w siebie, prac bez związku choćby z pozorami władzy, ten lichy człowiek, najlichszy z lichych, otwiera przed nimi możliwość rehabilitacji.

Wyzwolę was z bezsensu dotychczasowej egzystencji, słyszeli, nawet jeżeli wielu z was utraci to, co posiadało, bo przekonam was do dumy z ofiary na rzecz ojczyzny. Daję wam szansę desygnowania prezydenta, którym zostanie najgodniejszy z nas, lub pochłonie nas chaos i mrok. Chciałbym wam powiedzieć, słyszeli, że wybór należy do was, lecz tego nie zrobię, bo za bardzo w was wierzę, by posłużyć się kłamstwem. Nie macie wyboru. Nikt z nas nie ma wyboru. Świt nie pyta, od kogo zależy, tylko następuje. Nie jest wszakże źle żyć złudzeniem, że bez naszej zgody by nie nastąpił. Ofiarowuję wam to złudzenie, sam mu ulegając. Przedstawiam wam prezydenta V Rzeczypospolitej i nie usłyszę sprzeciwu, gdyż to, co zostało z waszej mądrości i honoru, pokonało właśnie lęk, małość, konformizm.

– To było aroganckie przemówienie, które musiało zabołec tych nieszczęsnych deputowanych, skoro sam poczułem się nieswojo – powiedział miesiąc po wyborze stary poeta w jednym z wywiadów, których udzielał na prawo i lewo. – Nie miałem nic do dodania po tych gorzkich słowach, stąd moje milczenie w dniu wyboru i zaprzysiężenia jednocześnie.

Bo stary poeta wybrany został nie tak, jak Gaponia mu to obiecał. O aklamacji nie było mowy. Kwalifikowana większość, jaka zagłosowała za, przewyższyła o kilku deputowanych tę część, która zagłosowała przeciw lub

się nie wypowiedziała. Marszałkowie obydwu izb nie bez trudności zdołali przekonać brać parlamentarną do pomysłu Gaponi, lecz ten zepsuł to, co wymyślił, bezceremonialnością. Toteż mandat starego poety był podwójnie osłabiony i stary poeta nie omieszkał wygarnąć tego Gaponi.

– Przeszedłeś Donem na wylot. Zepsułeś nawet to, co z istoty rzeczy dąży ku naprawie. – Jego pretensja była już jednak prezydencka. – Na samym starcie zostałem w blokach. Na samym, kurwa, starcie.

Gaponia odrzekł, że jest mu przykro, choć wcale tak nie było, wykręcił się na pięcie i pojechał nad Bug. Mijając Węgrów fordem focusem dobywającym resztek sił, rzekł do siebie:

– Może zostałeś w blokach, stary poeto, ale ktoś na ten stadion cię wprowadził.

Nigdy się już nie zobaczyli. Stary poeta z amatorskim mozołem urządził swoją kancelarię, Gaponia cieszył się wolnością od obowiązków i bliźnich. I ta wolność, która tak niezauważenie przejść mogła w nudę, męczącą monotonię upływających dni, wrażenie bezsensu trwania poza narodem, polityką, sprawami, zaczęła go utwierdzać w zadowoleniu z najdrobniejszych przyjemności. Cieszył się psem, mroźną i śnieżną zimą, książkami, o których myślał, że zna je na pamięć, jedzeniem szykowanym przez przywróconą domowi panią Marię, spacerami wzdłuż rzeki, ogniem w kominku, papierosami, kawą i całą resztą najbłaższych niezakłócanych przez nikogo rytuałów. Za duchem Dona się nie rozglądał, lecz miał wrażenie, że Don nie wszystek odszedł, że jego niezrozumiałe rozpląnięcie się w przestrzeni, której w pensjonacie nie było za wiele, nie jest ostateczne, że Don istnieje wystarczająco, by on nie czuł się bezpowrotnie osamotniony.

A co do dziewczyny, to tęsknił, jak tęskni się za życiem, na jakie nas nie stać. Zdarzyło mu się coś, na co nie zasłużył, co jest spoza jego możliwości, jeżeli brać rzeczy takimi, jakimi są w istocie. Związek doskonałości, nawet jeżeli nie przestała być w jakimś stopniu na sprzedaż, z niedoskonałością nie może liczyć na przyszłość. W tęsknocie Gaponi nie było więc poczucia wyrządzonej mu krzywdy, tylko smutek, który nie dokuczał; miał nawet wrażenie, że gdyby opatrność podsunęła mu wybór między smutkiem

związanym z utratą dziewczyny a zadowoleniem z jej obecności, wybrałby smutek.

– Nikogo na moje życie bym nie namówiła – rzekła jakiś czas potem pani Maria, biorąc melancholię Gaponi za tęsknotę. – Było jak przez kopny śnieg, ale było moje. Ani chwili nie żyłam cudzym życiem, a dziewczyna tego spróbowała.

– Ale się ocknęła – odpowiedział Gaponia.

– W samą porę – zgodziła się pani Maria. – Nie byłoby jej po drodze z pańskim życiem ani panu z jej. A wspólnego wieść byście nie mogli. Więc niech pan nie żałuje tego, co się skończyło. Bo czego tu żałować? Ułudy?

Do *Blasku* nie wracał. Przestał pragnąć światła, południa, morza, drewnianych schodów wspinających się skarpą, tarasów, markiz, kolumnad, białych ścian wśród zieleni niezgasłej jeszcze od skwaru, półnagich kobiet wracających gromadą z kąpieli, z dziewczyną lub bez niej. Tej wydumanej opowieści niedającej szansy na zakończenie, gdyż jest tylko obsesyjną impresją snutą na zamówienie Dona jak *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*.

Natomiast do *Zapisków myśliwego* Turgieniewa przyłgnał jak do ojczyzny. Do tych suchych kontynentalnych lat, siarczystych zim, wypełnionych wodami wiosen i krótkich szklistych o poranku jesieni w stepowych guberniach dziewiętnastowiecznej Rosji. Do włóczęg pylistymi drogami przez brody rzek mniejszych i większych, dębiny, olszyny, brzeziny, przez dworskie saloniki z rozgrzаныmi kaflowymi piecami, przez domy, w których panny ładne, mniej ładne, całkiem szpetne wyczekiwały podróżnych, choćby i byle jakich, przez biedy, choroby, śmierci, bankructwa, dziwactwa, przez krzyczące niesprawiedliwości losu, ale i piękności stepowej krainy między Orłem, Kurskiem i Woroneżem. Stawał się uczestnikiem życia panów, kupców, faktorów, drobnych dzierżawców, malowniczych jednodworców, zatracęńców w stylu Czertopchanowa i liryków jak wzruszający go nieodmiennie Niedopiuskin, a nie tylko obojętnym obserwatorem, jak w wymyślonym złożonym z ogranych stereotypów *Blasku*. Z każdą odwracaną w tę i z powrotem stroną tych zapisków, niekoniecznie myśliwskich, pełnych najgorszych podejrzeń co do absurdu ludzkiej

egzystencji, o których myślał, że pamięta je jeszcze z czasów młodości, brała go w posiadanie pewność, że znalazł swój dom.

– A pan ciągle to samo, panie Fabianie – zauważyła pani Maria, natykając się na książkę w różnych miejscach pensjonatu – jakby nie miał pan innych.

Dobrze mu było z panią Marią, którą odzyskał w najbliższej wsi, a jej najpewniej z nim, bo zbliżyli się do siebie i pani Maria zostawała czasami na noc, gdy pogoda uniemożliwiała jej powrót do siebie na rowerze, i wtedy grzali się przy kominku, pili herbatę z konfiturą malinową i opowiadali sobie o strzygach, jedynych mieszkańcach wyludnionych okolicznych miejscowości. Dobrze było Gaponi ze sobą, z panią Marią, z psem Mado, domem nad rzeką, którego właściciel go nie nachodził, i służącą temu umiarkowanie mroźną zimą. Myśl o niedostatku – kilka tysięcy dolarów, jakie odłożył przez dekadę posługi przy Donie, nie zapewniało bezpieczeństwa na dłużej niż rok – go nie zaprzętała, podobnie jak perspektywa bezdomności z powodu utraty mieszkania po matce, którego z ubóstwa nie wykupili. Stępione lękiem przed Darkiem uzasadnione pretensje młodego właściciela pensjonatu do swobodnego zarządzania własnością, tak czy owak, czaiły się już za rogiem, ale Gaponia zbyt mało przejmował się własnym losem, więc i przyszłością, by miało go to niepokoić. Skoro jego życie jest nieporozumieniem, to czemu miałoby go o swoich planach zawiadamiać. Dobrze, że służyło chwilą. A chwil, jakie przerabiał na przyjemność, nie brakowało. Miał nawet wrażenie, że w tych kryształowych dniach wczesnej zimy ustawiały się w kolejce po zadowolenie, które, jedna po drugiej, podtrzymywały.

Ale kraj tak dobrze się nie miał. Pełna energii i najlepszej woli prezydentura starego poety okazała się wobec biegu rzeczy bezsilna. A bieg rzeczy był jak w malignie – wszystko na przekór najwątleszym nadziejom. Powszechnie oburzenie na rzeczywistość nie czyniło jej lepszą. Odwrotnie, co mogło, szło jak najgorzej. Ludzie osiągnęli ten poziom wzajemnej nieprzyjaźni, za którym jest już tylko wojna domowa i jeżeli jeszcze nie wybuchła, to dlatego że wynaturzonymi instynktami, jakie do niej pchają, nie kierowała żadna ambicja, tylko natychmiastowa potrzeba wyrządzenia zła na własną rękę, gdyż był to kraj indywidualistów po klęsce fantasmagorii, co naród miała zmienić w stado.

Do powszechnego chamstwa, agresji z byle powodu, poczucia wiekopomnych krzywd, niewybaczalnych despektów, wyzywania się na słabych i nieustannego poszukiwania wśród nich ofiar dołączyło pijaństwo młodych mężczyzn ze wszystkich w zasadzie sfer, jeżeli ten podział miał jeszcze jakiś sens. Ostentacyjne upojenie uwalniało od odpowiedzialności za cokolwiek, przechodząc mimo ograniczenia, jakim zawstydzająco nędzne resztki po państwie próbowały postawić tamę społecznej nicości.

Rozsypał się cały katalog pokracznej mitologii splecionej z iluzji, wmówionych obywatelom potrzeb, wymyślonych tęsknot, a jego miejsce zajęła odraza do życia, wsparta cynizmem. Kraj wrócił do pogaństwa, a ściślej przestał udawać, że je kiedykolwiek porzucił. Obywatele sprzeciwiali się jawnie Bogu, a chrześcijaństwo wyprowadzone ze świątyń stawało się przedmiotem niewybrednych żartów. Nawet nieliczni sprawiedliwi godzili się z prawdą, że bieg zdarzeń jest nieodwracalny, że bliźni dążą do społecznego unicestwienia, które jest perspektywą skrajnie przygnębiającą, jeżeli się zważy, że się nie skończy, tylko katować będzie bez ustanku swoją stałością.

Konstruktor ich życia gdzieś przepadł i chuj z nim, skoro przepadł, ale

mógł zostawić po sobie jakiś przepis, jakąś, kurwa, ewangelię, a tu jakby go nigdy nie było, a zamęt przywiał wiatr.

Próba przeprowadzenia wyborów do Zgromadzenia Narodowego się nie powiodła, bo obywatele nie mieli ochoty organizować się w partie i jeżeli trafiali się desperaci wyskakujący ponad ogół, to na chwilę, nierzadko dotknięci ciężkimi dysfunkcjami umysłowymi. Zresztą nieobecność struktury pionowej sprzyjała poziomowi i państwo jak naleśnik z zakalcem gnoilo bezwiednie każdą próbę przeciwstawienia się temu porządkowi. Desygnowani na urząd premierzy rzadko mieli okazję poznać swoich ministrów, gdyż naturą kolejnych rządów była płynność i wszyscy ze wszystkimi doskonale się mijali, jakby jakiś przewrotny zegarmistrz tak ich ponakręcał, by nie mieli okazji nie tylko się poznać, ale i zobaczyć.

– Kogo mamy dzisiaj za premiera, jeżeli to nie tajemnica? – pytał stary poeta przy porannej kawie, a dyrektor jego gabinetu, nawiasem mówiąc, były steward Domu Centralnego, wyróżniony kiedyś przez Dona za cynizm, odpowiadał:

– Dzisiaj mamy Paśławskiego.

– Paśławskiego?

– Coś takiego, panie prezydencie.

– Głowę bym dał, że Kaczmarka.

– Kaczmarka mieliśmy w ubiegłym tygodniu.

– Nieszczęsny kraj – wzdychał stary poeta – nieszczęsny naród.

Ale niemoc nie miała władzy nad jego godnością. Odwrotnie, zarówno Nadbrzeżny, dyrektor jego kancelarii, Czub, który zaofiarował się jako rzecznik prasowy gabinetu, czy mecenas Kot, zwany Kanarkiem, którego gangi na mocy niepisanej umowy o wzajemności zawartej z Gaponią wstawiły do pałacu, szybko się przekonali, że z tym niewysokim, krępy, ruchliwym jak srebro mężczyzną nie ma żartów, a wybuchy jego gniewu budziły w nich obawy raczej niż kpiny, jakich można się było spodziewać po ludziach tak zblazowanych jak załoga najwyższego państwowego urzędu, zamustrowana z braku innej. Stary poeta swoją obsmyczoną jak to tylko możliwe kancelarię trzymał przy pysku i zaprawiał w szacunku jeżeli nie do

własnych poglądów, to charakteru. Przekonał się o tym dowodnie Czub, gdy przy okazji wizyty redaktora południowoamerykańskiego „Nationala”, odkrywającego podobieństwa między Polską a niektórymi państwami jego kontynentu, próbował namówić starego poetę na swoją wersję odpowiedzi. Stary poeta zawsze w ruchu, nawet gdy tkwił za biurkiem, wycedził przez zęby:

– Powtórz mi pan moje słowa. Co do przecinka, Czub, albo straci pan posadę.

Pałac wyglądał nieźle. Tylko w tym neurotycznym, rozchwianym kraju jego organizacja i dyscyplina nie służyły niczemu. Były jak sprawna skrzynia biegów, która w aucie zżartym wraz z motorem przez korozję nie miała czego przekładać. Lecz kwietniowego wręcz upalnego dnia, który pożegnał wyjątkowo piękną śnieżną i umiarkowaną mroźną zimą, zdarzyło się coś, co bezwzględność sprzęgło z prawdą. Pod beemkę wiozącą prezydenta w asyście policji i ochrony wpadł zrećznie jeden z młodych ludzi upojony alkoholem, zataczający się Traktem Królewskim od krawężnika do krawężnika, abstrahujący od różnicy między jezdnią a chodnikami. Uderzenie było mocne. Beemka straciła reflektor wraz z nadkolem, a młodzieniec, jak to z pijakami bywa, ucierpiał mniej niż maszyna i był skłonny nie wysnuwać zbyt daleko idących wniosków z tego zdarzenia, które niewątpliwie w jakimś stopniu zakłóciło jego plan na popołudnie.

– Tego już za wiele – warknął stary poeta, a Darek wskazany przez opatrznosc i byłego stewarda Domu Centralnego jako szofer i ochroniarz prezydenta rzekł, że gdyby mu pozwolono, toby coś podsunął.

– Niech pan podsuwa – zgodził się stary poeta.

Przypomniał sobie zdania z niewysłanego listu do Julia, przyjaciela z Estremadury, w którym spróbował usprawiedliwić jałowość swej posługi: „Tym, co ciekawe, jest życie w cieniu nierozwiązywalnych problemów”. Oto jedna z dyskusyjnych myśli wielkiego Davila z *Escalios a un texto implicite*. A wiem, Julio, mój bracie, żeś wielkim admiratorem tego mędrca z Bogoty. Więc za Twym przykładem powtarzam sobie to zdanie, lecz nie znajduję w nim ulgi. W ogóle ulga jako stan duszy, od kiedym został prezydentem

tego nieszczęsnego kraju, nie koi. Demon niedopowiedzenia, bo obecności i nieobecności zarazem, jest obecny. Człowiek, którego naród powołał do władzy nad sobą, mój polityczny kamrat i przyjaciel onegdaj, nie został pochowany, bo nie umarł, jak umiera każdy z nas, ani nie dzieli z nami życia, jakie wiemy, nie dlatego że odmienny, lecz z przyczyny zła, jakie się w nim rozwiłmożniło ponad wytrzymałość sumienia. Toteż cierpienia, jakich doświadcza – poemat o tym skroilem – z powodu swej nieprzynależności do jakiegokolwiek z udowodnionych bytów, stały się źródłem mocy niejakiemu Gaponi, figury nieobeznanej z podstępem, którą podstęp sobie upodobał, by uczynić mnie najżałośniejszym z prezydentów, o czym co noc przypomina mi Ilahenia, żona moja, o której rzekł: Dobra dla matadora, dla poety niekoniecznie... A skoro przywołałem myśl pierwszą kolumbijskiego geniusza, to mój niedługi list zakończę drugą, bliższą sytuacji, w jakiej się znalazłem: „Historia jasno dowodzi, że rządzenie jest zadaniem, które przekracza ludzkie możliwości”.

Ciągnąc za sobą po jezdni zderzak, dojechali do nieodległego pałacu, a tam Darek opowiedział, że szmat czasu wstecz występował na arenach jako mistrz sportów walki wszystkich w zasadzie konferencji, konkurując nieprzerwanie z zawodnikami z północnego Kaukazu.

– Mówi pan o Czeczenach? – zapytał stary poeta, mając w oczach zaczepną twarz Julia, granda zubożalego do przesady.

– Między innymi, panie prezydencie. – Darek obserwował w lusterku wstecznym strapioną twarz starego poety, który nie wysiadał z limuzyny, mimo że byli już na miejscu. – Jak im nie szło na ringu czy w życiu, składali ofiarę i sprawy przybierały pomyślny obrót. Długo nie wierzyłem, kładąc to na karb ich dzikości, ale to działało. Trudno uwierzyć, panie prezydencie, ale to działało.

Następnego dnia stary poeta zwrócił uwagę dyrektorowi kancelarii, że jest co najmniej nieostrożne opowiadanie wegetarianinowi o ofiarach z Bogu ducha winnych zwierząt, nawet gdyby miały odwrócić niepomyślny bieg zdarzeń.

– To istotnie niedopuszczalne, panie prezydencie. Zwrócę na to uwagę



pańskiemu kierowcy – odpowiedział skwapliwie Nadbrzeżny, były steward Domu Centralnego, wyróżniony kiedyś przez Dona za cynizm. – Ale...

– Słucham?

– Jeżeli pan pozwoli, panie prezydencie...

– Słucham?

Obaj, jak na komendę, rozejrzeli się wokół. Widok raczej przygnębiał. Amfilady w ubitym kurzu, okna z zaciekami miejskiego brudu, środkowy ryzalit pałacu spowity pajęczynami od góry do dołu, popękane lustro, porysowane posadzki, wybrakowane meble, przetrzebione obrazy, wszechobecny zapach pleśni. Cztery lata temu mniej więcej – opowiadał staremu poecie mecenas Kot, zwany Kanarkiem – Don zniecierpliwiony opieszałością prezydenta w jakiejś drobnej sprawie wygnał go z urzędu, a gdy po kilkunastu dniach dał się udobruchać, prezydenta już nie odnaleziono. Jakiś czas potem rozpełzło się jego biuro i pałac zaczął się mieć źle. Stary poeta wszedł na schody, starając się nie dotykać poręczy. Krok za nim szedł Nadbrzeżny.

– Słucham? – padło po raz trzeci.

Ktoś na półpiętrze otworzył okno i w nieruchomy zimny smród przestronnych wnętrz wbiła się wiosna.

– Kto mówi o zwierzętach, panie prezydencie?

No właśnie. Mówiło się o niemożności, wręcz paraliżu. Nawet jeżeli sednem rozmowy była młodość i związana z nią energia, jak w przypadku aroganckiego maoisty po niedawnych naukach politycznych na Sorbonie, to i tak sygnatura: niewykonalne, przykrywała resztę z najmniejszym strzępem nadziei włącznie.

Co mi pozostało poza uporem i dociekliwością, myślał stary poeta, gdy zadawał już wcześniej zadane pytanie o liczbę sympatyków, a młody człowiek odpowiadał, że jest ich legion.

– Nigdy pana nie interesowało, ilu jest was naprawdę? Nie policzycie się? – dopytywał stary poeta, a młody zwalisty jak niedźwiedź człowiek o tubalnym głosie, więzionym wewnątrz potężnej substancji, odpowiadał, że jest ich wielu, w związku z czym dociekanie, jak wielu, jest stratą czasu.

– Nigdy nie przyszło panu do głowy, że nazwanie waszej partii lub, jak się pan upiera, ruchu, mianem „Che” jest wątpliwe, zważywszy na to, ile wiemy o łotrze, którego wybraliście na patrona – mówił stary poeta, a młody człowiek odpowiadał, że tylko go to utwierdza w przekonaniu, że nie znalazłby lepszej nazwy dla inicjatywy, której przewodzi.

Rozwalony w fotelu, jakby zamierzył uciąć sobie drzemkę, mówił o konieczności zrównania wszystkiego z ziemią, zniszczenia do spodu tego, co zostało z ducha i materii, bo nowe nie powstanie obok starego, tylko na jego zgliszczach.

– A nowe – cedził przez zepsute po proletariacku zęby młody człowiek, który zawsze przedstawiał się innym rewolucyjnym nazwiskiem – to ruch „Che”.

Stary poeta znał te brednie na pamięć z Madrytu, Sewilli, Malagi, gdy mijał grupy rozwydrzonej, bezsilnej wobec bezprawia istnienia gówniarzerii zbierającej się na placach, ulicach, corsach, by wywrzeszczyć swoje pretensje.

– Więc nie obrazi się pan, panie Zinowiew – mówił stary poeta, przypatrując się tej masie młodego mięsa, napompowanego pewnością siebie, prześladującej fotel swoim ciężarem – że w tej sytuacji pozostaniemy przy starym.

– To znaczy niczym?

– W poczuciu dotkliwego dyskomfortu przyznaję panu rację, panie Zinowiew.

Rozmowa z siedemdziesięcioletnim przewodniczącym Kongresu Liberalno-Demokratycznego, który zdemolowany przetrwał, była przeciwieństwem kontaktów z maoistami, lecz ostatecznie spływała tą samą rynną do politycznego Styksu.

– Nie jesteśmy gotowi stanąć do jakichkolwiek wyborów, panie prezydencie – mówiły nie tylko słowa tego śmiertelnie zmęczonego pana, ale i jego zamierające w połowie ruchy i oczy ślepcy. – Liżemy rany.

– Czego potrzebujecie do życia? – dopytywał stary poeta.

– Czasu – odpowiadał przewodniczący.

Wtedy stary poeta przekonywał go, że wśród wielu rzeczy, jakich nie ma, czasu nie ma najbardziej.

– Przykro mi, panie prezydencie – mówił zmęczony pan i zapadał w odrętwienie.

Agraryści, liczniejsi niż przed dyktaturą Dona, nie byli w stanie dogadać się co do własnego lidera i każdego tygodnia pałac odwiedzał inny ich przedstawiciel lub przychodziło ich kilku naraz i stary poeta przestał traktować ich serio. Nie było z kim gadać. Nie do wiary, lecz w oswobodzonym z własnych chimer państwie nie było z kim gadać. Stary poeta czuł się jak w potrzasku. Czasami miał wrażenie, że naród poprzez swych delegatów powołał go dla rozrywki i że wszystko, co go spotyka, odbija się echem od granicy do granicy, aż odbite ileś tam razy od ścian, murów, ulic, aren, stadionów, obolałe, spotworniałe, wraca, staje przed pałacem i skomle, a naród nieznający siebie ani innych, do niedawna więziony we własnych złudzeniach, opętany teraz przez demona wszelkiej redukcji, zażąda abdykacji z urzędu, bo jak ma być źle, to niech będzie tak, by nie

mogło być już gorzej. Spacerował po pałacu jak zły duch. Kiedy przed zmierzchem natknął się na dyrektora gabinetu z teczkami pod pachą, to go przestraszył. Ten pewny siebie, cyniczny młody człowiek odskoczył jak na widok zjawy, a zawartość teczek rozsypała się po posadzce.

– Aż tak źle? – zapytał stary poeta.

– Przepraszam, ale nie zauważyłem – usprawiedliwił się Nadbrzeźny.

– To ja przepraszam – odpowiedział stary poeta i zapytał, co znaczyło zdanie wypowiedziane dwa tygodnie temu na schodach, odnoszące się do ofiary.

– Jakiej ofiary, panie prezydencie? – Młody człowiek zbierał teczki i dokumenty, które się z nich posypały. – Ach tak, to był żart.

– Żart?

– Niestosowny, panie prezydencie.

– Pozwala pan sobie na niestosowne żarty?

– Czuję się winny.

– Wobec mnie?

– Mogę tylko przeprosić. To się nie powtórzy.

– Co się nie powtórzy?

– Taki żart. – Dyrektor gabinetu był zakłopotany i niepewny. Rozejrzał się bezradnie po opustoszałych pałacowych wnętrzach. – Nie wiem, jak to się stało i dlaczego.

– To ja panu powiem dlaczego.

– Słucham, panie prezydencie.

– Bo to nie był żart.

– Nie rozumiem.

– Nie musi pan. Jutro o ósmej u mnie.

– W sprawie żartu? – Jedna z teczek znów upadła młodemu człowiekowi na posadzkę, lecz się po nią nie schylił.

– Punktualnie, Nadbrzeźny – odpowiedział stary poeta i odszedł do części mieszkalnej, którą od kwartału zajmował z rodziną.

Lato wybuchło na przełomie kwietnia i maja suszą i upałami. Już od lat nie zdarzały się przedwiośnia, tylko przedłużające się zimy przechodziły w wiosnę w pełni; drzewa zazieleniały się w ciągu tygodnia. Brak przedwiośnia Gaponia zauważył dopiero nad rzeką. Podzielił się tym odkryciem z panią Marią, a ta mu odpowiedziała, że wszystko zmierza ku złemu.

– Nawet sny – zgodził się Gaponia.

– Żeby pan wiedział, panie Fabianie, nawet one.

Całe przedpołudnie Gaponia pławił psa w rzece.

– Musiał zamieszać się w twoją rodzinę labrador albo wręcz wydra, bo jesteś w tym niezmordowany, Mado – przemawiał do psa, umykając przed kroplami z psiej sierści, gdy Mado otrzepywał się z wody, by chwilę potem pod byle pretekstem do niej wskoczyć.

Zażyłość Gaponi z Madem osiągnęła stan, którego treścią jest już tylko bezkrytyczna miłość, skazująca na nieustanny niepokój. Pies nie odstępował Gaponi, a gdy mu się to wyjątkowo zdarzało na widok sroki czy psiego wyobrażenia o zającu lub dzikim króliku, bo w rzeczywistości już nie występowały, to Gaponia natychmiast odczuwał jego brak w postaci lęku o wspólną przyszłość. Mado sypiał też z Gaponią, mimo że Darek bardzo pilnował, by zwierzę nie odwiedzało pokoi i trzymało się jakichś elementarnych zasad psiej podległości i posłuszeństwa. Teoretycznie Mado zajmował posłanie pod stołem, lecz sprowokowany nudą jakiejś bezsennej grudniowej nocy, która dotknęła jego i Gaponię równocześnie, zrazu ostrożnie, niby przypadkiem, wsunął się na brzeg łóżka, z nocy na noc anektując coraz większą jego część i teraz Gaponia sypiał wciśnięty pod ścianę, a pies często na grzbiecie z patykami długich nóg w górze, korzystając przy okazji z poduszki.

– Miał pan jakiś zły sen? – zapytała pani Maria, nakrywając do obiadu.

– A skąd to pytanie, pani Mario?

– Bo powiedział pan, że teraz nawet sny nie są dobre.

Gaponia spojrzał uważnie na kobietę. Musiała być ładna, nim sponiewierało ją życie. Zatoczył ręką wokół siebie.

– Nie narzekam.

– A sen?

– Jak to sen, pani Mario. – Wskazał psa. – Jemu też czasami coś się śni.

– Ale on swego snu nam nie opowie.

– Ja też nie.

Gaponia podszedł do otwartego na oścież okna. Nagły suchy upał nie miał zapachu. Rozkrzyczane rano ptaki teraz umilkły. Trawy ruszyły i kołysały się od własnej wiotkości, bo wiatru nie było nawet od rzeki. Ostrokrzew raz się z nich wynurzał, raz w nich znikał. Krawędź nieba w oddali pociemniała jak przed burzą, a listki brzoź zbieleły. Kępa tarnin, kiedyś dom wszelkich małych ptaszków, odcinała się, jak nigdy wcześniej, od tła. Opuszczona przez to furkoczące, pierzaste życie, prosiła o pamięć. Na zstepowiałej łące czyjaś ujmująca fantazja, bo przecież nie gospodarski zamiar, kazała postawić bróg z wystającą okorowaną sztycą. Jeżeli moim istnieniem jest sen raczej niż jawa, to czemu tak niewiele rozumiem ze swoich snów? – zapytał siebie Gaponia. – Jeżeli sen jest moim domem, a rzeczywistość tym, co na zewnątrz, to czemu jedno ani drugie nie pyta mnie o zgodę na wzajemne przenikanie. Nic ode mnie nie zależy? Nawet we śnie? Wszystko, co było i jest, składa się na moje sny. Snem jest pensjonat Wrzos w zakolu najdzikszej europejskiej rzeki, snem jest jeszcze niedawny ogień w kominku, herbata z konfiturą, pani Maria i jej opowieści o strzygach, duchach, zjawach, jakich w tych stronach nie brakowało nawet w czasach, gdy nie były opustoszałe. Snem jest młody gajowy z Hanny, który nigdy nie wrócił do swojej leśniczówki po zjedzeniu jabłka podarowanego mu przez staruchę zbierającą w lesie chrust. Nie ma już leśniczówki, a gajowy od lat jej szuka, błakając się po lesie. I nie ma jego żony i dzieci, bo lata minęły. Snem jest nocny zaprzęg wyłaniający się z rzeki zawsze w nowiu księżyca w Tonkielach, gdzie był bród i weselnicy, którzy się wraz z nim potopili.

Snem jest dziewczyna z Czeremchy zamieniona w wierzbę nad strumieniem, jedyną, która się nie starzeje, gdyż taki był kaprys kowala, gdy poprosiła go o wieczną młodość. Bo jeżeli to nie była rzeczywistość zza ogrodzenia, zza szosy, zza miasta, a nie była, to co jest trzecie obok tych dwóch i czym jest granica między nimi? Tak, to był sen o granicy, której nie powinienem przekroczyć, pozostając po stronie snu, bo przed apetytem losu na moją rzeczywistość się nie obronię.

– To był sen o granicy – rzekł Gaponia, ale pani Maria musiała tego nie usłyszeć, bo nie zapytała jakiej.

# 61

– Granica?

– Tak bym powiedział, panie prezydencie.

Mecenas Kot, zwany w gangach Kanarkiem, wniósł do zaniedbanego prezydenckiego gabinetu zapach markowej wody kolońskiej i elegancję nie z tego kraju. – Wyznaczmy granicę naszej cierpliwości. To uspokoi syndykat. Powiem brutalnie: jesteście zakładnikami jego przyzwolenia, ale ono nie jest z gumy. Rozbrojone państwo, ogołoczone nawet z pozorów władzy, nie leży w jego interesie, bo go się nie wydrąży. Ono wydrążone już jest.

Stary poeta uśmiechnął się cierpko za biurkiem, które go przytłaczało, a ten uśmiech skrywał bezsilną złość, stałą towarzyszkę jego niewydarzonej misji. Rzekł, zaciskając usta:

– Nie umawiałem się z bandytami na państwo.

– Ale Gaponia się umówił. – Kanarek odwzajemnił cierpki uśmiech. – Coś im obiecał.

– Nie w moim imieniu, mecenasie.

– To już nie ma znaczenia. Nie może pan nie brać pod uwagę nastrojów w gangach, zwanych teraz syndykatem. Czy to się nam podoba, czy nie, są jedyną realną siłą w kraju. Jak zabiorą się za porządki, będzie za późno. Trzeba ich ubiec. Przekroczmy granicę niemożności i uczynimy coś...

– Spektakularnego.

– Wyjął mi pan to słowo z ust, panie prezydencie.

– Na przykład złożmy ofiarę.

– Słucham?

– Złożmy ofiarę.

– Jaką ofiarę? Nie rozumiem.

Stary poeta wstał zza biurka rozległego jak lotniskowiec i zaczął z impetem marsz wokół niego, a mecenas Kot starał się nadażyć za nim wzrokiem.



– Dzisiaj rano stawił się tutaj dyrektor Nadbrzeżny z tym całym swoim pierdolonym lisim sprytem i powiedział mi to samo: Złożmy ofiarę. A miesiąc wcześniej wspomniał o tym mój szofer. Osaczacie mnie? – Stary poeta uderzył kostkami palców o blat biurka, aż posiniały. – Osaczacie mnie? Zmówiliście się? Co to za akcja? Co to, kurwa, za akcja?

– Nie ma żadnej akcji, panie prezydencie.

– Bez kłamstw!

– Nigdy bym sobie na nie nie pozwolił.

– Bez kłamstw, kurwa, wobec głowy państwa. Bardzo, kurwa, proszę.

Stary poeta pomiotał się po gabinecie, po czym chwycił żeliwną figurę byka w ataku, symbol pogranicza Estremadury i Kastylii, gdzie grandowie te byki hodowali, i rąbnął nim o podłogę, aż dwie dębowe klepki stanęły na sztorc.

– Gdzie ołtarz, z którego spłynie krew niewinnego, by przebłagać demony?! – wrzasnął. – Rozglądacie się za nim? Szykujecie go?

To była chwila, w której Kanarek powinien dać nogę z prezydenckiego gabinetu, jak uczyniliby to inni niezdolni do konfrontacji z gniewem pierwszego obywatela, ale Kanarek go zignorował. Nie ruszył się z krzesła, jak to bywa z ludźmi, których misja ma przewagę nad obawami. Powiedział spokojnie, że niesprawiedliwe i niezrozumiałe słowa, jakie słyszy, nadinterpretowują sytuację, nie zmieniając tego, że powściągliwość gangów ma granicę. Tym bardziej że syndykat udzielił gościny prokuratorowi generalnemu, zwanemu Kaligulą, figurze niebezpiecznej, bo niespełna rozumu. Więcej powiedzieć o nim może Czub, kolega z rządu, a ściślej z tak zwanego rządu, lecz to, co wiadomo i bez Czuba o tym młodym człowieku, wystarczy, by się niepokoić.

– Propozycja? – warknął stary poeta, wracając za biurko. Żyłki na skroniach pulsowały mu nieprzyjemnie, a kostki palców trzeszczały od jałowego uścisku. – Propozycja, mecenasie?

– Nie śmiałybym przybyć bez niej, panie prezydencie. – Kanarek dzielnie udawał spokój, chamstwo gangów go w tym wytrenowało. – Obywatele domagają się sprawiedliwości.

– Nie domagają się, mecenasie. Człowiek nie domaga się tego, czego nie zna lub nie pamięta.

– Więc niesprawiedliwości.

– A, to prędzej.

– Różnica między sprawiedliwością a niesprawiedliwością jest żadna. Ja mówię o sprawiedliwości, pan o niesprawiedliwości, więc mówimy o tym samym.

– Nie sędzę, ale słucham.

– Trzeba im to dać, panie prezydencie. Sprawiedliwość lub niesprawiedliwość. Obywatele muszą coś dostać. Pół roku mija i nic nie dostali. To ich ostatecznie demoralizuje. Muszą coś dostać.

– Na przykład?

– Głowę tego, który ich zepsuł.

– Przepadł łotr. Wygląda na to, że na amen.

– Dyskutowałbym z tym, panie prezydencie. Don przepadł, ale nie na amen. Na tym to polega.

– Więc wie pan więcej.

– Tyle samo, panie prezydencie. Wiemy tyle samo.

Mecenas Kot wstał z krzesła. Nienagannie ubrany, ostrzyżony, wychowany. Najzręczniejszy w kancelarii. Przeciwny sprawom, ludziom i czasom, lecz z innego końca niż Gaponia.

– Niech pan to przemyśli, panie prezydencie – skłonił głowę w geście nie do podrobienia – bardzo proszę.

Ale stary poeta w całkowitej apatii nie był na to gotów. Przypatrywał się żeliwnej figurce byka, który z konfrontacji z podłogą nie wyszedł bez szwanku. Sprowadzono go kwartał temu z Hiszpanii na prośbę żony poety, Ilahenii, by pierwszy obywatel nie zapomniał swojej drugiej piękniejszej ojczyzny.

Kanarek miał rację. Sprawiedliwość ludowi się należała. Taka, na jaką sobie zasłużył.

– Jak psu kość – warknął stary poeta, nie mogąc nadziwić się rozległości małżeńskiego łoża w pałacowej sypialni.

– Co powiedziałaś, Pino? – zapytała hiszpańska żona.

– Coś o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości. Na jedno, podobno, wychodzi. W każdym razie w tym kraju.

– Dziwny kraj – rzekła hiszpańska żona. Smagła, jędrna, zmysłowa, pospolita, wzięła biodra poety między swe uda. Czerwcowy świt był tuż, tuż.

– Gdybym to wiedział – odezwał się po dobrej chwili stary poeta, a hiszpańska żona, też po dobrej chwili, rzekła, że z oszustami poeci nie mają łatwo.

– A ten chudzielec to oszust. – Westchnęła.

– Na to wygląda. – Stary poeta oglądał freski na suficie sypialni.

Przez uchylone okno słyhać było pałacową wartę i wszechobecne sroki.

– Złapał cię w pułapkę, Pino. Ten chudzielec złapał cię w pułapkę, jakbyś był królikiem albo susłem.

– Może jestem.

– Nie byłabym dziewczyną z Hervás, gdybym nie odróżniała mężczyzny od królika. Jesteś rysiemy, Pino. A ten chudzielec zwabił cię tak, jakbyś był królikiem albo susłem. Garota, czy jak?

– Gaponia.

– Piekło niech go pochłonie.

Może nie aż tak, ale stary poeta nie myślał o Gaponi ciepło. Odwrotnie, jego myśli zacięły się w niechęci do tego groteskowego safandudy. Z każdym dniem dowiadywał się o nim coraz gorszych rzeczy głównie od hiszpańskiej żony i córek, lecz nie tylko.

– Zepsuł dziewczynę, jakich mało, a potem porzucił, jakby była rzeczą –

opowiedział Darek, zapytany przez starego poetę o czas, który spędził z Gaponią. – Lubił się wyręczać innymi w brudnych sprawach, a czystych, wierzyć się nie chce, nie było.

Nadbrzeżny, dyrektor kancelarii, a wcześniej steward w Domu Centralnym, niepytany zakomunikował z faryzejską troską:

- Don potrafił okazać szacunek. On nigdy. Gardził ludźmi.
- Wszystkimi?
- Nawet swoją matką, panie prezydencie.
- Więc mną najpewniej również.
- Nie inaczej, panie prezydencie.

Stary poeta przypomniał sobie arogancką wyższość, z jaką Gaponia przemawiał do deputowanych połączonych izb Zgromadzenia Narodowego, by ich przekonać do własnego pomysłu na państwo. Z jaką bezwzględnością wypomniął im drugorzędność, jak ich upokorzył bez żadnego celu poza własną satysfakcją. Jak w zatęchłym mieszkaniu swojej matki bez śladu miłosierdzia przedstawił mu, w końcu laureatowi wielu poetyckich nagród, z Premio Mondiale na czele, nędzę przyszłości i bezużyteczność zajęcia, jakiemu się poświęcił, jeżeli nie przyjmie jego warunków. Z jaką wyższością i odrazą wspominał naród, z którego obydwaj pochodzą, wywlekając jego wady, na jakie złożyły się przecież nie zdefektowane geny, a nieznaną litości historia.

A jeżeli już o narodzie mowa, to niektórzy jego przedstawiciele, i nie była ich garstka, zaczęli zadawać sobie elementarne pytania dotyczące własnej natury. Skąd we mnie nienawiść do wszystkiego, co nie jest mną lub moją rodziną? Skąd we mnie pogarda dla Żydów, pedałów, lesb, wegetarian, zwierząt lub drzew? Skąd niechęć we mnie do piękna i skłonność do wszelkiej szpetoty? Skąd we mnie ten gust koszmarny, każący stawiać przerośnięte domy, pancerne ogrodzenia, ziejące smrodem grille ukryte w szpalerach iglaków jak spod sztancy. Skąd we mnie wybór tych gazetowych szmat żywiących się na wyścigi chorobą, zdradą, zbrodnią, wszelkim ludzkim upadkiem lub wynaturzeniem? Czemu pędzę od granic swojej ojczyzny każdego prześladowanego, poranionego, chorego? Czemu

tracę życie przed komputerem na coraz brutalniejsze inscenizacje i oddaję się z zapalem własnej twórczości zdaniami złożonymi wyłącznie z przymiotników? Dlaczego uwaga u mnie nieustępująca na wszelką tandetę lub agresję, umiłowanie najprostszej muzyki, nikczemnego słowa, krwi na arenach, wrzasków na stadionach, ulicznych pogróżek, pogardy dla starości, delikatności, bezbronności?

Kto mnie takim uczynił? Gdzie się podziewa? Jak brzmi imię jego? Jak brzmi imię jego?!

W tej pretensji wyzutej już z bezwolności, nihilizmu, odrazy, a zbratanej z potrzebą czynu, niektórym z obywateli sekundować zaczęli deputowani obydwu izb Zgromadzenia Narodowego, pomni goryczy po przełknięciu słów Gaponi do nich skierowanych.

– Kiedyś byliśmy – przyzna to każdy, kto nas pamięta – porządnyimi ludźmi. Kto odpowiada za naszą zmianę?

To pytanie nie było też obce całej zgrai stewardów, dyrektorów, intendentów, dykasterów, ogólnie nomenów ze szczątków rządu i napęczniałego od prerogatyw Domu Centralnego. Nawet były prezydent zapiszczał coś z Nowej Soli, w której się odnalazł, przepędzony z pałacu przez Dona, a potem przywrócony do łask, z jakich już nie zdecydował się skorzystać.

Pytanie, kto odpowiada za ogólny upadek, nieść się zaczęło po kraju od granic do granic.

– Historia? – zapytał stary poeta, gdy usłyszał ten zgiełk.

Nadbrzeżny zaprzeczył ruchem głowy.

– Idea?

– Nie, panie prezydencie. Człowiek.

– Jeden człowiek?

Nadbrzeżny uśmiechnął się błazeńsko.

– Jeden człowiek? – powtórzył pytanie stary poeta.

– W dwóch osobach.

Stary poeta spojrzał na smugę kurzu między ciężkimi kotarami w ostrym świetle czerwcowego dnia. Zgarnął kurz dłonią, zacisnął ją, otworzył. Była

pusta. Zapytał:

– Wie pan, dyrektorze, na czym polega misterium ofiary?

– Nieszczerólnie, panie prezydencie – odpowiedział Nadbrzeźny.

– Na jej niewinności. Dlatego to jest jagnię. Pytam, bo pan pierwszy wspomniał mi o tej możliwości.

– Drugi, panie prezydencie. – Nadbrzeźny starał się być uprzejmy, lecz do grandezy Kanarka było mu daleko. – Pierwszy to pański szofer i bodyguard.

– Nie liczyłem – powiedział cierpko stary poeta, obchodząc biurko.

Nadbrzeźny chciał wstać z krzesła, lecz stary poeta zatrzymał go w pół ruchu. Podszedł do wysokiego okna. Zsunął bordowe kotary. Smuga kurzu pozostała za nimi. Wyszeptał:

– Dlatego to jest jagnię.

Nigdy nie przypuszczał, że tak nieważna będzie dla niego przeszłość i tak obojętna mu przyszłość. Że wykluczenie z biegu spraw na rzecz chwil stanie się jego jedynym celem. Dni nastaly długie, oszłamiająco piękne. Wstawał przed czwartą. Świty i poranki skąpane były w nadrzecznych oparach. Trzy, cztery godziny, kiedy noc przechodziła w dzień, dostarczały mu nieznanym dotychczas wrażeń, gdyż lubił się wylegiwać po obudzeniu i więcej wiedział o wieczorach niż rankach. A teraz, od początku czerwca – najpiękniejszego czasu na południowym Podlasiu – okutany w dwa szlafroki doświadczał urody, jakiej wcześniej mógł się co najwyżej domyślać, i chłonał to, co wokół, jakby na zapas. Czasami zjawiała się wiewiórka, o której przyjaźń bezskutecznie się starał, tarasem przebiegały polne myszy, poznał też stadko niewystrzelanych jakimś cudem szpaków. Niezmiennosc otoczenia ani na chwilę nie przywoływała nudy; płoszyła ból istnienia, który, jeżeli się pojawiał, to dopiero z południem, a więc porą dnia, jakiej nigdy nie wyróżniał. Tak czy inaczej, złe myśli, jakich się do końca nie pozbył, między świtem a porankiem straciły do niego dostęp. Jeżeli pani Maria przyjeżdżała na rowerze ze wsi, to nigdy przed dziesiątą, jeżeli nocowała w pensjonacie, to omijała Gaponię w czasie jego porannych medytacji, zagadując dopiero po późnym śniadaniu. A były to słowa najprostsze – o nielicznych małych zwierzątkach, bo po większych ślad nie pozostał, o roślinach wokół domu, bujności chwastów zarastających każdy parów, o rzece, która każdego dnia była trochę inna, i o tym co za nią. O sianokosach z niepowtarzalnym aromatem zżętych traw, których nie miał kto zbierać w wyludnionych wsiach, o zdrowiu, co im obojgu nie sprzyjało, ale też nie narażało na grozę nagłej śmierci ani nie mroziło jej rychłą zapowiedzią, tylko stało w proporcji do ich wieku i zaniedbania. Pani Maria została wdową przed pięćdziesiątką. Jej syn, jak wielu młodych mężczyzn z okolicy, zapił się na śmierć, a córka lata temu wyjechała w świat i przepadła. Pani Maria, dzieląc los wielu

innych samotnych kobiet z tych surowych stron, traktowała swój stan jako normalny, jako coś, co przynależy immanentnie ludzkiemu losowi.

– Jakie spotkały panią dzisiaj przygody? – pytał Gaponia, przypatrując się, jak pani Maria mimo wieku zręcznie zeskakuje z roweru, a ona odpowiadała, że w jej sytuacji, o starości nie wspominając, przygód się już raczej nie ma.

– Pan to co innego, panie Fabianie.

I wtedy uśmiechali się pogodnie do monotonii swojej egzystencji niezamieszanej w żadną przygodę lub jej zapowiedź.

Zdarzało im się też rozmawiać o psie – Gaponi wręcz z czułością, pani Marii rzeczowo, jak to kobiecie ze wsi, uznającej, że Mado osiągnął status, jaki się żadnemu psu nie należy. I to wzajemne odnoszenie się do spraw najpierwszych na początku dnia, z jego upływem przechodziło w bardziej wyszukane, tak by wieczorami, gdy pani Maria zostawała na noc w pensjonacie, zatrzymać się na filozoficznych, z ulubionymi duchami na czele. Gaponia po raz pierwszy poczuł, że bezsens nie sygnuje życia, jeżeli jego sens zawiera się w trwaniu. Od idylli dzieliła go taka sama odległość jak od męki istnienia i prawdę mówiąc, nie przypominał sobie lepszego czasu w swym już dosyć długim życiu. Zawładnęła nim przyjazna monotonia, jakiej od zarania najpewniej pragnął.

– Co by pan zjadł dziś na obiad, panie Fabianie, gdyby był pan królem Belgii?

– A czemu Belgii? – dopytywał się Gaponia.

– Bo o innych nie słyszałam – odpowiadała pani Maria.

– Pierogi ruskie ze skwarkami.

– Pierogi ruskie ze skwarkami?

– Gdybym był królem Belgii, pani Mario.

Jednego z tych czerwcowych dni forsował rzekę łódką, która przed rokiem do nich podpłynęła. Polubił ten wysiłek – przecinał rzekę długim skosem i pokonywał nurt tylko pozornie leniwy, by pójść potem przed siebie bezkresnymi łąkami, niesłużącymi niczemu poza pięknem. Miał narastające z każdym kwartałem kłopoty ze swoją niewydarzoną konstrukcją przeciwną



wszelkiej składowości, wszelkiemu użytkowi. Bolały go biodra, chwiały się kręgosłup, trzeszczały kolana, lecz uroda tej bezludnej przestrzeni przewiewanej wiatrem wynagradzała każdą niewygodę, każdy ból. Nierzadko przychodziła mu ochota, by zatracić się w tym marszu donikąd, bo ściana sosnowego lasu zamykająca horyzont zawsze oddalała się o pokonany dystans i narastał w nim apetyt na zrozumienie tego mechanizmu. Pragnienie pójścia tak daleko, jak to możliwe, by odnaleźć kres, nigdy nie było tak wielkie jak tego letniego dnia, który to raz na zawsze wykluczył.

Zobaczył go z brzegu, na który wrócił, a z połowy rzeki – rozpoznał. Atletyczna sylwetka mężczyzny, jakich wielu, z sortu uprawiających sporty, intensywnie ćwiczących na siłowniach, przestrzegających diety, szukających okazji do użycia tego, na co zapracowali.

– Co tam jest? – zapytał mężczyzna, wskazując łąki za rzeką.

– Pustka – odpowiedział Gaponia, przymocowując łódkę do kołka białego głęboko w nadrzeczny muł.

– Ryby?

– Kiedyś były.

Mężczyzna rozejrzał się wokół i rzekł z żalem:

– Piękna pustka.

– Też tak uważam – odpowiedział Gaponia. – Pan do mnie?

Mężczyzna potwierdził. Widoczna szrama szła mu od skroni do żuchwy. Była pamiątką po potężnym ciosie Darka, który go obezwładnił i rozbroił, gdy rok temu z okładem przybył, by na polecenie Czuba zabrać Gaponię do telewizji państwowej na ustawione nagranie na temat sukcesji po nieobecnym Donie. Mężczyzna miał widoczną szramę na twarzy i zadrę w duszy, więc gdy chwycił ramię Gaponi jak w cęgi i wycedził przez zęby: Idziemy, to widać było, że spełnia obowiązek i bierze odwet.

– Dokąd? – Gaponia bezskutecznie próbował się wyrwać z uścisku.

– Dowiesz się w samochodzie.

– W jakim samochodzie?

– W tym samym.

Z domu słyhać było ujadanie psa, którego pani Maria zamknęła w pokoju Gaponi, by się nie pokazał. Przy nieuprawianym gazonie stała ta sama honda accord, którą rok temu z okładem oficerowie SIdI przyjechali po Gaponię, a za kierownicą siedział ten sam młody człowiek, który złorzeczył Darkowi, a potem rozplakał się z bezradności.

– Muszę się odlać – powiedział Gaponia.

– Po drodze – warknął ten ze szramą.

Nie było co negocjować. Funkcjonariuszom SIdI, o której Gaponia, nieczytający gazet, niesłuchający radia, nieoglądający telewizji, myślał, że została rozwiązana, można było przeciwstawić siłę, z jaką się liczyli, lub pokornie im ulec. Chwilę potem oficer rzucił Gaponię na maskę auta i skuł. Pani Maria ruszyła z odsieczą, starała się osłonić Gaponię, krzycząc:

– Jak tak można?!

– Widocznie można, droga pani – rzekł w odpowiedzi oficer, po czym wepchał Gaponię na lepiącą się od brudu kanapę auta.

Brał odwet za upokorzenie sprzed kilkunastu miesięcy. Brał odwet, bez dwóch zdań.

Gaponia spojrział za siebie. Pani Maria stała obok nieuprawianego klombu, bardziej zdziwiona tym, co widzi, niż oburzona. Pensjonat Wrzos zniknął szybko za brzożami i szpalerem zdziczałych jabłoni, i tylko rozrywający serce skowyt psa nie cichł, choć byli już na szosie do Drohiczyzna.

– Nic mi do tego – rzekł ten ze szramą, moszcząc się obok Gaponi – ale wiozę cię w miejsce, którego nie polubisz.

Kilka dni wcześniej stary poeta zaprosił do siebie sędziego Hossego, którego kolejny nic nieznaczący premier powołał na stanowisko prokuratora generalnego w miejsce Kaliguli, zbiegłego podobno do gangów. Hosse, nieprzyjemny w obejściu gość, celebrował niekwestionowaną sześćioletnią mękę w jednym z przepelnionych ludzkim nieszczęściem, teoretycznie wydobywczych aresztów. Gaponia nieskutecznie upominał się o niego, zniżając się w końcu do rozmowy z pierwszym sędzią ludowym zwanym skurwysynkiem. Hosse stawił się w pałacu obleczony w ból i czarny mimo letniej pory i przedpołudnia garnitur, jakby był w żałobie po sobie samym.

Powiedział głosem tak cichym, że trzeba się było domyślać słów cedzonych jak przez gazę, że nie przybywa z niczym pomyślnym. Powiedział, że przy całym apetycie na zemstę na swoich bezpośrednich i pośrednich prześladowcach, urząd, którym kieruje, nie jest w stanie sporządzić aktu oskarżenia, który by się trzymał kupy, przeciw Fabianowi Grabowskiemu, osobnikowi najbliższemu Donowi. Powiedział, że nie dysponuje żadnym niezaprzeczalnym dowodem winy tej kreatury, jaki powinien ostać się w sądzie, jeżeli prawo miałoby tu coś do gadania. Powiedział, że sytuacja procesowa tego osobnika, politycznej nie przywołując, a życiowej nie wspominając, wymyka się wszelkiej jednoznaczności, że stanowisko konsultanta politycznego Domu Centralnego nie zaowocowało decyzjami, jakie mogłyby podlegać osądowi. Powiedział, że jego szczególna relacja z Donem nie podlega ocenie prawnej, gdyż zażyłość, a nawet przyjaźń z uzurpatorem, moralnie naganna, nie nosi znamion przestępstwa, jeżeli nie została zadzierzgnięta w złej wierze.

– A tego, panie prezydencie, nie udowodnimy.

– Jest niewinny? – zapytał stary poeta, a sędzia Hosse odpowiedział, że przeciwnie, jest winny jak mało kto, ale w sposób nieudowodnialny.

– To niesprawiedliwe – rzekł stary poeta, a sędzia Hosse odparł, że

z chwilą przyjęcia funkcji prokuratora generalnego przestał reprezentować sprawiedliwość. – A co pan reprezentuje? – zapytał stary poeta.

– Prawo.

– To nie to samo?

– Nie, panie prezydencie, nie to samo.

– Kto więc reprezentuje sprawiedliwość?

– Komisja działająca w imieniu tych, którzy sprawiedliwości się domagają.

W sposób uzasadniony lub nieuzasadniony.

– Stałoby pan na czele takiej komisji?

– To niemożliwe. Jako prokurator generalny, więc pierwszy oskarżyciel, nie mogę kierować pracami bytu, który ma wymierzać sprawiedliwość. To byłaby niedorzeczność.

– A gdyby stracił pan posadę prokuratora generalnego?

– Zmieniłaby się postać rzeczy.

– Na ile by się zmieniła, panie sędzio?

– Wystarczająco, jeżeli domyślam się, o co panu chodzi, panie prezydencie.

Wielka Sala Lustrzana odbijała ich sylwetki po wielekroć. Krępą, barczystą postać starego poety i górującą nad nim prokuratora generalnego, który kiedyś był chłopem na schwał, ale sześć lat barbarzyńskiego aresztu wysączyło z niego wszystkie soki i wysechł na wiór. W czarnym garniturze przypominał pogrzebacz stojący hakiem do góry.

– Nie domyśla się pan, panie sędzio! – krzyknął stary poeta, aż echo poszło. – Fabian Grabowski, zwany Gaponią, któremu zawdzięczam ten urząd i jego upiorną uciążliwość, jakiej nie przewidziałem w najczarniejszych snach, Fabian Grabowski więc winny jest i niewinny zarazem. Jest zbudowany w połowie z winy, w połowie z niewinności, wyczerpuje zatem znamiona łotra i ofiary w jednym. Pan, panie sędzio, skrzywdzony jak nikt w tym kraju, potrzebuje łotra. Ja ofiary. Pan wystąpi z pozycji racji i rozumu, ja z tej, która im przeczy. Ale jak pan widzi, jak widzi to moja rodzina, jak widzą to moi podwładni i wreszcie naród, musimy odwołać się do czegoś tajemniczego, w istocie ciemnego, by wyjść na światło. Sam siebie pytam, czy zwariowałem, i słyszę odpowiedź: Zwariujesz, jeżeli

nic nie uczynisz. Więc niczego się pan nie domyśla, panie sędzio. Jest pan zbyt wytrawnym prawnikiem, by mógł pan coś z tego zrozumieć.

– Istotnie, panie prezydencie – rzekł Hosse głośniejszym głosem niż na początku, jakby zapomniał, kogo miał w Sali Lustrzanej odegrać – dosyć to mętne.

– Ale wyboru panu nie pozostawię, panie Hosse – od starego poety wiało bezsilną złością – ponieważ go nie mam. Nie ma go moja żona, moje córki, moi urzędnicy, z których co drugi to była kanalia, i ten ponury naród. Nawet Bóg, gdyby istniał, też by go nie miał. Więc czemu pan miałby go mieć? – Stary poeta rozłożył ręce w geście niemocy, na którą się nie zgadzał. – Ma być osądzony. A przez niego reszta. Ale przed komisją jej nie postawimy, bo reszta to wszyscy. Kwestia wymierzonej mu kary jest drugorzędna.

– Uważa pan, że to coś zmieni?

– A co ryzykuję? Co ryzykuję, jeżeli nie zmieni. Nie będzie gorzej, bo to już nie jest możliwe. – Stary poeta podbiegł do Hossego i zadarł głowę. – Wierzy pan w cechy zbawcze ofiary? W zasadę: Daję, abys i ty dał? W mit założycielski ofiary?

Hosse zaprzeczył ruchem głowy. Jego długą twarz naznaczała jakaś fałszywa udręka, choć miał prawo do prawdziwej po latach kryminału, jaki mało kto przeżył. Jakby nie uwierzył we własną niezłomność.

– Dlatego zostanie pan szefem tej komisji, urlopowanym ze stanowiska prokuratora generalnego. Załatwię to z premierem, jeżeli aktualnie jakiegoś mamy.

– Jak go przekonałeś, Pino? – zapytała w środku nocy hiszpańska żona, gdy oboje nie mogli zasnąć na tym idiotycznie wielkim małżeńskim łóżu, z którego skorzystać mogłoby jeszcze jakieś inne małżeństwo bez konieczności przedstawienia się. Stary poeta nie otworzył oczu. Miał pod powiekami obraz jakiegoś porządku z nieznanego mu rzeczywistości, która ogarnia chaos. Nie odpowiedział od razu.

– Wiesz, że nawet nie wiem.

Ale wiedział. Tak jak wszyscy. Nikt nie musiał w tej kwestii nikogo do niczego przekonywać. Pogląd, że to, co stało się z krajem przez dekadę rządów Dona, nie może wymknąć się karze, upowszechnił się z tygodnia na tydzień. Nikczemność, w jakiej unurzano ten niepowtarzalny naród, musi mieć kres, to znaczy należy wydać ofiarom moralnej nędzy sprawców lub, co wygodniejsze, sprawcę tego nieszczęścia. Ze sprawcami delikatna sprawa, kłopotliwe niedopowiedzenie, rzecz nigdy nieprzesądzona, gdyż katalog sprawców rozszerzać można w nieskończoność, dołączając tych, których wina jest niewielka lub wręcz wątpliwa. Ze sprawcą sprawa prostsza, bo bezmiar jego winy, niewinności nikt przytomny nie zakładał, jest w proporcji do odrazy, z jaką się spotyka, a odraza w miarę przepoczwarczania się w nienawiść traci związek z celem, stając się kategorią samą w sobie. O ileż wygodniej skierować jej ostrze w jeden wskazany byt niż stępiać je na wielu substancjach, które musiałaby posiekać na kawałki.

Toteż fakt, że przed komisją Hossego stanął jeden tylko człowiek, a nie cały, powiedzmy, Dom Centralny, został przyjęty z ulgą. Bo jeżeli Dom Centralny, to czemu nie pójść krok dalej i nie zahaczyć o rząd, parlament, policję, SIdI, terenowe agendy partii, uczelnie, komitety. Bóg jeden wie, gdzie koniec takiej dintojry, która ciągle niezaspokojona dobrać się może do sąsiada z klatki, ziomala z bloku, kumpla z wojska, koleżanki z klasy, szwagra i lepiej sobie tego dalej nie wyobrażać, bo im dalej, tym bliżej; rzecz można, niebezpiecznie blisko. Może i naród odpuścił sobie przyzwoitość, ale głupi nie był i nie jest.

Toteż prasa, radio, telewizja, internet przestały zajmować się czymkolwiek poza wilczym apetytem na odwet, którego nie zbrukałaby tchórzliwa, niemoralna litość, tak że nawet najjadowitsze kpiny ze słabości spedałonej Europy błąkałyby się gdzieś na peryferiach szpalt, anten, platform.

Popatrz, Sebek, jaki bezczelny skurwiol, mówił ten lub tamten do brata,

syna, kumpla lub szwagra przy piwie i grillu, zerkając w telewizor lub inny elektroniczny nośnik, jakby tam był, nie przymierzając, mecz, transmisja z aren lub teleturniej o milion, a nie mizerny jak nigdy Gaponia, który odpowiadał, że niekoniecznie.

– Co niekoniecznie, panie Grabowski? – dociekał sędzia Hosse.

– Niekoniecznie nihilizm. Don mówił: Spójrz, jaki ten świat jest zły. Ale bez satysfakcji, bez schadenfreude, jak to pan raczył nazwać, lecz ze smutkiem i rezygnacją.

– To było wam wspólne. – Sędzia Hosse przypominał nieco Gaponię tym niezdrowym wychudzeniem, którego przyczyna leży w czymś dużo mniej banalnym niż brak apetytu. – Co jeszcze?

– Owszem, niechęć do rodzaju ludzkiego – Gaponia uśmiechnął się blade – najdelikatniej mówiąc.

– To się zdarza. Każdy z nas ma takie chwile.

– To nie były chwile, panie sędzio. W tym względzie podobni byliśmy mędrcom, filozofom, świętym.

– Jakieś nazwiska?

– Długo by wymieniać, panie sędzio.

– Mimo wszystko.

– Naprawdę nie wiem, od kogo miałbym zacząć, więc może wymienię tych, którzy z rodzajem ludzkim się godzili.

– Czemu chce pan zacząć od nich?

– Bo jest ich mniej.

– Błąd ontologiczny i przesąd – powiedziała starsza pani z gładko zaczesanymi siwymi włosami, upiętymi z tyłu w kok, które podkreślały delikatność jej twarzy i subtelność, jaka naznaczała jej rysy, do młodej, równie subtelnej córki, może uczennicy, w lichym mieszkaniu wypełnionym książkami – pesymizm egzystencjalny tego nie tłumaczy.

– Ani nie usprawiedliwia – dodała młodsza, nie odrywając wzroku od telewizora.

Bo nie było miejsc, gdzie Gaponia nie byłby przyjmowany w poczuciu moralnej przewagi, ani obywateli, którzy nie poczuliby się zranieni jego

poglądami. Dotyczyło to nawet beneficjentów lat minionych, nieustannie głodnych pieniędzy i zaszczytów lub takich, których gotowość do wybaczenia wynosiła nad ogół. Nikt Gaponi nie pobrażał, a to, że nie był on powszechnie znany, że poza nomenami z Domu Centralnego mało kto o nim słyszał, że był w głębokim cieniu Dona, tylko wyolbrzymiało jego winy, jak to się dzieje, gdy je przypisujemy bytom nierozpoznanym, obcym, eminencjom szarym jak kwit na węgiel.

– Stworzyliśmy ludziom tylko taką okazję – mówił Gaponia członkom komisji złożonej nie z wyposzczonych ludojadów, lecz z osób skrzywdzonych przez reżim, a ściślej – jego bezwład, lub takich, którzy za skrzywdzonych się uważali.

– Jaką okazję ma pan na myśli? – dociekał sędzia Hosse, który z każdym dniem przesłuchań był coraz bardziej w swoim żywiole.

– Okazję do zła, panie sędzio.

– Nie przyszła wam do głowy odpowiedzialność za skutki tej okazji.

– Mogę powiedzieć tylko to, co sądził o tym Don.

– Słuchamy.

– Don uważał, że pytanie o skutki stworzonej okazji jest niestosowne, nie ma nic do rzeczy, że to jest źle postawione pytanie. Mówił swemu ludowi: Tacy jesteście, ani trochę lepsi.

– A pan, panie Grabowski, co o tym sądził? Miał pan na to jakiś pogląd?

– Pewno pana rozczaruję, panie sędzio, ale to nie zaprzętało moich myśli.

– Trudno w to uwierzyć.

– Jak spoglądam wstecz, z perspektywy czasu, jaki minął – drobna twarz Gaponi, tak mizerna, że ledwo odcinała się od tła, odmłodniała na chwilę w bezczelności – to muszę się z panem zgodzić, panie sędzio.

– To znaczy?

– Że trudno w to uwierzyć.

Nie dać się przyłapać na naiwności, mówiła ta twarz, tak oddająca na co dzień wszelką bezradność, bezbronność, smutek, wszelką niemożność. W Sali Antycznej Zgromadzenia Narodowego z powodu zepsutej klimatyzacji panował sierpniowy upał. Gaponia wachlował się niepodpisanym protokołem



z poprzedniego dnia, a to na członkach komisji, którzy się nie wachlowali, sprawiało wrażenie nonszalancji. Trzydziestoletnia najwyżej kobieta, uważna, blada, niezbyt ładna, poprosiła o głos. Powiedziała, że wróci na moment do okazji, z jakiej Gaponia mógłby skorzystać.

– Okazji do czego? – Gaponia upuścił protokół na stolik.

– Okazji do skruchy.

– Żalu za grzechy?

Kobieta potwierdziła.

– Czyje grzechy?

– Zapytałam poważnie.

– Ja również.

Kobieta rozłożyła ręce i zbladła jeszcze bardziej. Wysoko pod sufitem ruszył wiatrak. Wszyscy spojrzeli nań z nadzieją. Śmigło pokręciło się, zazgrzytało i stanęło.

– Jestem zawiedziony! – wrzasnął stary poeta do Nadbrzeżnego i Czuba. – Gaponia to baranek ofiarny lub, jak kto woli, kozioł, nie demon. Ma być sądzony za mimowolny udział w tym bajzlu, nie za intencje. Nic od niego nie zależało przy Donie. To safandula, który ma grać to, co napisał mu los, a nie to, co podpowiada mu Hosse. A temu co się, kurwa, wydaje, że przepytuje Dona? Cała ta komisja traci sens. Stroją tego niedojdę w zbroję, a ten przegląda się w lustrze i powiada, że mu pasuje. Gaponia ma być tym, kim jest, a nie tym, kim chcą go widzieć te chuje z komisji. Gdzie Hosse ich pozbiarał? Kim jest ta blada adwokatka z jezuickim, kurwa, zacięciem? Do jakiej skruchy go prowadzi? Czuję się zawiedziony. Zawiedziony jak nigdy. Jak nigdy.

W przeciwieństwie do obywateli, bo obywatele bez względu na parafię poczuli się potraktowani serio. Poza rozrywką w męczącym kraju obywatele otrzymali obraz tego, który odpowiadał nie tylko za nieredukowalne krzywdy wyrządzone bezbronnym, ale i za bierność niesprzeciwiających się złu, i za ponure iluzje, jakie do tego zła prowadziły. Nadarzyła się okazja zadośćuczynienia ofiarom, rozgrzeszenia obojętnych i darowania win podłym, których ojcem i matką było tchórzostwo lub częściej – przyjemność bezkarnej przemocy.

– Słyszę lament – powiedział Gaponia, pochylając się nad stolikiem, który się niemiłosiernie kiwał i z którego nieustannie zsuwały się dokumenty, podsuwane Gaponi, by go dręczyły. – Słyszę lament skurwionego czasu, jaki jeszcze niedawno witał każde zdarzenie odrażającym rechotem, obelgą dla smaku. A teraz słyszę lament skurwionego czasu, który jest obelgą dla smutku, refleksji, straty, bo służy martwemu zamiarowi. Wasza wiara w moją winę go nie ożywi.

Z każdym dniem przesłuchań Gaponia stawał się w oczach bliźnich kimś żałośniejszym, nie wzbudzał jednak współczucia, lecz złość. Od jakiej łajzy zależał nasz los, mawiał ten czy tamten, od jakiego śmiecia. I nawet jeżeli byli wśród nich żałujący tego, co minęło, to ich niechęć do Gaponi, podszyta pogardą, żądała kary równie stanowczo jak ci, którym żal za minionym udało się ukryć tak głęboko, że rozłożyły go soki żołądkowe.

Właściwa ludowi, każdemu ludowi, potrzeba posiadania wroga znalazła swą przystań i Gaponia wznosił się w oczach rodaków na wyżyny podstępny, wiarołomstwa, nikczemności. Ale nieliczni przyglądający się temu spektaklowi dostrzegli niebezpieczeństwo, jakie kaprys sprowadza na rzeczywistość. Pochód pogardy i nienawiści gotów do ostatecznego szturmu może się ni z tego, ni z owego zatrzymać, przerzedzić, rozejść, porzucić sztandary i transparenty. Jeżeli ten spektakl ma mieć owacje na stojąco, to

nie może znudzić powtarzalnością. Odraza, jaką w obywatelach budzi Gaponia, jest płytka i jeżeli to wszystko warte jest mszy, nie należy przewlekać tego ponad wytrzymałość tej, nie oszukujmy się, fikcji.

– Siedzę w tej robocie od pół wieku, panie redaktorze – rzekł Richard Wayne z „Washington Post” do Czuba, rzecznika prasowego prezydenta. – Słuchałem tyranów od Noriegi po Saddama, to byli inni ludzie. Grabowski ich nie przypomina.

– W jakim sensie inni? – zapytał Czub.

– W ludzkim.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. Ile lat jest pan w tej branży?

– Kilkadziesiąt.

– To powinien pan wiedzieć, że pozory mylą. Po zniknięciu Dona nie ma w tym kraju winniejszego.

Może tak, może nie. Nawet jeżeli Czub wyraził to, co myśli i co szczerze myślała większość, to pałac miał tego dość, gdy sprawy każdego mijającego dnia skręcały w krzaki. Miał tego świadomość sędzia Hosse, gdy skonstatował, podobnie jak kilku innych członków komisji, że przepytywanie, jakkolwiek by to komuś pasowało, bytów subtelnych, miotających państwem w rytm przypływów i odpływów własnej do niego niechęci, mija się z celem. Jeżeli opatrność wedle prostackich kryteriów istnienia podsunęła tym najlichszym z lichych taką możliwość, to coś tu nie tak z opatrnością.

– Przeżyliśmy przygodę życia, my, zdawało się, trwale odłączeni od przygód – mówił Gaponia, stukając kulawym stolikiem o posadzkę. – Odłączeni od męskich przyjaźni, romansów, sportów, pijatyk, podróży. Los podsunął nam szansę, a my w rewanżu podsunęliśmy szansę narodowi. Jakkolwiek to źle wam zabrzmi, byliśmy ostatnimi inteligentami w otchłani cwaniactwa, grubiaństwa, bezrefleksyjności po obu stronach barykady.

– Jak wam się to udało? – zapytała młoda kobieta o nieładnej, bladej, mądrej twarzy. – Jeżeli się udało.

– Obiecaliśmy wszystko. Nie pamięta pani?

– Nie można obiecać wszystkiego.

– Obiecaliśmy coś więcej niż życie. Coś więcej niż szare, zwyczajne, przewidywalne, pocziwe lub niepocziwe życie. Obiecaliśmy blask. – Gaponia wyrznął dłonią w blat zasłany dokumentami w przyływie gorączkowej energii. – Rozumie pani, pani mecenas. Obiecaliśmy blask!

Stolik zakółsał się, zastukał i runął. Mikrofon na wiotkim statywie, który raz działał, raz nie działał, zaskowyczał jakimś wysokim tonem i umilkł. Podobnie jak cała reszta w sali zwanej Antyczną. Tylko jesienna już mucha napierdała w okno jak opętana.

– *Sacro egoismo* – rzekła blada adwokatka, gdy cisza przeciągać się zaczęła w jakąś ogólną bezsilność. – Wie pan, co to znaczy?

– Domyślam się – odrzekł Gaponia.

Nikt nie podniósł mikrofonu, stolika, kwitów i Gaponia siedział nad pobojuwiskiem, które miał u stóp.

– Czy to lśni?

– Przywołałem tylko obietnicę.

– Lśniła?

Gaponia rozłożył ręce. Twarz posmutniała mu jeszcze bardziej.

Przez następnych kilka dni członkowie komisji niepowodowani, co było widać, jakąś szczególną ciekawością, dopytywali, czym lśniły ścigające się ze sobą na podłóż demagogie, infantylne mitologie, najtańszy mistycyzm, naiwny etnocentryzm i groźny szowinizm, a Gaponia, jak w transie, brał na siebie winę za winą, nie obarczając nią Domu Centralnego, komisji, inspekcji, centurii, prokuratorii, żadnego z nomenów, nawet Dona.

– Nie jest ofiarą ani sprawcą. Jest obok. Sądźcie nie tego człowieka – warknął stary poeta, gdy sierpień z dnia na dzień skłaniał się ku jesieni. – Lata temu odkręciliśmy we trójkę zawór, chlusnęło z rury głównem. Baniak zaczął się tym smrodem napawać, ja dałem nogę, a Gaponia trwał między nami i wymyślił blask. Ten magiel to absurd.

Jakby nie zauważając nikogo wokół, rzucił w przestrzeń holu, z którym nie radził sobie, mimo starań, porządek uwięziony w potrzasku bezhołowia i brudu:

– Konkluzja?

– Winny – odpowiedział Hosse.

– A dalej?

– Sąd, panie prezydencie, miejmy nadzieję, że niezawisły.

– Który wymierzy karę?

– Tak, panie prezydencie.

– Lub uniewinni?

– Który wymierzy karę. Procedura nie przewiduje uniewinnienia, gdyż wtedy sąd postawiłby się ponad komisję.

– Sądziłem, że to instytucje od siebie niezależne.

– Nie w tej sprawie, panie prezydencie.

– Powieszą chudzielca? – zapytała hiszpańska żona, przewracając się w małżeńskim łóżu z boku na bok nie tyle niespokojna, ile, podobnie jak mąż, ruchliwa.

– Co ty gadasz, Ilahenia? – szepnął stary poeta. – Co ty, na miłość boską, gadasz?

– Tylko pytam, Pino. – Hiszpańska żona obróciła się raz jeszcze z boku na bok i zasnęła.

W przeciwieństwie do męża, który obudził się właśnie z bardzo długiego

snu, w jakim tak naprawdę za nic się nie odpowiada, gdyż wszystko jest co najwyżej przedmiotem powierzchownej kontemplacji w rozbracie z konsekwencją. To co było w jego najskrytszym zamiarze tylko grą z opatrnością, intelektualną hulanką w znoju urzędniczych rytuałów niemających związków z żadną pomyślnością, teraz może się stać rzeczywistością, która powie: sprawdzam. Bez względu na rozstrzygnięcie, ciemna i nieodwracalna. Niczym w rosyjskiej ruletce. W jednej z sześciu komór jest nabój, lecz kto by tam niefortunny bieg zdarzeń brał sobie do serca. W końcu pięć komór jest pustych.

– Jaskrawość go otumaniła. Komisja podpowiedziała bzdury. Wszedł w skórę Dona i nie znalazł z niej wyjścia – szepnął stary poeta lub tylko tak pomyślał. – A nie był nawet pomocnikiem. Bo niby czym? Dwie niedojdy, jakie żart wystrzelił w niebo. Zakładnicy najciemniejszych mocy, jakie wywołali zabawą we władzę.

Ale sąd nie podzielał tej opinii i skazał Gaponię na karę śmierci za zdradę stanu. Kodeks karny, osiem lat wcześniej znowelizowany przez Kaligulę i zatwierdzony przez obie izby Zgromadzenia Narodowego, podyktował obligatoryjną karę ostateczną za zdradę stanu i pedofilię i sąd nie miał wyboru, choć przyznać trzeba, że dopiero czwarty skład na takie orzeczenie się zdecydował. Ogłosiła je trzydziestoletnia sędzina o figurze modelki i dwie asesorki, które w tej sprawie nie miały prawa orzekać, lecz orzekały, gdyż kraj, jakkolwiek obracał się w stronę prawa, tkwił jeszcze w bezprawiu. Iluzoryczność tej kary znieczuliła najpewniej trzy młode gracje na ponury konkret, gdyż nawet najbardziej sprostytuowane sądy nie decydowały się na jej zastosowanie i szafując drakońskimi wyrokami za byle co, życia swojej klienteli nie pozbawiały. Więc kara dla Gaponi, orzeczona czy nieorzeczona, była w jakimś stopniu teoretyczna. Jeżeli jej nigdy nie wykonano bez orzekania o niej, czemu miano by wykonać z orzekaniem. Była sankcją trochę nie z tego świata, tak czy owak mało realną, podobnie jak sąd i kobiety, które go reprezentowały.

Z drugiej strony, usprawiedliwieniem dla bezrefleksyjności trzech gracji o porcelanowych twarzach i pustych spojrzeniach było nieznane temu krajowi zgorzenie postawą Gaponi, o pogardzie i obrzydzeniu już nie wspominając. Jeżeli to wszystko miało mieć jakiś wymiar, powiedzmy moralny, to każda kara poniżej ostatecznej by go zrujnowała. Tak czy owak Gaponia miał zawisnąć, a aplauz witający tę decyzję nie pozostawiał wątpliwości, że każda oględniejsza byłaby najgłębszym rozczarowaniem. Temu wrażeniu poddali się nawet Hosse i jego zastępczyni w komisji, błada adwokatka. Wyrokiem byli poruszeni, choć rozumieli, a nawet przewidywali, bezwzględność sądowej mechaniki.

– Nie dało się inaczej? – zapytał stary poeta.

– Widocznie nie – odpowiedział Hosse.

- Jest jeszcze droga odwoławcza.
- Pan Grabowski z niej nie skorzysta.
- Skąd pan to wie, panie sędzio?
- Z doświadczenia, panie prezydencie.

I tak też się stało. Gaponia nie skorzystał z możliwości odwołania się od wyroku, bo był zbyt dumny. Jeżeli zestaw wad, dysfunkcji, niemożności, śmieszności tego groteskowego człowieka miałyby zwieńczyć najżałośniejsza, byłaby nią duma. Dumny był więc i przerażony. Nie bał się śmierci, zdarzały mu się chwile, kiedy jej wypatrywał, lecz na własnych warunkach, a nie podyktowanych przez tłuszcę delegującą do zemsty trzy bezduszne idiotki.

Kryminal, do którego dowieziono Gaponię po dziesięciu godzinach podróży nieremontowanymi od lat drogami, jeden z dwóch wyznaczonych do egzekucji, przywitał go nieopisanym smrodem ludzkiej udręki, wilgotnym zimnem i pustką. Przeznaczony dla kilkuset więźniów, niedawno jeszcze goszczący kilka tysięcy, gdyż spełniał również rolę aresztu wydobywczego, a teraz opróżniony do kilkudziesięciu skazanych w wyniku dwóch amnestii ogłoszonych przez prezydenta, cichy był jak grobowiec. Jakby ci, którzy w nim pozostali, stracili siły na jakąkolwiek nadzieję. Do uprawomocnienia się wyroku Gaponię ulokowano w czterdziestoosobowej sali opuszczonej przez ostatnich pensjonariuszy niedawno, gdyż na pryzkach walały się jeszcze skotłowana szara pościel i lepjące się od brudu koce. Odoru z kibla nie neutralizowały nawet przeciągi.

– Kojo możesz sobie wybrać i na twoim miejscu bym to docenił – warknął młody klawisz, wprowadzający Gaponię do środka w asyście trzech funkcjonariuszy w cywilu.

Rozkuto go i pozostawiono samemu sobie, to znaczy przerażeniu tylko nieznacznie znieczulonemu zmęczeniem. Gaponia kucnął pod drzwiami i z głową między kolanami zaczął kiwać się w przód i tył, z pięt na palce i z palców na pięty. Tkwił w tej pozycji dopóty, dopóki ból kręgosłupa nie kazał mu jej zmienić. Wtedy podszedł do okna pod sufitem i z taboretu spojrział na zewnątrz. Zobaczył rzekę – prostą, wątlą, nieruchomą, miał wrażenie, że niezdrową, nieodwracalnie wyniszczoną – i to musiała być



Odra. Smutek tej wody, tak innej od niepokornego Bugu, przyjął z obojętnością. Znów był nad rzeką, tyle że niemą. Jakby wiedziała, że ten, który ją obserwuje, nie ma pragnień. Bo ich nie miał, gdyż każdy zaułek jego wnętrza, z którego mogłoby wychynąć pragnienie, wypełniał zwierzęcy lęk, co pokrywał wszystko. Toteż Gaponi nie chciało się spać, jeść, pić, sikać, srać, siedzieć, chodzić ani leżeć. Nie odzywało się w nim już żadne echo. Nie mógł nawet myśleć i myśl o tym, że nie myśli, przyniosłaby może ulgę, gdyby nie stan jego umysłu, zablokowany na jednym strasznym wyobrażeniu męki, gdy śmierć się ociąga, a świadomość nie zagłusza bólu, którego nie można sobie wyobrazić, odwrotnie, raczej go wyostrza i w miarę utraty tchu człowiek przytomnieje, a chwila, bo to nie może być nic innego, nie chce przeminąć.

– Jeżeli szarpnięcie nie złamie ci karku – mówił w podróży na drugi koniec kraju jeden z trzech cywilów, którzy wieźli go na miejsce egzekucji jakąś blaszaną landarą wypełnioną smrodem spalin krztuszącego się diesla – to powijesz się na nylonowym stryczku nawet kilka minut, nim oddasz duszę Bogu. A może nie złamać, boś lekki jak drzazga.

Minęło popołudnie, wieczór, noc. Podano mu dwa razy tę samą zupę, która miała zapach wygotowanej ścierki do podłogi. Smaku nie poznał. Rano załomotał w drzwi i zażądał widzenia z naczelnikiem lub którymś z oficerów.

– Po co? – zapytał młody klawisz, który go tu wprowadził.

– Chcę papier, długopis, adresy sądów.

– Po co? – Głos klawisza zdradzał niechęć do współpracy.

– Chcę zmiany wyroku. Chcę się odwołać. Mam do tego prawo.

– A to się okaże – warknął klawisz i zasłonił judasza.

Przepadł na dobrą. Wywołany powtórnie przez Gaponię, poinformował nie bez satysfakcji, że naczelnik jest na chorobowym i wróci za dwa tygodnie, jak mu się poprawi.

– W takim razie proszę mnie skontaktować z kimś, kto go zastępuje.

– Tak się składa – młoda twarz klawisza spotworniała w grymasie, który być może był uśmiechem – że nikt go nie zastępuje.

Gaponia krzyknął, że pozbawia się go tu jego podstawowego prawa,

a klawisz, nie przestając się uśmiechać, jeżeli to był uśmiech, rzekł, że to, czego się pozbawia, zostanie przywrócone, jeżeli osadzony sobie tego życzy, w try miga albo i lepiej. Wrócił po kwadransie z dwumetrowym kawałem mięsa w błyszczącym dresie, który był najpewniej w tym zakładzie strojem reprezentacyjnym, by nie rzec wyjściowym.

– No, Zdebek, rób swoje.

Zdebek pochylił się, poprawił spodnie w kroku i walnął Gaponię od niechcienia w brzuch. Gaponia upadł na podłogę jak szmatka i znieruchomiał.

– Jezu, Zdebek, miało być luźniej.

– Luźniej nie można, panie oddziałowy – odpowiedział Zdebek. Miał nieobecny, smutny twarz.

Gaponia nie podniósł się z podłogi przez dwa dni. Nie widział powodu. Rzygać żółcią i wnętrznościami było nawet wygodniej. Trzeciego dnia klawisz i jeszcze jakiś mundurowy sprowadzili lekarza – eleganta skropionego wodą kolońską, ubranego w błękitną koszulę i jasny garnitur, by podkreślić opaleniznę. Wrócił z Wysp Kanaryjskich. Chwalił hotel, jedzenie, program animacyjny. Kazał ułożyć Gaponię na pryczy i zapisał zastrzyk przeciwbólowy. Zapytał klawisza, czy sobie poradzi.

– Czemu nie, panie doktorze – odpowiedział klawisz. – W dupę?

– Może być w dupę – zgodził się doktor i otworzył sobie celę przez ligninę.

Klawisz odprowadził go przed zakład, pod wyglancowanego Citroëna.

– Jakbym znał tego człowieka. – Doktor westchnął. – Jakby z telewizji czy jak...

– Przypomina niejednego. – Klawisz też westchnął. – Pan kłania się żonie i dzieciakom.

Doktor podziękował, otworzył auto i wsiadł do niego jak do innego świata. A Gaponia w świetle, w którym go pozostawiono, na wyszmelcowanej pryczy, stracił przytomność, ocknął się, znów ją utracił. I to nie było złe. Nie było złe w jego sytuacji, jeżeli w jego sytuacji mogło być coś, co byłoby dobre.

Chociaż jakąś próbę podjęto. Stary poeta poprosił dyrektora swego gabinetu, by przygotować dokumenty do ułaskawienia Gaponi, czy jak to się tam nazywa. Nadbrzeżny powiedział, że pojęcia nie ma, jak się do tego zabrać, ale niewątpliwie takie prawo prezydentowi przysługuje, więc da odpowiedź do końca dnia, jakby to od strony formalnej miało wyglądać. Był zmieszany, by nie rzec – skonsternowany. Przed końcem dnia zjawił się u starego poety mecenas Kot zwany w gangach Kanarkiem. Przybył niezapowiedziany, co mu się dotychczas nie zdarzało.

– Jako prawnik pańskiej kancelarii, panie prezydencie – jak na nienaganne wychowanie i wytworny sposób bycia, będący formą obrony przed dosadnością gangów, mówił trochę za głośno – nie mogę nie zwrócić panu uwagi, że akt ułaskawienia Fabiana Grabowskiego, do czego ma pan oczywistą delegację prawną z tytułu pańskiej godności, będzie deliktem, który rozminie się ze społecznym oczekiwaniem.

– Mów pan po ludzku – mruknął stary poeta, a kostki jego zaciskających się w pięść palców zbieleły, jak to się dzieje, gdy sprawy kosztują nas więcej, niż są warte.

– Nikt tego nie zrozumie, panie prezydencie.

– A co tu jest do rozumienia. Mogę ułaskawić, mogę nie ułaskawić. Co tu jest do rozumienia?

– Więcej niż pan myśli, panie prezydencie. Ludzie odbiorą to jako niekonsekwencję prowadzącą do absurdu, który znów weźmie ich w posiadanie. Najogólniej mówiąc, poczują się zawiedzeni. Taki zawód nie leży w interesie pańskiego projektu. On go zrujnuje. Znajdziemy się w punkcie wyjścia, tyle że słabsi, bo ośmieszeni.

– To drobny cwaniaczek, ten pański Kanarek – stary poeta usłyszał w słuchawce telefonu głos cichy, powolny, ton protekcyjny, podszyty moralną przewagą, jaką trzeba było złożyć na ołtarzu przyzwoitości i jaką

się złożyło – ale tu bym się z nim zgodził. Zawarł pan kontrakt, w którym, jak to z kontraktami bywa, jest pan tylko stroną. Pan wskaże narodowi winnego błędów, a naród go osądzi. I tak też się stało. Chce pan zerwać tę umowę, oszukać obywateli, dać im do zrozumienia, że to była tylko gra, której zasady ma pan prawo zmieniać w rytm własnych nastrojów? Bo to nastrój, panie prezydencie, nieprawdaż?

– Nic panu do moich nastrojów, panie Hosse – warknął stary poeta i gdyby rozmowa toczyła się twarzą w twarz, sędzia musiałby skonfrontować się z tą niebezpieczną chwilą tuż przed wybuchem niekontrolowanego gniewu pierwszej osoby w państwie, przed czym czmychali najodporniejsi. – Miewam je jak każdy, ale mną nie kierują. Przynajmniej w robocie. – Pierdolonej robocie, dodał w duchu.

– Więc cofam słowo „nastrój”, ale muszę postawić pytanie. Czy to nie pan wskazał Grabowskiego jako tego, którego należy osądzić?

Stary poeta trzasnął słuchawką. Dwie godziny później, wieziony do jednego z tych miejsc, gdzie ludzie zastygli w niemożności, do spraw skazanych na niepowodzenie, do problemów odpornych na każde rozwiązanie, zapytał szofera Darka o akt łaski, a Darek odpowiedział, że to właśnie jest jedna z tych chwil, w których dziękuje opatrności, że nie jest prezydentem.

– Gdyby to się jednak panu zdarzyło? – zapytał stary poeta.

– To miałbym kłopot – odpowiedział Darek.

– Jakby pan go rozwiązał?

Darek rozłożył ręce, puszczając na moment kierownicę.

– Nie dosłyszałem.

– Bobym go nie rozwiązał, panie prezydencie.

Trzy dni później zadzwonił Nadbrzeżny, by poinformować starego poetę, że komplet dokumentów potrzebnych do rozpoczęcia procedury ułaskawienia jest gotowy.

– Gdzie je pan ma? – zapytał stary poeta, biorąc łyk kawy z mikroskopijnej filiżanki.

– Przed sobą, panie prezydencie.

– No?

– To było pytanie, panie prezydencie?

– Z nadzieją na odpowiedź, Nadbrzeżny.

Ciszę słychać było z jednej i drugiej strony. Stary poeta opróżnił filizankę i odstawił na równie jak ona misterny spodek. Usłyszał:

– Nie pozwolę panu zrobić tego błędu. Jestem po rozmowie z kilkoma ludźmi z naszego personelu. Nie ma nikogo, kto uznałby pański pomysł za fortunny. Nie pozwolę panu zrobić tego błędu, nawet gdybym miał stracić u pana zajęcie. Kiedyś Don na jednym z parteitagów w Domu Centralnym pochwalił mnie za cynizm. Widać na wyrost. Komplet dokumentów, który mam przed sobą, nie robi z mego biurka ani kroku. – Nadbrzeżny westchnął i dodał miękko: – Przykro mi, panie prezydencie.

– Mnie też – odpowiedział stary poeta i się wzruszył, diabli wiedzą czym. Może własną szlachetnością w opozycji do obywateli żądnych krwi, może samotnością swojej refleksji, a może losem Gaponi, kiedyś partyjnego kompana, który tak nieroztropnie stracił okazję dołączenia do męczenników tworzących historię tego narodu. – Serce mnie boli – wyszeptał, przykładając dłoń do mostka.

– Ten chudzielec cię wykończy, Pino. Złapał cię w pułapkę, jakbyś był królikiem z Hervás, a teraz cię wykończy.

– Proszę Nadbrzeżnego o dokumenty do ułaskawienia – stary poeta mocował się ze spodniami od pidzamy – a ten do mnie, panie prezydencie, nie pozwolę panu na ten błąd. Masz pojęcie, Ilahenia, błąąąd!

– Trafił ci się dobry dyrektor, Pino, nie złorzecz. – Wiotka koszula nocna owinęła się na kształtnym ciele hiszpańskiej żony, którego nie miał się czas. – Szanuj go. Dba o twoje interesy, nie to co ten chudzielec, który myśli, że jesteś królikiem z Hervás albo susłem. Śpij, Pino, bo umrzesz pierwszy.

– Nie wiem, co mam zrobić, Ilahenio. Doprawdy nie wiem.

Hiszpańska żona wyciągnęła się na małżeńskim łożu smagła i zachęcająca.

– Zbliź się do mnie – szepnęła – a potem zaśnij.

I stary poeta się zbliżył, a potem zasnął, a przed snem odetchnął kilka

razy głęboko i cały czas miał w oczach niezgrabną sylwetkę Gaponi i jego zachwianą w proporcjach, niesymetryczną twarz i mądre spojrzenie nieskończenie smutnych oczu, i jego winy, i jego – paliło to poetę żywym ogniem – zasługi. A potem, we śnie już najpewniej, anioł, może śmierci, podpowiedział mu to, czego sam się po sobie spodziewał: Nie czyń nic. Sprawy pozostaw samym sobie. Niech się dopełnią.

I tak się stało.

– Nawet Argentyńczycy nie powiesili Jorge Videli, mimo że to naród młody i porywczy – oznajmił Czubowi Richard Wayne z „Washington Post”, gdy wiadomość, że prezydent nie skorzystał z prawa łaski i egzekucja Gaponi zostanie wykonana niebawem, poszła w tłum. – Nasi czytelnicy chcieliby coś zrozumieć z tego, co dzieje się w pańskim kraju. Po to mnie tu przysłali. Egzekucja tego nieszczęśnika im tego nie ułatwi.

Czub odpowiedział, że jest wina i kara i nie uważa, by amerykańscy czytelnicy mieli problem ze zrozumieniem tej zależności.

– Tak mu powiedziałaś, Czub? – Darek cofnął oparcie fotela i wyciągnął się w nim, zamykając oczy.

– Dokładnie. – Czub obok zrobił to samo. Bawił się suwakiem nawiewu powietrza. – Nasz mistrz słowa chciał wykiwać los. Jak to mówią, zjeść ciastko i mieć ciastko. Osądzić Gaponię i go oszczędzić. A tak się nie da. Wilk syty i owca cała to tylko w przysłowiach. Wspominasz czasami stare dzieje?

– Jak stare, Czub?

– Kiedy włóczyliśmy się po arenach Europy.

– Wschodniej i Środkowej dla ścisłości.

– Niech ci będzie, że Wschodniej. Wspominasz iwenty, na których karty zależały od nas, bo je rozdawaliśmy?

– Jak przez mgłę, Czub.

– A łaski, które obracaliśmy do znudzenia?

– Podobnie.

– Ma się rozumieć, trochę lat minęło. – Czub rozejrzał się po wnętrzu prezydenckiej beemki zaparkowanej przed pałacem. – Pamiętasz tę z Baia Mare, rudą, jakby była Szkotką czy jak? Pamiętasz?

– Daj spokój, Czub. Pasuje mi to, co robię. Nie wyłamuj mnie.

– Kto mówi, że nie pasuje. Tak tylko wspominam. Wiesz, gdzie go

powieszają?

– A co za różnica.

– Faktycznie, stryczek to stryczek. – Czub westchnął ciężko i wysiadł z limuzyny. Huknął drzwiami, jakby przegonił jakąś męczącą emocję. – Wiesz, co myślę, Darek? – Obszedł auto i pochylił się nad opuszczoną szybą od strony szofera. – Że musi być, kurwa, na świecie jakiś porządek.

To był pogląd, który podzielała reszta obywateli. Bez dwóch zdań. Tęsknota za jakimś elementarnym porządkiem moralnym, po dekadzie toksycznej wolności od wszystkiego, była ewidentna. I mimo że kraj wyrok na Gaponię przyjął z entuzjazmem, to mało kto łączył jego śmierć ze zmianą sytuacji osobistej, w przeciwieństwie do zdarzeń, które potoczyły się we właściwym kierunku i kraj zaczął się samoorganizować. Z obywatelami czy bez obywateli maszyna ruszyła. Ciężko, spazmatycznie, wzbudzając się i zamierając, ale ruszyła. Nikt przy zdrowych zmysłach nie łączył jej startu z nieodległą egzekucją jednego ze swoich deprawatorów, nikt nie wymawiał słów „ofiara” czy „ołtarz całopalny”, ale ci, którym zdolność połączenia przyczyny ze skutkiem nie została odebrana, w skrytości ducha to podejrzewali. I to podejrzenie nielicznych, bardzo nielicznych, paliło jak żywy ogień, bo zawiadamiało o odwołaniu się do tego, co ciemne, obce, barbarzyńskie.

Zdarzenia robiły swoje. Związały się w sieć wzajemnych zależności i zaczęły, zrazu ostrożnie, ten rozchwiany, neurotyczny, niedojrzały, pozbawiony wyobraźni kraj krępować powrozami z napisem: „norma”, „zasada”, „porządek”, „aksjomat”, by zaprzestał wierzgać przeciw sobie. Lecz przemoc powiązanych ze sobą zdarzeń nie upokarzała obywateli ani ich nie raniła, gdyż chcieli tego lub nie, zaprzęgała się w ich służbę. Nienawiść, trudno doprawdy w to uwierzyć, przestała być pierwszym uczuciem, a obelga – pierwszym słowem. Młodzi i niezbyt młodzi mężczyźni, sól tej ziemi, jak wmówił im to Don, dostrzegać poczęli obok siebie przedstawicieli swojego gatunku w innym wieku, innej płci, innej kondycji i innych preferencji i zrazu niechętnie godzić się poczęli z ich ludzkimi prawami. Samodzielna Inspekcja do spraw Integracji, zwana w skrócie SIdI, w rzeczy



samej ponura, a za dobrych lat Dona wszechmocna policja polityczna zapadła się pod ziemię, a zwykła policja zaczęła sobie przypominać o obowiązkach wobec bliźnich. Do sądów wracali prawnicy, którym udało się umknąć przed rugami Kaliguli, do szkół nauczyciele, do garnizonów oficerowie, do świątyń, noga za nogą, chrześcijaństwo.

Bezprawie będące pustką po prawie, w jakimś stopniu zastępowanym kaprysami ludu, które Don prowokował i ogłaszał, trzeba było zastąpić nowym prawem, gdyż stare było zbyt słabe, by zmierzyć się z wyzwaniem. Wieloletnia absencja je wyjałowiła, pozbawiła zębów, obrała do kości. Groźne intermezzo wypełniono powszechną zgodą na to, że wrota do otchłani trzeba zatrzaskać, zaspawać, zamurować, by nowe prawo nie uległo zarazie od prawa, które na nią konało. Trzeba więcej niż prawa, by przywrócić prawo, mawiali najostrożniejsi juryści.

Kierując się nadludzką, co rozumiały, intuicją, spod granic krajów ościennych ruszyli opustoszałymi lasami, łąkami, polami, ugorami emisariusze dziczych gromad, wilczych watah, sarnich stad, zajęczych rodzin i z ulgą dostrzegali, że krwawy odwet za ich winy niepopołnione się zakończył, a egzekutorzy odłożyli broń palną, wnyki, szczęki, rohatyny, siekiery lub je zniszczyli. Widywano łosie wędrujące o zmierzchu wzdłuż dróg i wyliniały, półślepe króliki, które nauczyły się przez te lata żyć pod ziemią. Skulone z przerażenia drzewa z mocarnymi dębami włącznie wyprostowały się i wprawdzie częściej widziały wokół siebie pustkę niż braci i siostry, ale powracały do swych odwiecznych obyczajów i nawet osiki przestały drzeć. Słyszycie, powiadało to, co dotychczas trwało zakłętą w milczeniu, drzewa zaczęły znów szumieć. Mówiąc najkrócej, z pozatruwanych źródeł popłynęła woda nadająca się, od biedy, do użytku.

Starego poetę odwiedził młody przywódca ruchu „Che”, już nie jako Zinowiew, Trocki, Kropotkin, Fidel, Róża Luksemburg czy Klara Zetkin, a jako Sylwester Gołąb, bo tak się nazywał. Wielki jak góra, bezceremonialny i nonszalancki, nieustannie rozglądający się za meblem, na który mógłby się zwalić, powiadomił starego poetę, że jego ruch przepoczwarza się w partię, żegna z anarchią, przepędza pamięć po Reclusie,

Hansonie, Bakuninie, że o akcjach bezpośrednich mowy już być nie może, a rozczarowanie jakąkolwiek formą współpracy społecznej to już przeszłość. Że konstytuują się w młodą lewicę z lekkim, więc akceptowalnym, przechyłem na syndykalizm, który nie zrazi ich dotychczasowych przeciwników, gdyż są otwarci na nowe koncepcje, prądy, idee, gotowi podporządkować się regułom państwa prawa.

– Jeżeli radykalizm, panie prezydencie – mówił tubalnym głosem, który wydobywał się z potężnej formy – to tylko w kwestii niewzruszonej pewności, że nie ma nic ponad demokrację, jaką uprawia świat, do jakiego dekadę wcześniej należeliśmy. Toteż, podobnie jak z anarchią, zegnamy się z nazwą naszej inicjatywy, do której, jak pan pamięta, panie prezydencie, byliśmy przywiązani. Zatem, nie „Che”, a młoda lewica czy coś równie neutralnego.

Podobnie koncyliacyjny charakter miała rozmowa z agrarystami, którzy wprawdzie przybyli do pałacu w pięciu, lecz już z wyznaczonym liderem, a został nim najstarszy. Jesteśmy gotowi stanąć do wyborów i zdać się na werdykt obywateli, oznajmili, jak dawniej ostrożni, umiarkowanie konserwatywni, chytry, w złym i dobrym, przewidywalni. Rozbrojony, przerażony brutalnością dziesięcioletniej tyranii, w jaką przyoblekła się pospolitość, rozłożony na łopatki własną niemocą, zraniony zdawało się śmiertelnie, wyprany z nadziei i energii, potężny niegdyś Kongres Liberalno-Demokratyczny odrodził się pod wodzą specjalistki od społecznych zastosowań numerycznych z MIT-u, która zawiesiła karierę naukową na rzecz służby w najbardziej podstawowym tego słowa znaczeniu.

– Co panią skłoniło, by zostawić Amerykę i stanąć na czele konającej partii? – zapytał stary poeta, przypatrując się syntezie urody, wdzięku, inteligencji i wielkoduszności pod postacią niespełna czterdziestoletniej kobiety.

– To co pana, jak sądzę, panie prezydencie – odrzekła Weronika Brolik. – Odpowiedzialność, jeżeli nie zabrzmie to zbyt pompatycznie.

– Trochę mnie pani przecenia. Ale miło to usłyszeć.

I roześmiali się obydwójce po raz pierwszy w tym urzędzie od miesiąca, a pewno i lat, śmiechem, który nie miał upokorzyć, wyszydzić lub zniszczyć,

lecz służyć nadziei. Gdy Weronika Brolik odeszła, pozostawiając za sobą zapach, jaki się w tym kraju nie unosił, do starego poety podszedł dyrektor Nadbrzeżny i oznajmił, że poza odpowiedzialnością jest jeszcze jeden powód, jak sądzi, powrotu pani profesor: jej rodzice, nietuzinkowi działacze Kongresu, nie przeżyli zakładu reedukacyjnego, jaki wyznaczył im Kaligula.

– Zemsta? – zapytał stary poeta.

– Nie uważam – odpowiedział Nadbrzeżny. – Raczej pamięć.

Do wyborów, najszybszych jak to możliwe, na czele, pozał się Boże, rządu stanąć miał pułkownik Aszkiełowicz z byłych sił specjalnych, uruchomiony za namową dziewczyny przed rokiem przez Gaponię. Miał twardą ręką ochronić to, co wzeszło.

– Nie uważa pan, panie prezydencie, że w czasie przełomu postawienie na czele gabinetu żołnierza jest ryzykiem, jakiego nie warto ponosić tym bardziej, im głębiej nurkujecie w liberalizm, z którym świat się już pożegnał? – zapytał Richard Wayne po udanej próbie sforsowania zapory w postaci Czuba i dostaniu się do głowy państwa.

Stary poeta odpowiedział, że człowiek, przed którym przestrzega dziennikarz, skończył West Point i demokrację zakodowaną ma w mózgu jak zasady dowodzenia jednostkami specjalnymi czy jak to się tam nazywa. Wayne oszczędził mu uwagi, że generał Videla też tam był, podobnie jak Noriega, Ambrosio, Krüger. Stary poeta w rewanżu nie wspomniał, że z wątpliwościami takich mądrali liczyć się musiał, gdy na obczyźnie był na etacie autorytetu moralnego, i że to już przeszłość.

– Nie szukaj we mnie arbitra, mądralo – warknął stary poeta, gdy za dziennikarzem zamknięto drzwi – bom jak każdy stroną.

Ale generalnie sprawy szły nadspodziewanie dobrze, jak to bywa, gdy przekupi się los albo go wykiwa.

Albo i nie wykiwa, tylko zaciągnie dług pod hipotekę zobowiązań w kontrakcie, którego los już dopilnuje. Nic nie było w stanie zmienić rzeczywistości, a rzeczywistość była taka, że Gaponia żył. Skazany na karę śmierci z rygiem niezwłocznej wykonalności, nadal żył. Nędznie, momentami strasznie, lecz żył.

Państwo nie było gotowe, by wykonać na nim wyrok, bo nie było gotowe do wykonania wyroku na kimkolwiek. Zapis o przywróceniu kary ostatecznej, wprowadzony do kodeksu przez Kaligulę za aprobatą Dona, okazał się martwy. W wyznaczonych do tej uroczystości zakładach nie było cel straceń, szafotów, katów, odpowiednio wyedukowanych lekarzy i duchownych każdego z wyznań. Nikt nie spisał procedur, nie wiedziano nic o narzędziu, jakiego należało użyć, bo jeżeli miała by to być szubienica, to z jakim sznurem w roli głównej – konopnym, jutowym, nylonowym, a może stalowym drutem? A jeśli nie szubienica, to co? Pluton egzekucyjny? Skąd go wytrzasnąć. A jeżeli zastrzyk, to z czego? A jeżeli topór, to jaki? Miecz, nóż, gilotyna? By jednak nie ulec bez starań, wożono Gaponię między dwoma kryminalami wyznaczonymi do egzekucji w dwóch przeciwnych stronach kraju. Podróżował więc z południowego zachodu na północny wschód i na odwrót. Landara, którą go transportowano, była w coraz gorszej kondycji, cuchnęło w niej spalinami, trzęsła się coraz dokuczliwiej na nieremontowanych od lat szosach, dieslowski motor pracował od spazmu do spazmu, a eskorta coraz bardziej tym zniecierpliwiona wyżywała się na Gaponi z każdą podróżą wymyślniej. W pojedynkach, do których trafiał między kursami na kilka dni, tydzień najwyżej, nie pozwalano mu na nic. Nie wolno mu było zamienić z nikim słowa, leżeć na pryczy ani spać w dzień, opierać się o stół, ścianę, wyglądać oknem. Nie miał prawa do radia, telewizji, telefonu, książek, gazet. Zabroniono mu papierosów i środków nasennych. Do łaźni prowadzili go dla swojej wygody nagiego pustymi

korytarzami dwaj, trzech funkcjonariusze, którzy z nudów w wyludnionych kryminałach komentowali jego anatomię, w dodatku tak się składało, że rzadko trafiał na ciepłą albo choćby letnią wodę. Marzył upiornie w zbyt obszernych drelichach, bez bielizny, nocami pod cienkim sztywnym od brudu kocem.

Chciał zwariować. Przywoływał obłąd, który dotychczas zawsze był gdzieś nieopodal, licząc, że obłąd przyniesie ulgę, ale jego myśli nigdy nie były tak przerażająco jasne i bezwzględne. Nie pobrażała mu żadna, każda obleczona w strach jak wdowi welon.

Nie wiadomo jakim cudem życie trzymało się jeszcze tego nieszczęśnika w ciszy i coraz szczelniejszym zapomnieniu. Nikt o Gaponię nie pytał, jakby to, że przestał istnieć, było naturalne. Nie pytali o niego stary poeta ani jego hiszpańska żona, ani ich córki. Nie pytał szofer Darek, rzecznik prasowy pałacu Czub, szef kancelarii Nadbrzeżny. Nieciekaw był jego losów mecenas Kot, zwany Kanarkiem, ani sędzia Hosse, minister sprawiedliwości. Refleksy współczucia dla Gaponi nie zostawiły śladu w duszy nieładnej, bladej adwokatki, która rozkręcała swoją prywatną kancelarię. Nie interesowały się nim gangi zebrane w przestępczy syndykat, z czym państwo miało się dopiero zmierzyć w odległej przyszłości, nie interesował się pułkownik Aszkiełowicz, którego Gaponia za namową dziewczyny wydobył z emeryckiej nicości. Nie pytał nawet Kaligula, mile zaskoczony tym, że kara za jego niegodziwości została spłacona; podobny rodzaj miłego zaskoczenia jednoczył całą zgraję nomenów z Domu Centralnego, funkcjonariuszy agend terenowych partii, namiestników prowincji i ich kancelarie, oficerów SIdI.

Bo Gaponia zapłacił za wszystkich, i była w tym jakaś złowieszcza praktyczność, przewidywalna logika dziejów, jeżeli odwet za zło miał się nie rozdrobnić i nie ugrzęznąć w niekończących się rozliczeniach. Gaponia, sprawiedliwe to lub niesprawiedliwe, wyczerpał sprawy i je zamknął. Raz na zawsze.

Nie pytała więc też o niego Weronika Brolik, która po nowym rozdaniu politycznym została premierką, jakiej krajowi zazdrościł kontynent, gdyż piękna była, mądra i zuchwała. Z promesą na nową cesarzową nowej

Europy. Bo kraj nie wypadł krowie spod ogona, pełen był łebskich obywateli, a jego zdolność samonaprawy zdumiała nawet tych, którzy wieszczili, że powrót do cywilizacji, jakiegokolwiek cywilizacji, potrwa nie krócej niż jej upadek.

Obywatele zapragnęli pracy, konkurencji, wyścigu szczurów, cokolwiek wrednego pod tym się kryło, pól, w które znów wbić by mogli swoje pługi i ruszyć z orką. W końcu dekadę wcześniej kontynent im tego talentu do życia i roboty zazdrościł. Otumanieni przez Dona benefitami w postaci łatwych rent, wczesnych emerytur, grantów bez związku z potrzebami, rekompensat za straty nieponiesione, w pieniądzu niewiele cenniejszym niż papier, na jakim go wydrukowano, poczuli się zbrukani tym prostackim przekupstwem, które tak uzależniło ich od łaskawości dyktatora i własnych wad. Zapragnęli po latach hipokryzji odpowiadać za siebie i swoje rodziny. Pokazać Europie, że znów zależą od własnej pracy, że dopisuje im zdrowie, siła, energia. Że chcą stanąć w blokach startowych, jak dawniej, przebiegli i głodni zwycięstw, lecz wedle czystych reguł. Chcę się z tym zmierzyć, oznajmiał ten czy tamten, i zwyciężyć, bo przemawiała przez niego młodość i niecierpliwość. Chcę, by serce starej Europy zabiło bliżej nas! – wykrzyczała w Zgromadzeniu Narodowym Weronika Brolik w swoim inauguracyjnym przemówieniu. – Chcę je usłyszeć! I wprowadzie kontynent na to pragnienie odpowiedział milczeniem, jednak nie konsternacją, zażenowaniem, kpina. Obywatele nie stracili umiejętności przewalania frajerów, ale postanowili z niej nie korzystać, podobnie jak z wielu innych przewag na krótką, jak się okazało, metę. Nienawiść przegnano więc do rezerwatów, a jej miejsce na placach, traktach, rondach, alejach, nieśmiało zrazu, zajmować zaczęła grzeczność. I wprowadzie w tym nagłym odwróceniu się od siebie samego było coś z maskarady, ale lepsza była maskarada niż warta przy człowieku oswobodzonym z umiaru, dojrzałości, chrześcijaństwa. Zima też krajowi odpuściła i nie nękała mrozem, śnieżycami, lodowatym deszczem lub niezdrowym ciepłem, tylko trwała w akceptowalnej stałości cztery miesiące.

U jej końca, w czasie zapowiadającym przedwiośnie z jego

niepowtarzalnym zapachem ziemi i wilgoci, Gaponia wspiął się na taboret i świadom nieposłuszeństwa dostrzeżonego natychmiast okiem jednej z pięciu nadzorujących go kamer, spojrzął ponad więzienny mur na świat. Widok nie oczarowywał, bo to był akurat zakład na północnym krańcu kraju. Gaponia zobaczył fragment zagraconego podwórka, zamkniętego szarą ścianą budynku upstrzonego zaciekami, wybebeszone auto na klockach, drewniane otwarte na oścież drzwi do sławojki, bezwstydney w swej ostentacji, i w opozycji do niej – bezradność brzoźki wyrastającej ze szczeliny między cegłami zgruzowanego ogrodzenia.

I nim jaskrawość rozpuściła ten widok w białym żarze upalnego południa z innej rzeczywistości, Gaponia wypuścił z palców framugę okna, której się trzymał. Jego jaźń, a może już nie jaźń, rozbłysła widokiem stacyjki kolejowej w Hannie, jaśminami za poczekalnią, ociągającą się z kwitnieniem akacją, ostrokrzewem przed domem, torami ginącymi w majowych łąkach, surowym dziadkiem w mundurze zawiadowcy i babką wracającą z ogrodu pod liściem łopianu.

Wypuścił więc z palców metalową framugę i runął w tył z taboretu, uderzając czaszką w betonową posadzkę celi. Znieruchomiał, jak upadł – wyprostowany i bezbronny. A twarz wypogodzić mu się musiała chwilę wcześniej, gdyż wszystka udręka została z niej zdjęta. Tylko jeden głęboki oddech, długie westchnienie, jakby już spoza ciała, pożegnał to dziwne, przez nikogo nieoczekiwane, nikomu niesłużące, a jednocześnie niezbędne życie.

# EPILOG

Kobieta w latach, o sylwetce dziewczyny, ze śladami nieprzeciętnej urody z nikiem najpewniej już niedzielonymi, pochyliła się nad kilkuletnim stworzeniem, by zapytać o miejsce, które przykuło jego uwagę. Ceglany mur kończył się na zagraconym obejściu z jakimś nędznym biznesem; sterta desek obok dwóch rozmontowanych aut i równie wypatroszonego ogrodowego traktorka, kilkunastu beczek po chemikaliach ustawionych jedna na drugiej nad kałużą pośniegowego błota. Nad tym transparent z napisem: market & factory, a obok barak z niemytymi od zarania najpewniej szybami, który był magazynem lub biurem niesłużącym żadnej działalności. Ten smętny widok w dniu zapowiadającym przedwiośnie sugerował przemożną chęć oddania się w inne ręce, pod opiekę kogoś, kto by go tak nie bezcześcił.

Rozchwiana kobieta o sylwetce dziewczyny, w lśniących obcisłych czerniach, wspierająca się dłonią o ceglany mur, nie sprawiała wrażenia związanej z tym niezachęcającym miejscem. Była raczej przypadkową spacerowniczką wraz z bezbronnym stworzeniem zdanym na jej pomysły, starającą się obejść coś, co stało jej na drodze. Coś nieokreślonego, ni dziewczynka, ni chłopiec, ni człowiek, ni zwierzątko, owinięte kawałkiem pledu, w jednym zimowym bucie i zrolowanej nad nim skarpecie, jakby zabrane w chwili odpoczynku, wyrwane snowi, być może często na takie wycieczki narażone, bo milczące i pokorne.

– Co tam jest? – dopytywała kobieta, kręcąc się wokół własnej osi bez sensu, lecz zręcznie, zgięta w pół, nieustannie chwytająca równowagę rozłożonymi rękoma lub odchyłona w tył, jakby miała runąć na wznak.

Stworzenie wbiło wzrok w miejsce powyżej beczek z chemikaliami i poniżej dachu z eternitu, gdzie było pasmo zacieku lub cień gzymsu na tynku pierwszego jasnego dnia zapowiadającego przedwiośnie.

– Wypadałoby odpowiedzieć matce, a nie milczeć, jakby cię kto zaklął,



i gapić się w coś, co jest niczym. Tak w każdym razie uważam – powiedziała kobieta, gnąc się na wszystkie strony i sposoby, co w przypadku sylwetek chudych i umiarkowanie długich miewa swój wdzięk.

Usiłowała zapalić papierosa, lecz płomyk z plastikowej zapalniczki się nie pojawiał.

– To, że jestem upalona, nie znaczy, że masz być dla mnie nieuprzejmy. A takie milczenie, kiedy cię pytam na okrągło, to nieuprzejmość. Matki się tak nie traktuje. Przyzwyczaiałam się, że zagapiasz się na to lub tamto, na ptaszka lub chmurkę na przykład, i że na tym schodzi ci czas, jakby nie miał końca, i nie dopytuję, co tam widzisz. Chyba nie zaprzeczysz.

Mimo zaniedbania miała dyskretny seksapil, jaki czasami uzyskuje alians przeszłej doskonałości z aktualnym udręczeniem, wzbudzając czułość i pożądanie. Podobać się mogła nawet w tym stanie w przeciwieństwie do towarzyszącego jej stworzenia, które nie znalazłoby amatora. W uruchamianej bez końca zapalniczce pojawił się na moment płomyk, tak wąty jednak, że nie wystarczyło go na zapalenie papierosa i kobieta dała za wygraną.

– Mało która matka zniosłaby to twoje zagapienie się na byle co – rzekła głosem zdartym od ciężarów życia. – Wytargałaby cię za kudły, żebyś oprzytomniał i zaczął rozglądać się za czymś, co będziesz miał, jak znalazł, w przyszłości. Chyba nie powiesz, że cię kiedykolwiek wytargałam... Chyba tak nie powiesz.

Udało jej się na chwilę zamilknąć i spojrzeć w niebo, które się przetało.

– Jestem niespokojna nie dlatego, że nie poszło mi z fajką czy przed ósmą dałam sobie w żyłę, ale dlatego, że nie wiem, na co tak patrzysz, co nie jest ptaszkiem albo chmurką czy czymś w tym rodzaju. Wolałabym wiedzieć, na co tak patrzysz, od kiedy idziemy po tym murze.

Stworzenie okutane w pled, z góry przykryte kaszkietem, a z dołu chronione przed zimnem jednym butem i zrolowaną nad nim wełnianą skarpetą, uczyniło gest, który świadczył o tym, że jest gotowe matce odpowiedzieć, gdyby ciekawość nadal miała ją męczyć. Wybiegł im naprzeciw chudy pies skłonny do przyjaźni.

– Jak Mado – szepnęła kobieta – pies Darka, a później twego ojca.

Zaraz potem spazm rzucił ją w zmurszałe cegły zrujnowanego muru. Odbiła się od nich i długo łapała równowagę. Potem wygięła się do tyłu wbrew zasadom mechaniki, a potem zawisła nad stworzeniem w jakiejś chwili ulgi, gdyż jej zniszczona twarz zbliżyła się ku doskonałości. Kobieta zapytała cicho:

– Więc co tam jest?

To co wyłoniło się z opończy było blade, drobne, nieme, przygotowane na cierpienie, które je dopiero uformuje.

– Blask, mamó. – Głos stworzenia był nieużywany. – Blask.

Projekt okładki  
*Tomasz Majewski*

Redakcja  
*Anna Rydzewska*

Korekta  
*Jan Jaroszuk*  
*Krystian Gaik*

Copyright © by Eustachy Rylski, 2018  
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2018



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa  
[www.wielkalitera.pl](http://www.wielkalitera.pl)

Odwiedź  
nas na 

ISBN 978-83-8032-256-1



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)